ROZRYWKI
DLA MŁODOCIANEGO WIEKU.

ROZRYWKI

DLA

MŁODOCIANEGO WIEKU

DZIEŁO ZBIOROWE W 4-ch TOMACH

OBEJMUJĄCE

POWIEŚCI, POEZYE, PODRÓŻE

LITERATURĘ I ROZMAITOŚCI

przez

Sew. z Żochowskich Pruszakową

(Duchińską).

Wydane staraniem Redakcyi Bluszczu.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1884.

115997

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Марта 1884 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

DO ZIMY.

Wyjątek z poematu „Piast.“

O zimo Polska! jak ja kocham ciebie!
Ty oko słońca zdobisz łzawą rzęsą...
A twoje gwiazdy na perłowem niebie,
Jak złoty owies w milczeniu się trzęsą...

Pierś swą ochładzasz wachlarzem z piór szronu,
Wydartych z skrzydeł łabędziego zgonu;
Lasy szarpane ramieniem Pośwista,
Czczą cię modlitwą szumnego pokłonu.

Twa dzika piękność mężne serca wabi,
Życie, rażone twym wdziękiem zamilka...
Z twoich się dłoni snuje przędza szklista,
Co świat opina jak całun z jedwabi,
Gdzie nieśmiertelność śpi w kształcie motylka.

Zimo! twa barwa tak cudownie biała,
Ta barwa dziecka, ta barwa dziewicy,
Najstosowniejsza dla Polskiej ziemicy,
Która od wieków w *bieli* się kochała:

Wisłę, ten pałac stawiany w kryształy,
W którym nuciła syrena zwodnicza.
Szklanny grób Wandy, lutnię Klonowicza.
Dawne plemiona *Białą wodą* zwały.

Bałtyk, co zwolna, bursztynowym nożem,
W ląd się wkroiwszy, dziś dumnie odcina
Płaszcz Światowida od płaszcza Odyna,
Ten Bałtyk niegdyś zwał się *Białem morzem.*

I Wielkopolska, co na pierś dziewiczą,
Niby bogini wdziała tarcz Goplaną,
I za myśliwską ścigała zdobyczą,
Niegdyś nosiła *Białej Serbji* miano.

I Małopolskę, której przy weselu,
Przyroda w soli wyznaczyła wiano,
Oblubienicę świętego Wawelu,
Białą Chrobacją przed wiekami zwano.

Kiedy Lech spotkał gniazdo króla ptaków,
Co było również gniazdem naszej chwały,
Na powitanie praojca Polaków,
Ptak wzbił się z gniazda; a ptak ten był *biały.*

Czy pamiętacie, że polskie pogany,
Nawet swych bogów barwą odróżniały?
Bóg nieszczęść, piekieł, *Czarnym* był nazwany,

A dla bożyszcza dobroci i chwały,
Nie było nazwy chlubniejszej jak *Biały*.

Istotę łzawą, istotę liljową,
Która przy męzkiej dzikości i mocy,
Powinna jaśnieć jako dzień przy nocy,
Kobietę, Polak nazwał *białągłową!*...

Deotyma.

WIECZÓR U OKNA.

OBRAZEK.

W otwartem oknie przezierało się sklepienie niebios, jak błękitna długa pianka zasiana gwiazdami, śród których królował księżyc. W pokoju było cicho, pusto, przy oknie siedziała młoda dziewica: światło księżyca posrebrzało jej twarz bladą jak marmur, długie włosy i niebieską sukienkę, wydającą się przedłużeniem błękitu niebios.

Skrzypnięcie drzwi sypialni przerwało pustkę i ciszę, nie młoda, czarno przybrana niewiasta, stanęła w progu z lampą w ręku, a na czole jej czerniła troska, a na ustach była wieść jakaś smutna.

Niewiasta spojrzała na dziewicę, bielejącą u okna i wieść na ustach rozwiała się, zamilkła, zniknęła; stało się tak, jak kiedy jedna myśl wyrwie nam drugą, jedno wrażenie zatrze drugie, nowy smutek dawną troskę przytłumi; postawiła lampę na stole i stanęła przy oknie, mówiąc:

— Marzysz, znowu marzysz, Maryo! Rzeczywistość przed tobą znika, chcesz ją przebić, rozproszyć jak mgłę

jesienną i dostać się pod czyste niebo pełne słońca i światła.

Dziewica powstała żywo z krzesła i przycisnąwszy ręce matki do piersi, rzekła:

— Gniewa cię znowu, matko, moja wieczorna dumka u okna! Ale spojrz w niebo... jakaż praca wyżej wzniesie duszę, jakaż zabawa lepiej ją uweseli nad ten błękit obsiany gwiazdami, które trzymają straż nad śpiącemi głowami ludzi. Spojrz, jak tu cicho, pusto a wielko! głos żyjących stworzeń ucichł, przyroda zostawiona sama sobie, rozpamiętywa dzienne nasze sprawy. Ileż to uczuć nowych wyrobi się w tej ciszy wieczornej! Matko, powszednie prace, do których mnie zachęcasz, nigdy tak nie wykształcą jak samotne marzenie w obec natury.

— Córko! to nas najlepiej kształci, co przynosi owoc i zasługę; wędrówka wyobraźni, po świętych i doskonałych światach, podczas gdy ręce bezczynne nie czynią zadość powinnościom, nie doprowadzi nas do tych światów, najmniejszy zaś krok pracy, poświęcenia i miłości zbliża nas do nich nieznacznie.

— Więc w naszym młodym, wiośnianym wieku nie wolno wzbijać się poezyą w górę?

Matka wstrząsnęła głową i rzekła:

— Posłuchaj mnie, Maryo; Wolno! wolno! I każda z was piętnastoletnich już probuje skrzydeł, lecz zamiast życie swoje uszlachetniać i pięknić poezyą, wydziera się po za nie egzaltacyą. Nie umiecie rozróżnić tych dwóch królowych podbijających młodociane serca, a jednak to niezbyt trudno.

Z bezczynną dłonią i bezowocnem dumaniem, rozczulać się nad pięknościami gwiazd i słońca, to egzaltacya.

Tracić czas i siły na próżnych marzeniach, to egzaltacya.

Zniechęcać się do rzeczywistego życia dla wyrojonych światów, to egzaltacya.

Być dobrą, to jest poezya.

Być pobożną jak skowronek, a pracowitą jak rolnik i mrówka, to poezya.

Być skromną, to poezya.

Być jasną jak lilia a prostą jak dziecię, to poezya.

Być aniołem, to poezya.

Być świętą niewiastą, to poezya, Maryo!

Taka poezya niech zakróluje w sercach wszystkich młodych dziewcząt, niech je podniesie do niebios, do Boga!

Powszednie życie nasze, to mgła jesienna, jak powiadasz. a za mgłą czyste niebo i słońce; dążąc do owego światła i słońca trzeba się pierwej przedrzeć przez mgłę własnemi piersiami, zbrojnemi w pracę, w cierpliwość, w dobroć i anielstwo. Wasze egzaltowane westchnienia i dumy, wasze mary i ulotne przędziwa myśli, nie przeniosą was przez te płowe tumany jesienne... Zstąpcie na ziemię w cichości i pokorze, a z modlitwą na ustach i z pracą w ręku; wyśpiewacie pieśń pobożną i czystą, która otrze łzy ubogim, spracowanym, smutnym.

Gwiazdy lśniły na niebie, lampa żywym łyskała płomieniem i te dwa światła krzyżowały się na twarzy dziewicy, jak w jej sercu krzyżowało się światło słów matki z błędnemi ogniami własnej wyobraźni; lecz pierwsze zwyciężyło, bo córka przytulając się do matki, szepnęła:

— Więc wprowadź mnie na drogę prawdy i rzeczywistego życia!

— Znajdziesz ją w twoich codziennych powinnościach i obowiązkach.

W parę godzin niewiasta i dziewica siedziały przy łóżeczku chorej dziewczynki, która na pierwszą mówiła: „matko,“ na drugą: „siostro.“ Uśpiona czynność Maryi zbudziła się nagle przywiązaniem i staraniami koło siostry, a wzrastając z postępem choroby i wymagań chorej, pocieszała zasmuconą matkę.

Nareszcie wstało dziewczę z choroby, uśmiech wrócił na usta i z radością powitała gwiaździste niebo, wspierając się przy oknie, na rękach uszczęśliwionej siostry. Lampa znów paliła się na stole, matka, czuwająca przy boku córek, rzekła:

— Maryo! pamiętasz wieczór przy tem samem oknie, przed niedawnym czasem; jakaż jest w tobie odtąd różnica?

Marya z wdzięcznością uścisnęła rękę matki.

— Matko! te kilka tygodni pracy, opieki i trosk codziennych koło siostry, stokroć mnie więcej nauczyły niż górne i przesadzone zamysły; a cóż powiem o szczęśliwości zadowolonego sumienia? o radości serca jaką mi zdrowie Zosi przyniosło? dodała: zwracając się ku siostrzyczce, która do niej z uczuciem wyciągnęła ręce.

I dwie siostry uścisnęły się serdecznie; w oczach matki były łzy, w ustach błogosławieństwo.

Antonina M.

JEDEN USTĘP Z ŻYCIA POETY.

PRZEZ

SABINĘ z G..... G.....

I

Widział oczami duszy swojej.
Mickiewicz.

Któż z was młodzi czytelnicy moi, nie widział lub słyszał, kto się nie unosił z pewną narodową dumą na wspomnienie owych miejsc, słusznie bardzo polską Szwajcaryą zwanych, których często brzmiące nazwiska: Ojców, Piaskowa skała, Grodzisk, łączą się z najpoetyczniejszymi krajobrazów opisami?... Czyż rozpatrując się w tych arcytworach uroczej kraju naszego natury, przyjdzie wam na myśl pozazdrościć Włochom i Turkom ich Neapolitańskiej i Bosforskiej zatoki; Szwajcarom słynnego wodospadu; Hiszpanom widoku Gibraltaru; kiedy Opatrzność okolicami Krakowa cieszyć nam się pozwoliła.

O! tak, niewdzięczna myśl nie wsunie się zapewne w głąb serc waszych, zwłaszcza, gdy już wiecie, że miejsca te, nie jednego stworzyły lub natchnęły wieszcza, nie

jednego szlachetnego czynu świadkiem były, nie jedno bolejące serce w cierpieniach życia ukoiły i pocieszyły. Otóż pośród tych cudów swojskiej natury, wznosił się jeszcze przed pięciu laty na skalistej górze, dziś już w gruzach pogorzeliska leżący, zamek Pieskowej skały, będący niegdyś u nas może jedyną starożytną budową, której ręka czasu nie dotknęła. Otoczony wieńcem różnokształtnych wzgórków i bukowych gajów, z jednej z baszt jego rozlegał się widok na całą okolicę, liczący się pod względem piękności i rozmaitości do najpiękniejszych tego rodzaju krajobrazów. Przed samym zamkiem wznosi się jakby jego honorowa straż, ogromna skała, wązka u dołu a znacznie u góry rozszerzona, mająca kształt przewróconej maczugi i dla tego *Herkulesową maczugą* zwana. Lud miejscowy zawsze w swych nazwach trafny, nadał jej miano *Sokolej skały*, z powodu, że na niej miały się kiedyś gnieździć sokoły, których nikt dostać nie mógł, aż chłop skazany na śmierć, skoczywszy z przyległego buku, zadziwiającą zręcznością zdobył sokole gniazdo, za co od dziedzica Pieskowej skały wolnością udarowany został.

Zwracając oko, zawsze z wysokości baszty, spocznijcie niem na przepysznej i coraz nowymi widokami zdobnej dolinie, którą przerzyna wijący się w srebrzystą wstęgę *Prądnik*, przebiegający wśród rozpadlin niebotycznych skał, kwiecistych łąk i cieniu bukowego lasu, całą przestrzeń tej doliny, której daje swe nazwisko. Gdy chcieliście spocząć oczom waszym i sercu przepełnionemu widokiem wielkich dzieł Stwórcy i przenieść uwagę waszą na drobniejsze ręką ludzką pracowicie wyrobione przedmioty, zeszliście z owej baszty do wewnętrznych mieszkań pierwszego piętra zamku, gdzie cała jego przeszłość, przedstawiała się wam w żywym i pełnym zajęcia obra-

zie. Pieskowa skała należała kiedyś do dóbr korony; dopiero w roku 1377, Ludwik król Polski i Węgierski darował ją na własność Piotrowi Szafrańcowi z Łuczyc, w nagrodę za waleczne czyny przy zdobyciu zamku Bełzkiego. W pół wieku później, inny Piotr Szafraniec o którym dzieje wspominają, miał się w bitwie z krzyżakami pod Grunwaldem znacznie do odniesionego przez Polaków zwycięztwa przyczynić. Pokazywano tu portret tego wojownika, wraz z innemi zasłużonych w kraju mężów wizerunkami. Po wygaśnieniu rodziny Szafrańców, był w posiadaniu Pieskowej skały Michał Zebrzydowski i zamek tutejszy wyporządził, rozszerzył i przyozdobił. Cały gmach, dzielący się na stary i nowy, zawierał przeszło sto pokoi, w których dochowane zostały starożytne sprzęty, pamiątki rodzinne i krajowe, bogate chińskie obicia, rzeźby i obrazy, oraz kaplica pod wezwaniem świętego Michała znacznie uszkodzona, w której już dawno nie odprawiało się nabożeństwo. Obok kaplicy była bibljoteka, dalej archiwum i sala teatralna zaniedbana i znacznie już ręką czasu uszkodzona. W liczbie starożytnych portretów familijnych, znajdował się wizerunek Hieronima Wielopolskiego, dawnego zamku właściciela, którego pracownią, oraz kilka sprzętów, ręką jego wykutych, z zajęciem kiedyś podróżni oglądali. Jak to bywa, do wszystkich starożytnych siedzib przywiązane są mniej lub więcej zajmujące legendy i opowiadania. Jedną z takich jest historja biednej Dorotki z Toporczyków, której pamięć lud miejscowy przechował aż do naszych czasów.

Miała to być nieszczęśliwa dziewczyna, do możnej właścicielki zamku należąca rodziny, która za nieposłuszeństwo ojcu, na zamorzenie głodem w lochu skazana, życie swe w tem okropnem zakończyła więzieniu. Loch ten zaraz

obok izby sądowej w skale wykuty, jest już zasypany i na zaszczyt więcej chrześcijańskich dziewiętnastego wieku wyobrażeń, jedynie otwór jego w ostatnich czasach pokazywano.

W zamku Pieskoskalskim, przemieszkiwała także Zofia Oleśnicka, najpierwsza znana w Ojczystej literaturze poetka i autorka pobożnej pieśni, pod nazwą *pieśni nowej*, gdzie opiewa wielkość i dobroć Stwórcy, który tajemnice królestwa swojego maluczkim sługom swoim objawić raczył. *Pieśń nowa* drukowana była gockiemi literami w Krakowie [1]) w roku 1559. Zasłużony Kazimierz Władysław Wójcicki dał nam jej wierny fac-simile w *Bibliotece starożytnych Pisarzy polskich*, do których dla poznania *pieśni nowej* odsyłamy was. Po drugiej stronie Prądnikowej doliny, leży Ojców z swą czworoboczną basztą, której szczyt, wybiega po nad ruiny obronnej niegdyś warowni. Zamek, założony przez Kazimierza Wielkiego, przetrwał aż do końca zeszłego wieku, w którym to czasie barbarzyńska ręka zniszczyła go, a z pozostałego materjału, kilka folwarcznych zabudowań wymurowała. Ojców jest słynny swojemi grotami; jedna z nich *królewską* zwana, bo według podania miał się tu kiedyś król Łokietek ukrywać, była świadkiem wypadku mogącego być treścią i wątkiem nader zajmującego poematu lub powieści. Około r. 1780, grota ta zamieszkałą była przez tajemniczą nieznajomą, z której fantazya ludu, utworzyła najdziwaczniejsze i najniezgodniejsze podania. Jedni twierdzili, że święta

---

[1]) W drukarni Łukasza Andrysowicza, kart cztery wraz z nutami, kompozycyi niejakiego Gomółki, żyjącego za czasów Jana Kochanowskiego. (*Przyp. aut.*).

Salomea zstąpiła na nowo na ziemię i zamieszkuje to miejsce, w którem za życia przebywać lubiła, inni utrzymują: że to była wielka grzesznica, dobrowolnie poświęcająca się pokucie, samotności i wygnaniu; byli i tacy, co widzieli w niej pokutującą duszę, pod postacią pustelnicy. Najrozsądniejsi twierdzili, że to była kobieta ukrywająca się przed światem, za jakieś wielkie i niczem nie dające się zmazać przestępstwo. Była to w istocie młoda osoba, przynajmniej chód jej lekki i zręczny, postać smukła i okazała, pewna godność połączona z wdziękiem rozlanym w każdym jej ruchu, kazały się domyślać, że była młodą i bardzo piękną. Nikt zresztą nie widział rysów jej twarzy, gdyż nosiła grubą czarną zasłonę, okrywającą całą niemal jej postać. Widziano ją często modlącą się nieporuszoną, z oczyma wzniesionemi w niebo jakby w zachwycie, w postawie istoty nie należącej już do tej ziemi. Żyła ona w najściślejszem odosobnieniu, widując jedynie ubogich i chorych, których najtkliwszemi otaczała staraniami i okolicznych włościan, zasilających ją skromną strawą, wzamian pacierza, którego uczyła ich dzieci. Ubrana w zakonny habit, była niedostępną dla tych wszystkich, którzy ją jedynie z ciekawości widzieć pragnęli. Włościanie znajdowali u niej w każdym razie radę, pomoc lekarską; w wielu razach nawet najzbawienniejsze przestrogi, a czasami miała podobno przepowiadać przyszłość, jako istota wprost od Boga natchniona. Ubodzy i włościanie mówili z nią, nie wiedząc o jej nazwisku i pochodzeniu, niedomyślając się nawet tajemnicy jej życia. Przyjmowała ich przy otworze swej groty, której wnętrza oglądać im nie dozwalała. Gdy w roku 1784 król Stanisław August jadąc z Krakowa w powrocie do Warszawy, zboczył do Szczekocin do pani starościny Olbrom-

skiej, zwiedził i Ojców; wtedy i młoda pustelnica znikła i czas jakiś niewiedziano, co się z nią stało, aż wieść się rozeszła po dolinie Prądnickiej, że furtyanna klasztoru pp. Bernardynek, słysząc o północy dzwonienie do furty, którą otworzywszy, znalazła u progu leżące martwe zwłoki naszej nieznajomej. Kto ona była, co zdołało ją odepchnąć od świata i ludzi, jakie było jej pochodzenie i życie, tego nikt nie wie i zapewne wiedzieć nie będzie. Nieodżałowanej pamięci autorka pierwszych Rozrywek, zwiedzając Ojców w roku 1821, żywym dla młodej pustelnicy przejęta współczuciem, podała myśl, że mogłaby służyć za wątek do zajmującej powieści.

Jednem z najpiękniejszych miejsc tej uroczej okolicy, jest Grodzisk, w którym według podania wznosił się kościół i klasztor założony przez świętą Salomeę, żonę Kolomana króla Węgierskiego, a siostrę naszego Bolesława Wstydliwego, która założywszy tu klasztor Klarysek i uczyniwszy w nim zakonne śluby, w lat siedm świątobliwy swój żywot zakończyła. Jest podanie ludowe, jakoby woły zaprzężone do wozu mającego przewieźć jej zwłoki do Krakowa, nie chciały ruszyć z miejsca, dopiero na głos celebrującego biskupa, który uroczyście do świętej modlić się począł, orszak pogrzebowy bez żadnej przeszkody ulubione jej miejsce opuścić zdołał. Był tu i zamek, który wraz z kościołem i klasztorem zniszczał, co spowodowało przeniesienie zakonnic do Krakowa. W połowie XVII-go wieku, też zakonnice pamiętne swego pobytu w Grodzisku, wystawiły tu kościół Najświętszej Maryi Panny Wniebowstąpienia, który ręką czasu dotknięty, został odbudowany. W tym kościołku odbywa się na cześć świętej Salomei doroczny odpust, na który gromadzi się pobożny

lud, żywiący w sobie pamięć świętej i żarliwe do niej nabożeństwo.

Nie będę wam, młodzi czytelnicy moi, opowiadać obszerniejszych szczegółów o Ojcowie, Pieskowej skale i Grodzisku, których zajmujący opis znajdziecie w wielu książkach, dla młodzieży przeznaczonych. Nie ma nazwiska odznaczającego się w tegoczesnych dziejach i literaturze polskiej, któreby tu w pamięci mieszkańców i miejscowej książce wspomnień, nieodżyło, Karpiński, Woronicz, Wężyk, Kropiński. Brodziński, Staszyc, wyżej wspomniana Klementyna Hofmanowa, oraz wielu innych wierszem i prozą miejsca te opiewali. Drogiej sercu rodaków pamięci Kazimierz Brodziński, pod silnem widoków tych wrażeniem, napisał poemat o świętej Salomei w Grodzisku, gdzie, jak się sam wyrażał, śpiewał piękności natury i bogobojny świętej dziewicy żywot. Poemat nieszczęśliwie dla literatury ojczystej zaginął, ale duch wieszcza, urokiem miejsc tych natchniony, pozostał, aby utworami swoimi ożywił na pół obumarłą już poezyą polską i ważną w ojczystej literaturze wywołał zmianę. Następujący obrazek da wam acz słabe, ale o ile można wierne wyobrażenie o charakterze i stanowisku tego, którego sprawiedliwie zwać można pierwszym wieszczem odradzającej się poezyi na niwie literatury ojczystej.

W ostatnich dniach czerwca 1809 roku, na stromej i skalistej drodze, prowadzącej ku zamkowi w Pieskowej skale, postępowała bryka furmańska, zaprzężona parą wychudzonych, ale dość żwawo postępujących koni i stanęła przed karczmą czyli tak zwaną austeryą, u stóp Sokolej skały zawieszoną. Dwóch młodych ludzi wyskoszyło z bryki; zdawali się być oba braćmi, przynajmniej można było domyślać się ich pokrewieństwa po jednakim ubiorze, po-

dobieństwie ruchów i familijnych rysach twarzy. Starszy, gdyż widać było lat kilka między nimi różnicy, polecił powożącemu żydkowi furmanowi, opiekę nad rzeczami, a sam z towarzyszem pośpieszył do austeryi, w nadziei wyszukania sobie kwatery. Austerya, w roku 1809, nawet w miejscu tak uczęszczanem przez podróżnych jak Pieskowa skała, była to po prostu czworograniasta, drewniana, słomą pokryta chata, do której wjeżdżało się przez dziurawe, nawpół zgniłe wrota do stajni, będącej zarazem oborą, chlewem i kurnikiem, bo do tych wielorakich funkcyj niezmyślone miała pretensye. W tymże samym budynku na prawo od wschodu, były drzwi zamknięte wewnątrz na rygiel. Podróżni zapukali, drzwi się rozwarły i ukazała się duża izba, w której mięszany zapach piwa, wódki i zabijającego tytuniu, tak ich odurzył, że zrobiwszy kilka kroków wstecz, nie mieli odwagi przejść progu, tego niechlujnego i okopconego mieszkania. Karczmarz, mający pewną pretensyę do waszeciowości, bo szadził wyrazami i ubrany był w kamizelkę i kolorową chustkę na szyi, poszedł ku drzwiom i zapytał się podróżnych tonem dość nieukontentowanym, czegoby chcieli? Nasi młodzi ludzie, spostrzegłszy po nader energicznych ruchach, oraz dość znaczącym wyrazie oczu pana gospodarza, pewną do nieporozumień skłonność, oświadczyli mu bardzo grzecznie, że są podróżnymi, pierwszy raz okolice zwiedzającymi i zapytali czyby nie znaleźli u niego osobnego kącika, gdzieby mogli złożyć swe podróżne tłomoczki?... Dla czego nie? odpowiedział udobruchany grzecznością młodzieńców karczmarz: u mnie tu dziś *weszele*, a jak to bywa w karczmisku, ciasno, zaduch, hałas i wrzawa, ale stara Bartoszowa, co to ma dwie duże izby, bierze czasem na stancyą gości. Jeżeli jegomość chce, to

ja każę *pokazać* drogę. Hej, Kaźmirek, podprowadź-no panów do starej Bartoszowej z pod Piłaszowej skały [1]), a zwijaj się raźno. Tu wyskoczył z po za stajennego słupa, rześki parobczak i nie patrząc prawie na podróżnych, biegł prosto przed niemi drożyną przerzynającą dolinę, a mijając skały tak zwane *Trzech Biskupów*, *Kopułę* [2]) i inne, doszedł do Piłaszowej skały. W pośród zieleniejących łąk doliny po nad Prądnikiem, Sułoszówką w tem miejscu zwanym, czerniła się prosta włościańska chata, pod strzechą, żółtą pobielana gliną, z porządnie postawionym i nad dach wyprowadzonym kominem, co było osobliwością, gdyż w owym czasie, lud krakowski używał jedynie dymników. Po za chatą porozstawiane były stodoła, chlewik, obórka, wszystko w najlepszym stanie, porządnym oparkanione płotem.

Młodzi nasi podróżni, po półgodzinnym, nader prędkim spacerze, z niemałą radością ujrzeli schludną i czystą chatę, która ich w gościnne swe miała przyjąć progi. Wchodziło się najprzód wązkiem między dwoma płotami pozostawionem przejściem na mały dziedzińczyk, także wbrew zwyczajowi naszych chłopków, starannie zamiecionym, do wązkiej sioneczki, a następnie do izby w której zastali przy kądzieli siedzącą starą Bartoszowę, wdowę po niedawno zmarłym wsi Ojcowa sołtysie. Przy ogniu podsycanym z suchej dębiny drzewem, stało kilka garnków i rynek, w których gotował się obiad. Młoda

---

[1]) Tak lud miejscowy nazywa jedną ze skał otaczających dolinę Prądnika między Pieskową skałą a Ojcowem. (*Przyp. aut.*).

[2]) Zwiedzając te miejsca w roku 1840, niemogliśmy mimo wielu starań, dojść źródła tych oryginalnych nomenklatur. (*Przyp. aut.*).

kobieta, czysto ubrana, w zgrzebnej w niebieskie pasy spódnicy, a jak to lud nazywa w *ciasnosze*, stała przed kominem, zbierając warzęchą szumowiny od gotującego się *żuru* [1]). Trzech-letnie dziecko siedzące na ławeczce przy Bartoszowej, bawiło się kartoflem, niby skrobiąc go patykiem, młodsze leżało w kolebce, którą babka czasami nogą poruszała, mrucząc piosenkę *a utul że się, utul* i t. d. Izba ta, inny zupełnie, od znanej już nam choć w przelocie szynkownej izby pod Sokolą skałą, widok tworzyła. Najprzód przy drzwiach wchodowych był zawieszony na ścianie wizerunek ukrzyżowanego Pana Jezusa, a pod nim kropielnica na pół napełniona święconą wodą. Ściany białe, schludne jak cała izba i wszystkie w niej szczegóły, przykryte były obrazami świętych, z których najcelniejszy był, w czarne bejcowane oprawny ramy, obraz Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, ze świecącą przed nim dniem i nocą zczerniałą mosiężną lampą. Pod obrazem zatknięte były, z jednej strony palma z ostatniej kwietniej niedzieli, a z drugiej kropidło do święcenia. Przy dwóch głównych ścianach były dwa łóżka nisko i ubogo posłane, lnianą dość grubą ale czystą pokryte płachtą. Obok łóżek stały dwie prostokątne na półtora łokcia wysokie dębowe skrzynki, na ciemno-zielony kolor olejno malowane, mające wewnątrz od brzegu po obu bokach przyczepione zamykane szufladki, w których zwykle, kobiety wiejskie przechowują paciorki, korale, wstążki i pieniądze. Główna zaś skrzynia przeznaczona jest na składanie świątecznego

---

[1]) Jest to rodzaj zupy robionej z mąki, pszenicy i owsa, jedynie tylko w krakowskiem znany, której lud miejscowy używa zamiast barszczu. *(Przyp. aut.)*.

ubrania i tak zwanych chust, które to nazwisko w ustach ludu, oznacza bieliznę i lżejsze odzienie. Te skrzynki jak wszystkie im podobne, nie były prawie nigdy zamykane na klucz, lubo tenże jakby dla formy, był wiecznie przyczepiony do zamku, a przecież zawierały w sobie cały lepszy dostatek mieszkańców chaty. Nie było wszakże przypadku kradzieży, gdyż chłopek polski, na roli osadzony i ciężkiej oddany pracy, z natury swojej jest uczciwym, jeżeli złe przykłady z góry, ospałość, lenistwo, a przedewszystkiem nałóg pijaństwa, nie stoją dobrym jego skłonnościom na zawadzie. Po kątach izby były poprzyczepiane w pewnym symetrycznym porządku półki, na których połyskiwały gliniane polewane talerze i miski różnej wielkości, szufladka zamykana z solą, drewniane łyżki i kilka z niebieskiego szkła kieliszków. Pod niemi stał wielki na trzech wysokich nogach ceber, oraz kilka około niego porozstawianych cebrzyków i wiaderek. Pod oknem, z drobnych szyb zielonych w drzewo oprawnych złożonym, stała ława do siedzenia i stół takiejże samej długości, którego nogi w X zbite, dotykały czarnej, z ziemi uklepanej podłogi. Przy piecu stała ławeczka na której zwykle siadywała stara Bartoszowa. Wszystkie te niezbędne przy wiejskim gospodarstwie sprzęty, połyskiwały czystością, schludnością i porządkiem. Wdowa po sołtysie, szóstego już dobiegająca krzyżyka, jakby cień kobiety, ku ziemi pochylona, z twarzą zmarszczkami pooraną, wybladłą i wychudzoną, z oczami od pracy i wieku nabrzękłemi, więcej pracą i kłopotami życia, niż wiekiem przygnębiona, siedziała jak to już wyżej powiedziałyśmy, przędąc kądziel i kołysząc kilko-tygodniowe swojej córki dziecię. Ubiór jej ściśle wiejski, zdradzał jakieś nawyknienie czystości, niezwyczajne u naszych polskich wło-

ścian, a do której wezwyczaiło ją własne usposobienie i częste z przybywającemi do jej chaty podróżnymi stosunki. Za wejściem młodych swoich gości staruszka podniosła pochyloną głowę, domyślając się, co ich sprowadziło.

Paniczkowie! rzecze, dobrześta zrobili, że się dzisiaj zjawiata, dopiero też co państwo z pod Warszawy wczoraj o te czasy odjechało. Tu Bartoszowa wstała od swojej roboty i pokrzątawszy się trochę, poszła do skrzynki, z której wyjąwszy ogromny klucz, otworzywszy nim przeciwległe wchodowym drzwi, prowadzące do małej stancyjki o jednem oknie, gdzie za cały sprzęt był stolik pod oknem, parę drewnianych stołków, kilka kołków do wieszania sukien, oraz szafka ordynaryjnej roboty w kącie stojąca. W miejscu łóżek w jednym z kątów stancyjki, rozpostarte było siano, którego gładkość i środkowa wklęsłość oznaczały, że przed kilku godzinami, służyło za posłanie innym przyjezdnym Bartoszowej gościom. Sołtysowa jęła się do zamiatania i okurzania stancyjki.

A gdzie mata paniczkowie rzeczy?... zapytała swych gości. Gdy te słowa domawiała, żydek furman wnosił mantelzaki i skórzane poduszki naszych podróżnych, którzy mając zamiar zabawienia dni kilka w Ojcowskiej dolinie, zaspokoili należność swego woźnicy i na dobre się w swojej stancyjce roztasowali. Bartoszowa powyjmowawszy z tłomoczków suknie swoich gości, pozawieszała na wieszadle, bieliznę zaś i drobniejsze graciki poskładała symetrycznie na półkach szafki, poczem idąc już ku drzwiom zatrzymała się chwilę.

— Może się paniczkowie posilita, bo słonko już dawno zeszło z południa?

— Dobra kobieto, rzekł starszy z podróżnych, mój towarzysz tak spragniony jest widzieć waszą prześliczną okolicę, że nie zechce zapewne czekać na żaden posiłek, który jakkolwiek lekki, wymaga czasu i zachodu... później może...

— A nie mata wielmożni panickowie jakiego takiego prowiantu w tłomoczkach, toby się na kominie odegrzało.

— Nic z sobą nie przynieśliśmy. Jeżeli macie jaja i masło dobra gosposiu, to będzie dla nas dostateczna kolacya po powrocie ze spaceru.

— A gdzieby się tam nie znalazły, dał Pan Jezus dwie krowy i mało wiele kur, o tę porę kury nieśliwe, biegnę paniczkom usmarzyć jajecznicy.

— Nie tak żywo, nie tak żywo! trzeba nam przedewszystkiem zrobić znajomość z waszemi górami i skałami.

Tu oba podróżni pośpiesznie wyjmowali z mantelzaków książki, papier, podróżny kałamarz, które starannie na stole poukładali, wyjęli także woreczek z niebardzo zamożną kasą, który obok kałamarza położyli, poczem zamknąwszy stancyjkę na klucz, powierzyli go Bartoszowej, a skłoniwszy się jej, wyszli na pierwsze okolicy oględziny. W tem miejscu wypadnie nam bliżej zaznajomić was, z dwoma młodymi nieznajomymi, z których jeden szczególną zwrócić powinien waszą uwagę, jako główna tego obrazku postać. Jak to już zauważyliśmy z familijnych rysów twarzy, można było odgadnąć, że młodzieńcy nasi byli rodzonymi braćmi z niewielką może wieku różnicą. Jakaś powaga i powolność w ruchach, skłonność do zwieszania głowy i zamyślenia, książki i papiery otaczające ich w podróży: co było osobliwością; gdyż w owym czasie, czytanie nie było tyle co dzisiaj chlebem

powszednim wyższych warstw społeczeństwa; wszystkie te szczegóły zdradzały w nich ludzi niezwyczajnych usposobień literatów. Młodszy, powierzchownością swoją szczególniejszą na siebie zwracał uwagę, nie, żeby zachwycać męzką pięknością ciała, wydatną postawą, lub urokiem regularnych rysów; miał on coś więcej jak te nie rzadkie zalety wieku młodzieńczego, rozlany na twarzy wyraz rzewności i łagodności charakteru, jakąś anielską słodycz, a co więcej piętno tęsknoty i cierpienia, które na pierwszym wstępie wszystkie do niego nęciły serca. Wzrostu więcej jak średniego, szczupły, blondyn, oczy jasno-niebieskie, twarz drobna, lica blade, spojrzenie smutne, zapowiadały w młodzieńcu chorobliwe usposobienie i pewną do egzaltacyi skłonność. Zwykle milczący i zamyślony, miewał chwile, w których mowił z zapałem i uniesieniem, a wtenczas wyraz oczu jego nabierał dziwnego blasku, ognia i energji, na oblicze lekki występował rumieniec, ale było to tylko przechodnie zmiany, wywołane wzruszeniem. Wkrótce, rysy twarzy młodzieńca do zwykłego powracały wyrazu melancholji i spokoju. W czasie pierwszej bytności w Ojcowskiej dolinie, Kazimierz (takie bowiem odebrał na chrzcie imię), mógł mieć około lat ośmnastu, wszystko w nim zdradzało wątłą ciała budowę, jedną z tych organizacyj, od urodzenia przeznaczonej na fizyczne i moralne cierpienia. Wyszedł wraz z bratem na tę pierwszą po tej nowej dla nich okolicy wędrówkę, gdzie im wszakże tym razem towarzyszyć nie będziemy i zkąd wrócili do chaty już przy dobrym zmierzchu, pod silnem wrażeniem miejsc i widoków, którym się przypatrywali.

— Andrzeju, rzecze Kazimierz do swego towarzysza, ten raj pierwszych ludzi, o którym mamy podanie i tak

silną wiarę, ten raj miał także rzeki, doliny i skały i ten przepyszny widok zachodu słońca, który nas zachwyca.

— O, zapewne, odparł Andrzej, raj ziemski musiał mieć te rozkoszne widoki, skoro one tak wielkie na nas śmiertelnych czynią wrażenie. Kto raz doznaje rozkoszy takiego widoku, czuje ile byłby nieszczęśliwym, gdyby go na wieki od niego odtrącono.

— Czego nie rozumiem, mówił znowu Kazimierz, to nieskończoności ludzkich pragnień, która mieszkańcom owego ziemskiego raju zostawiła jeszcze coś do życzenia. Czuję, że gdybym tu żył, a jeszcze obok ciebie Andrzeju, niczego więcej bym nie pragnął.

Gdy młodzieniec słów tych domawiał, Bartoszowa przyniosła im skromną wieczerzę, dawno już dla nich przygotowaną. Odpoczywając po kilkogodzinnej po górach i skałach utrudzającej przechadzce, podróżni mieli czas przypatrzeć się starej niewieście, której wyraz smutku, niezwykły na twarzach krakowskiego ludu, zwrócił ich uwagę. To współczucie wzmogło się, gdy krzątająca się koło gospodarstwa Stachowa, młoda i rzeźka kobieta, córka Bartoszowej a żona dawnego parobka jej męża, odezwała się do niej głosem, w którym przebijał się mieszany wyraz smutku i rubuszności.

— Uspokójcie się matulu, rzecze, już wy na to nie poradzicie, choćbyście i nasz zamek i całą Piłasową skałę we łzach waszych skąpali. Ot, jedzcie wieczerzę, pokrzepcie się trocha; to mówiąc młoda wieśniaczka przysunęła drewniany stołek, a rozciągnąwszy na nim białą płachtę, postawiła misę z żurem i kartoflami przed Bartoszową, która nie raźno wzięła się do jadła.

— Dziękuję ci moje dziecię, żeś o mnie pamiętała, rzekła starowina; dobrze się zagrzać ciepłą strawą staremu

żołądkowi, bo choć Pan Jezus dał ciepło, staremu zawsze chłód, ale przy tem utrapieniu, to człek i do jedzenia nieskory. To mówiąc, uchwyciwszy jedną ręką za drewnianą łyżkę, drugą ocierała łzy płynące po wyschłej twarzy. Drzwi od stancyjki naszych podróżnych w chwili tej rozmowy między starą niewiastą a jej córką na wpół otwarte były. Nasi młodzieńcy, świadkowie łez Bartoszowej, do żywego byli wzruszeni. Widok moralnego cierpienia u wiejskiego naszego ludu, nie może być dla nikogo obojętnym!.. W wyższych społeczeństwa sferach, smutek nie zawsze jest spowodowany godną litości i współczucia przyczyną. Zbyt często zawiść, obrażona próżność, zbyt wygórowana miłość własna, wyuzdane łakomstwo, pokrzyżowane projekta i rozmaite sztucznego życia zawady, stają się tu wielu łez i cierpień przyczyną. Lud wiejski nie zna większej części tych cierpień, sama śmierć, tyle dla osób stanu naszego straszna, jest w jego przekonaniu rzeczą bardzo zwyczajną, koniecznem życia następstwem, tak samo jak wszelkie przechodnie klęski, grad, nieurodzaje, pogorzel i t. p., które znosi z chrześcijańską rezygnacyą. Malownicza jego mowa doskonale wyobraża ten spokój duszy, wpośród największych jego trosk: *Nawiedził mnie Pan Bóg śmiercią dziecka, pomorem na bydło, ogniem, głodem i t. p.*, powtarza często chłopek polski. U ludu klęska w domu, to Bóg w domu, bo według jego prostego, nieskrzywionego fałszywą nauką zdania, wszelkie nieszczęście jako kara, lub tylko próba, z rąk Ojca Niebieskiego pochodzi. Są jednak zawady życia, na które chłopek nasz mniej jest wytrwały, a temi są klęski niebezpośrednią wolą Boga spowodowane. W liczbie takowych, w pierwszem miejscu policzyć należy, tak zwaną u ludu naszego *brankę*, czyli pobór do wojska. Żal oderwa-

nia się od istoty pełnej życia i zdrowia, zawsze w domu użytecznej, da się tu łatwo wytłómaczyć. Lud nasz jeżeli nie ma owej czulszej uczuciowości, będącej w naszych obyczajach tak zwyczajną, posiada wyrozumowane pojęcie własnego interesu i rodziny. Branka jest dla niego coś stokrotnie gorszego jak sama śmierć. Śmierć ma tę dogodność, że uwalnia od wszelkich starań i niespokojności, kiedy branka, mająca pewny charakter śmierci, bo porywa swoją ofiarę na czas nieograniczony, a czasem na zawsze, łączy się nadto z przypuszczalnym widokiem kalectwa, niemożności zarobku, co u pracowitego ludu naszego jest najistotniejszą klęską. Takie to i inne uwagi, czyni sobie pociągniony do wojska rekrut i rodzina jego i nie czyni ich bez pewnej, ze swojego stanowiska słuszności.

Rok 1809 jest, jak wam wiadomo, na zawsze w dziejach naszych pamiętnym, w tym to bowiem czasie, książę Józef Poniatowski, synowiec króla polskiego, Stanisława-Augusta, na czele garstki wojska, bo tylko około dziewięciu tysięcy ludzi, czterdziesto tysięczny korpus austryjacki wyparł w przeciągu kilku-tygodniowej kampanji z granic Polski, wówczas Księztwem Warszawskiem zwanej. Słynna bitwa dziewiętnastego kwietnia tegoż roku pod Raszynem, wzięcie Sandomierza, Zamościa przez Polaków, a nakoniec znaczna porażka pod Toruniem, zmusiła arcyksięcia Ferdynanda, naczelnego wodza korpusu austryjackiego, do cofnięcia się ku Krakowu, a następnie bezzwłocznego opuszczenia kraju. W tym to czasie cała polska młodzież wszelkich stanów i prowincyj, zaciągała się do wojska, wszędzie na drogach spotykać było można bryczki z rzeźką młodzieżą, śpieszącą, lub konwoje rekrutów ciągnące do Warszawy.

Jak we wszystkich kraju okolicach, tak koło Ojcowa i Pieskowej Skały ruch był niezwyczajny, w każdej niemal rodzinie żegnano się, opłakiwano odjazd syna, to męża, to brata do wojska, a jak to zwykle bywa, kobiety, matki, żony, siostry, były stanu tego kraju najboleśniejszemi ofiarami. Ale wróćmy do chaty z pod Piłaszkowej Skały. Łzy biednej niewiasty zmięszane z pożywaną przez nią strawą, mocno rozrzewniły naszych podróżnych. Kazimierz powstawszy ze swojego miejsca, gdzie pobieżnie rzucał na papier wrażenia z ostatniej przechadzki, zbliżył się do niej i z wyrazem pełnem współczucia i dobroci, zapytał o przyczynę płaczu.

— O, paniczku, długoćby to było o tym wszystkiem rozpowiadać, odpowiedziała biedna niewiasta. O ciężko, ciężko Bóg nas karze, to chyba będzie koniec świata, człek już dożył lat statecznych, a nie pamięta takiej na świecie rujnacyi. Bóg mi zabrał mojego Bartosa, będzie rok da Bóg doczekać na święty Idzi, mój Szymek wziął gospodarstwo na poły z zięciem, a ot, pan burmistrz z Olbroma, przysłał pisanie do naszego pana kommisarza, żeby mu dostawił dziesięciu ludzi do wojska, co się tam szykuje. Pan komissarz wczoraj ot, tak jakoś, jak to bydło na południe wraca, przysłał karbowego z nakazem, aby się Szymek w drogę do Olbroma, a potem gdzieś tam aż za Warszawę z rekrutami ładował. O! jaką że ja stara dam sobie radę, ja stara nie wiele pomogę, a zięć i córka nie zmogą robocie. Tu biedna kobieta, od powtórnego płaczu i łkania wstrzymać się nie mogła. Zbliżył się do niej i starszy podróżny, pocieszali ją oba jak mogli, przekładając jej, że żadnego gwałtu im zrobić nikt nie może, że wcale do wojska nie zmuszają, że im łatwo będzie wypro-

sić u pana kommissarza, aby Szymek, jako gospodarz rolny, przy niej pozostał.

— O, moi paniczkowie, odpowiedziała stara, sam mój Szymek rwie się do wojska, jak widzi żołnierza, ledwie ze skóry nie wyskocy, trudne mu li wyperswadować.

Gdy tych słów domawiała, słychać było na dziedzińcu, skrzypienie kół od woza i ciężkie kroki; drzwi rozwarły się gwałtownie, dwóch ludzi młodych i dorodnych wbiegło do izby. Starszy, zięć Bartoszowej, ubrany jak na codzień, w tak zwanej krakowskiej kitli, to jest odzieniu krojem zwyczajnej sukmany, ale z białego, grubego lnianego płótna uszytem. Młodszy ów, tyle żałowany Szymek, miał na sobie granatową sukmanę z pąsowemi wyłogami podszyciem, na wierzchu drugą, zawieszoną na ramieniu, tradycyonalny pas z kółeczkami i blaszkami, u którego z lewej strony na długim rzemyku przyczepionym był kozik, czyli tak zwany cyganek, na głowie słynna na całą Polskę i Litwę czworograniasta czerwona czapeczka, czarnym obszyta barankiem i pawiem zdobna piórem; fuzya myśliwska z tyłu zawieszona, para pistoletów u pasa i buty z calowemi podkówkami. Oto kompletny ubiór naszego rekruta, który wpadłszy pierwszy do izby, rzucił się do nóg starej matce.

— Matulu, rzekł, bądźcie zdrowi, idę het, już mnie nie zobaczyta.

— Gdzie? co? jak? — zawołała przerażona matka,

— No, a jużci do Olbroma.

— O już mnie opuszczasz mój synu, a toż trzeba i mnie umierać.

— Uspokójcie się, trudna rada kiej trzeba.

— Mam ja się uspokoić, adyć cię tam na zabijatykę prowadzą nie na co, o mój Jezu kochany, trza mi bę-

dzie na starość wziąć worek i pójść po proszonem. Kto mnie tu będzie żywił, kto oczy zamknie, kto pochowa?

— I dobrze, dorzuciła, płacząc i szlochając i włosy sobie wyrywając młoda gospodyni, Szymkowa siostra, gdzie mój chłop sam sobie da radę na tak dużej roli.

Tu wszyscy, nie wyłączając podróżnych i karbowego, który przyszedł za rekrutem i stał na boku, przypatrując się tej scenie, razem płakać poczęli. Przerażające wycie domowego psa i krzyk dzieci, dodawały jeszcze okropności tej pożegnalnej scenie.

— Już dosyć tego, zawołał groźnie karbowy, ocierając sobie łzy rękawem od kapoty, już dosyć tego, ślochalibyśta do sądnego dnia, a nam pilno jechać, komu w drogę to i czas; wóz stoi przyładowany i zaprzężony, twoja siwa kobyła Szymku osiodłana, iuszaj a raźno.

Tu głębokie w izbie nastało milczenie. Bartoszowa powstawszy z miejsca, uklękła i gorąco modlić się zaczęła.

— Panie kumie, zawołała po chwili, adyć mi się pozwólcie jeszcze z moim Szymkiem nacieszyć. A cyż ja nie matka, cyż ja na niego nie bolała, cym ja go własną piersią nie wykarmiła! nie wychowała, o mój miły kwiateczku, chodź tu do mnie, niech cię ostatni raz ukocham, ucałuję, coś mi tu ot mówi (tu starowina wskazała na serce), ze cię już nigdy nie zobaczę, ja juz jedną nogą w ziemi, a ciebie Ostryjak zabije.

Domawiając tych słów, wyjęła z zanadrza mały, skórzany woreczek, do szkaplerza przyczepiony, całkowicie zaszyty i rozpruwszy jeden jego bok, wydostała z niego medalik Matki Boskiej Częstochowskiej i tuż przy nim będący węgierski dukat z wizerunkiem Najświętszej Niepokalanej Dziewicy, starannie w papier obwinięty; przeże-

gnała syna, włożyła je nazad do woreczka, który napowrót zaszyła, a zawiesiwszy go u szyi Szymka:

— Oto masz moje dziecko, rzekła, niech cię ta Królowa Nieba i ziemi nie opuszcza nigdy. Oto i ten złoty pieniądz, chowam ja go od piętnastu lat na mój pochowek, ale ci go daję, żebyś miał na jaki wypadek. Dobrzeć to myśleć zawczasu o chałupie na śmierć, żeby człek i po śmierci drugim nie zawadzał. Ale trudna rada, łatwiej im tu dać sobie radę z ciałem w domu, boć jest i jałówka, to na przypadek mogą ją sprzedać, jak tobie tułać się samemu, może w ciężkim kalectwie po szerokim świecie, przez rady i przyjaciela.

Tu Bartoszowa, raz jeszcze pobłogosławiła Szymka na drogę; rekrut ucałował jej nogi, a pożegnawszy się kolejno ze wszystkiemi, wyszedł z izby z karbowym.

Podróżni, niemi tej sceny świadkowie, mocno rozczuleni, poszli do swojej stancyjki, ale Kazimierz zwrócił się szybkim krokiem ku Bartoszowej i dobywszy z kieszeni woreczek, wsunął dukata w rękę biednej kobiety, której łzy i podziękowania, zwróciły uwagę starszego brata. Andrzej spojrzał na Kazimierza, którego lica oblały się rumieńcem, szanując w młodzieńcu wrodzoną mu skromność, tym razem żadnej nad postępkiem jego nie uczynił uwagi. Żal u wiejskiego ludu nie długo trwały, w chacie Bartoszowej po odjeździe Szymka wszystko weszło do dawnego trybu. Staruszka siadłszy na ławie, jęła się znów do kądzieli i kołysania wnucząt, wśród ciężkich westchnień i modlitwy po cichu. Stachowa łzy otarłszy, poczęła myć naczynia po wieczerzy, a mąż jej poszedł do stodoły po świeże siano dla podróżnych. Przyniosłszy go, rozpostarł na ziemi, wyniosłszy starannie stare po ostatnich gościach legowisko. Następnie, poszedł do komory i wyjął z niej

jaką miał po ojcu starą sukmanę, podłożyć na sianie, żeby młodemu Bartoszowej dobroczyńcy wygodniej spać było, poczem zagasił starannie ogień na kominie i wszyscy zmówiwszy pacierz na głos, spać się pokładli. Starszy gość, czując się mocno znużonym, poszedł za ich przykładem; w kwadrans cała chata w głębokim śnie pogrążona była. Kazimierz, zapaliwszy świecę u niedogaszonego jeszcze ogniska, usiadł przy stoliku i czas jakiś wsparty na ręku dumać począł. Nagle chwyciwszy za pióro, godzin parę pisał, pisał bez przerwy i byłby może nie skończył swej pracy, gdyby dogorewająca świeca nie przypomniała mu, że czas już spocząć. Nazajutrz z brzaskiem dnia, pracowita chaty drużyna, po spokojnym całonocnym śnie, wstawszy i pomodliwszy się Bogu, udała się każdy w swoją stronę do roboty. Bartoszowa poszła śpiewać. „Kiedy ranne wstają zorze i t. d. nakładając nowego zarzewia do zgasłej już lampki przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, jej córka poszła krowy doić, trzodę napaść, a gospodarz spędziwszy woły z błonia, wziął grabie i poszedł siano stożyć. Podróżni nasi mimo znużenia dnia poprzedniego, wczas bardzo zerwali się ze swojego posłania. Bartoszowa słysząc ich mówiących wzięła z komina przygotowany już garnuszek przeważonego mleka, a otarłszy go starannie z popiołu, postawiła na talerzu obok dwóch szklanek czysto wymytych i dwóch kawałków pięknego i dobrze wypieczonego razowego chleba grubo ukrajanych i masłem posmarowanych, zaniosła swoim gościom.

Może paniczkowie, rzekła, pójdą na mszę do kościołka do Grodziska, dziś tam będzie wotywa, bo przyjechali reformaci z Pińczowa.

— Dziękujemy wam, moja Bartoszowa, rzekł młody jej dobroczyńca, za waszą dobrą radę i za posiłek w sam

czas zgotowany, gdyż właśnie wybieramy się na powtórne oględziny waszej ślicznej okolicy.

— O mój miły paniczku, każdy co tu przyjedzie dziwy o niej prawi. Ja sama urodziłam się i wychowałam w Ojcowie, a gdy patrzę na to stare zamczysko, na tę naszą szumiącą Białuchę [1]) choć przy utrapieniu i robocie, ledwie mi serce z radości nie wyskoczy. O biedny mój Szymek, on już może nigdy nie zoczy tych kochanych skał naszych.

To rzekłszy z płaczem stara wróciła do ogniska i poczęła się krzątać koło śniadania dla siebie i swoich. Tym czasem nasi podróżni wyszli z chaty.

Muszę ci też pewną zrobić wymówkę, rzekł starszy brat do młodszego, zawsze zapominasz o sobie dla drugich. jużem ci to nie raz powiedział, rządzisz się więcej sercem niż rozumem, a w tym świecie, gdzie twardej rzeczywistości ręka ustawicznie nad naszemi zawisła głowami, rozum powinien sercu przewodniczyć. Z kilkunastu dukatów, które potrafiliśmy tym czasem, na rachunek spadku po ojcu wydobyć, a które na długo cały twój stanowią fundusz, dałeś jednego tej biednej kobiecie. Nie mogę ganić twojego uczynku, bo sam wielką miałem powtórzyć go ochotę; jeżeli wszakże tak dalej będzie, przyjedziesz do Warszawy bez grosza przy duszy.

Ach! mój bracie, rzekł rumieniąc się młodzieniec, nie spodziewałem się żebyś zwrócił uwagę na...

Żebym cię zdybał na gorącym uczynku, nie prawdaż?... Cóż ja temu winien, że mnie coś zawsze kusi do

---

[1]) Lud miejscowy nazywa Prądnik *Białuchą Sułoszowską*, stosownie do miejsca gdzie płynie. (*P. aut.*)

śledzenia każdego twego kroku?... Zresztą mam prawo starszeństwa i jak widzisz nie zaniedbuję go użyć w danym razie.

Drogi przyjacielu mój, rzekł Kazimierz ściskając rękę brata, nie będę się nigdy lękał, abyś czytał w sercu mojem, nie znajdziesz tam nic, coby było ciebie niegodnym. Ofiara którą zrobiłem starej Bartoszowej, nie była zwyczajną jałmużną. Kocham lud wiejski, wśród niego się wychowałem, jemu winienem utrzymanie przy życiu i jakiem takiem zdrowiu. Wiadomo ci, że po przyjściu na świat, zaledwie mi dni kilka wróżyli lekarze; mnie sierotę po matce, staranność i poczciwe wiejskich kobiet serce, zachowały przy życiu. Pamiętasz, ową Różę służącą naszej matki? Ową Różę, którą matka, umierając zaklęła aby o nas miała staranie, a ona mimo razów i prześladowania macochy, odstąpić od nas nie chciała.—A jakże ją pamiętać nie mam, przypominam sobie także, jak ona nam głodnym u macochy pasierbom, dodawała to mleka od pachciarki, to gumułki i kukiełki z jarmarku, które nam poczciwi jej kumowie z ujmą własnym dzieciom przywozili... A ową izbę folwarczną, co to nam za zimowe leże służyła, gdzie nam poczciwa Róża i ów stary wojak, karbowy naszego ojca, opowiadali przy kominie historye i gadki, które nam sen odbierały... Ach! słyszę jeszcze dziś tę gawędy, były one naszą pierwszą literaturą, widzę jeszcze te miasta, góry, rzeki, mosty, te straszne włoskich rozbójników postacie, stanowiące główną ich treść. Wszakże to opowiadanie dwójga tych przyjaciół naszej młodości dały mi niezmyśloną chęć zwiedzenia tej pięknej Italii, strumieniami polskiej krwi zbroczonej.

— Ale to wszystko nie dowodzi, rzekł uśmiechając się Andrzej, konieczności podziału tak znacznej części

twojego mienia z Bartoszową. Kiedy się tak stało, pozwól że przynajmniej, abym i ja miał udział w tym dobrym uczynku.

— Jak zawsze tak i teraz, odrzekł młodzieniec, rzucając się bratu na szyję, jak zawsze tak i teraz, chcesz nagradzać moje uniesienia, niech i tak będzie. Drogi mój przyjacielu, scena pożegnania starej Bartoszowej z synem, do żywego mnie przejęła. Nie podobna mi opisać ci moich wrażeń, na widok tych niekłamanych uczuć ludu naszego. Lud nasz, gdy mu się zdarzy być poczciwym i nieskażonym, to natura wyszła wprost z rąk Boga, w jej najszczytniejszym objawie, w człowieku. W tym żalu matki za synem, jest cała prostota niekłamanych uczuć! Tu mimowolnie zrobiłem zwrot na siebie samego i poczułem więcej niż kiedykolwiek moje sieroctwo. Andrzeju i ja jadę do wojska, a nie mam matki, którąby mnie ręką swą pobłogosławiła, łzę miłości nademną uroniła.

Uspokój się drogi poeto, czyż przyjaźń brata niczem jest dla ciebie?

O! dziś jest wszystkiem, wszak nas dwóch tylko na świecie zostało, kocham cię jak starszego brata, opiekuna. przewodnika, ale jakże nie wyznać ci pożerającej mnie tęsknoty za matki uściskiem. Tego uścisku, ciągnął dalej, nigdy nie doznałem, marzyłem o nim, jak marzymy o raju obiecanym i nagradzamy go sobie, tworząc o nim najdoskonalsze wyobrażenia.

Od chwili pogrzebu mojej matki, była mi ona zawsze pamiętną, widzę dziś jeszcze bladą jej postać w trumnie leżącą, słyszę owe złowieszcze słowa księdza: *dzieci, będzie was macocha biła.* Te słowa stosuję do całego mojego życia i świat mi się zdaje macochą. Wszędzie gdzie jestem lub gdzie dosięgnąć może moja wyobraźnia, widzę dzieci

i matki ich wzajemną miłość i uściski. Nie mogę się utulić ze smutku, cisnącego mi serce, gdy widzę lub słyszę wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Imie matki od lat najmłodszych, było dla mnie świętem nazwiskiem. W starej Bartoszowej widziałem matkę i już dla tego zdała mi się wielkiej czci i miłości godną.

Tu wieszcz umilkł, łza zakręciła się w jego oku, oblicze większej jeszcze nabrało rzewności i wyrazu nietajonego już smutku; zapomniał o bracie który go słuchał, o świecie Bożym który go okalał, a podniósłszy głowę ku niebu, dumać począł. Andrzej szanował cichą brata modlitwę. Po niejakiej chwili, ująwszy jego rękę, czule ją ścisnął. Ten uścisk ocucił Kazimierza, który spojrzawszy na brata, długo się weń wpatrywał.

— Andrzeju, rzekł do niego, przebacz moim uniesieniom, wczorajsza scena, której byliśmy świadkami, nie sama jedna spowodowała ten stan, w którym mnie dziś widzisz. Inna jeszcze okoliczność była jego przyczyną. Tej nocy, gdy po długiem pisaniu zasnąłem, miałem sen o naszej matce, który całe moje życie pamiętnym mi będzie. Byłem niby w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim została złożona w trumnie, wśród tłumu podobnych jej bladych niewiast, ręką mnie do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jej, dziwną mnie upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos *requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku, jak ci wiadomo, napisałem elegię do cieniów mojej matki, niepamiętam jej wcale, wiem tylko, że ją płacząc pisałem. [1] Otóż

[1] Własne słowa poety w pamiętniku pozostawione. Patrz jego biografię Siemieńskiego, Chodźki, Wójcickiego i inne. *(P. aut.)*

ta elegia stanęła mi tej nocy w żywej pamięci, zbudziłem się usłyszawszy we śnie jej strofy.

Gdy poeta domawiał słów tych, gorąca łza spłynęła po jego licu, dwaj bracia postępowali dalej w milczeniu, gdy zbliżając się do kościołka świętej Salomei, odgłos dzwonka zwiastował im, rozpoczęcie ofiary świętej. Jakby jedną tknięci myślą, na ten znany im dobrze dźwięk, głowy swoje odkryli, przeżegnali się i do kościołka pospieszyli. Andrzej usiadł na ławce, a młodszy brat jego ukląkł na stopniu ołtarza i gorąco modlić się począł. Po skończonej mszy świętej, oba bracia zwiedzili Grodzisk i jego urocze widoki, wpisali swe nazwiska w księgę pamięciową zachowaną u pustelnika i wdali się w długą z nim gawędkę. Białowłosy starzec w pół zakonną przyodziany suknią, opowiadał im wszystkie miejscowe podania o świętej Salomei, królu Łokietku, o Pokutnicy z królewskiej groty, podania, które ubarwił całą świeżością i oryginalnością ludowej fantazyi.

Wieszcz przysłuchiwał im się z niewypowiedzianem zajęciem i głęboką uwagą.

— Nigdy, rzecze odchodząc, nie zazdrościłem nikomu bogactwa, czczej chwalby i tym podobnych światowych błyskotek, nie mam też w tem żadnej zasługi, bo nigdy mnie one do siebie nie wabiły. Gdybym był skłonny do zazdrości, zazdrościłbym temu oto starcowi jego z gałęzi sklecone chaty, widoku tych skał niebotycznych, zielonej murawy, tego strumyka czystej wody i woni polnych kwiatów. Być kiedyś w posiadaniu tych skarbów natury, jest jedynem mojem marzeniem!...

Tak podróżni nasi, dni ośm na pobyt w Szwajcaryi polskiej przeznaczone, przepędzili, już na szczegółowem onej zwiedzeniu, już na rozmowie z miejscowym ludem

i pilnem badaniu podań ich źródła, już też na pisaniu, któremu młodszy brat zwłaszcza, znaczną część nocy poświęcał. W dniu przeznaczonym na wyjazd z Prądnikowej doliny, oraz rozłączenia się dwóch braci, skoro pierwszy brzask jutrzenki zaświtał, byli oni już gotowi do podróży, gdy Andrzej spojrzawszy na brata zajętego pakowaniem swych rzeczy i książek, spostrzegł w jego ręku rękopism, który w trąbkę zwijał i do mantelzaka wsuwał.

— Co to tam masz w tym zwitku? rzecze Andrzej, powstawszy z miejsca.

— Ot tak, odrzecze zarumieniony poeta, ramoty, wierszydła. Rzucałem na papier co mi myśl na pióro podała, prawdziwie nie warto czytać, mam wielką ochotę spalić tę bazgraninę.

— A toż dla czego?... nie masz przyczyny wstydzić się twojego brata.

— Nie wstydzę się ciebie ale nie mam wiary, aby ta moja praca na coś się zdała.

— Dla czego?

— Bom ją pisał pod silnym wrażeniem miejsc tych widoków i podań. Gdy się mocno czuje, mniej się zważa na formę, na sztukę; poznaję sam, że tu wiele przeciw nim zgrzeszyć musiałem.

— Twoja praca może nie być arcydziełem; wolę wszakże, że piszesz natchniony uczuciami serca i widokiem tych okolic, jak żebyś bezmyślnie kreślił komplikacye starożytnych i późniejszych pisarzy.

Domawiając tych słów Andrzej wyrwał młodemu poecie zwitek papieru i wziął się do onego przeglądania. W miarę jak się weń wczytywał, oczy jego zabłysły radością.

— Co widzę, zawołał, szkic do poematu, opis życia i kościołka świętej Salomei, legenda o Dorotce z Toporczyków i opowiadanie o tajemniczej nieznajomej z królewskiej groty, jej śmierć w kruchcie kościoła w Krakowie, scena ludowa odjazdu Szymka, wszystko to gładkim i natchnionym spisane rymem!... Co za prawda, co za prostota, a nawet jaka w niektórych miejscach szczytność!

— Ach! bracie mój, odrzekł uradowany młodzieniec, ani słowa więcej, bo mnie uczynisz dumnym, zarozumiałym. A więc ta moja ramota, którą tak mało ceniłem jest coś warta? O, jakże mi będzie drogą kiedy twoje zyskała zadowolenie. Andrzeju, tyś moim mistrzem w sztuce, tyś prowadzicielem i pochodnią w pierwszych moich krokach na drodze literackiego zawodu. Błagam cię jak dawniej tak i teraz, nie szczędź mi uwag twoich, a nawet surowej krytyki. Lękam się sam siebie; są chwile gdzie mi brak wiary w własne siły, to znów jakieś szalone wyobrażenia snują mi się po głowie. Bracie, czuję to dobrze, mogę się mylić.

— Kazimierzu, ja ciebie nie pojmuję, wiesz że nigdy nie taiłem przed tobą, mojego zdania, zkądże więc to zwątpienie?

— Ach! nie lękam ci się wywnętrzyć z myślami mojemi ale przedewszystkiem cię proszę, nie tłomacz ich sobie opacznie, niebierz za młodzieńczą zarozumiałość tego, co jest wynikiem może fałszywego, ale szczerego przekonania.

— Mów śmiało, słucham cię.

— Wiadomo ci, że czytanie było zawsze moją najmilszą rozrywką, a zwłasza czytanie polskich poetów. Od chwili, jak ów Niemiec dyrektor szkół

w Tarnowie, wzbraniał nam czytania książek polskich, to zamiłowanie do literatury, przeobraziło się prawie u mnie w namiętność. Mimo największych jak ci wiadomo przeszkód, oraz wprost przeciwnego wychowania, poznałem ją dokładnie. O! tkwi we mnie mimowolne przekonanie, które dotąd ledwie sam sobie przyznać ośmieliłem się, że czas Zygmuntowskich poetów, był ostatnim oryginalnej poezyi w Polsce okresem.

— Jak to bracie, a Krasicki, Trembecki i tyle innych z czasów Stanisława Augusta pisarzy, czyż oni poetami niebyli?

Tu młodzieniec porwawszy brata za rękę, poprowadził go do okienka stancyjki, wskazał mu uroczy widok wschodzącego słońca, wspaniale i majestatycznie występującego z po za skały, okrywając złocistym płaszczem wody Prądnika i zwaliska Ojcowskiego zamku. Oba młodzieńcy oczy weń wlepili, nie mogąc ich od niego oderwać. Dwie łzy spłynęły po Kazimierza licach.

— Andrzeju, rzecze, poezya to prawda, to piękno; a wiesz kto poeta? dodał wieszcz z uniesieniem. Ot wiekuisty tych wielkich dzieł Twórca. Jest wszakże, dodał już spokojniej, jest wszakże poezya, nie tylko w wielkich natury dziełach, ale w sercu całej ludzkości tlejąca, poezya miłości, poświęcenia, moralnego piękna. Ta poezya jest wszędzie zawsze jedna od stworzenia świata, a jej wiecznie trwałą świątynią jest wszech świat i serce poczciwego człowieka. Otóż z bólem serca ci wyznać muszę, nie widzę ja jej w poetach Stanisławowskich, a nawet dzisiejszych, czuję mimowolny wstręt do tych płodów naśladownictwa, Greków, Rzymian i Francuzów: jest tam wszystko, wyjąwszy prawdy, rzewności i prostoty; wielka szczytność myśl i

i formy, ale brak ducha chrześcijańskiego, niekłamanego uczucia i natchnienia.

Tu wieszcz umilkł i znów oczy wlepił w okno, twarz jego powlekła się zwykłym tęsknoty i smutku wyrazem.

— Kazimierzu, rzecze Andrzej z półuśmiechem, jak widzę, zakrawasz na reformatora!

— Alboż ja wiem? Czuję, żem młody, bez doświadczenia, ale widzę, tak, widzę jak na dłoni, że naśladownictwo nie może być poezyą, bo poezya to twórczość, to samodzielność, to iskra Bożego natchnienia, chwilowo odbijająca się w duchu człowieka, w duchu poety. Czuję także, że poezya nie jest jakby z urzędu mieszcząca się w kawałku rymowanej mowy, w poemacie lub tragedyi; główne jej zródło, to uczucie w prostocie ducha i serca na papier wylane. Wiem, że nigdy się nie będę liczył do tych szczęśliwych wybrańców, którzy jak Homer i Dante odkryli istotę i źródło poezyi i nią posilili ludzkość, spragnioną prawdy i piękna; czuję ją wszakże tlejącą w głębi tego serca, które dziś odkryło ci najskrytsze twoje tajniki.

— Widzę, biedny mój poeto, że duch niemiecki wionął na ciebie. Dobrze, że nas tu nikt nie słyszy, bo przeczuwam, ilubyś miał nieprzyjaciół w zapamiętałych klasycyzmu francuzkiego wielbicielach.

— Mylisz się bracie, ja nie jestem wyłącznym niemców zwolennikiem, bo czyż bezwarunkowe ich metody przyjęcie, nie byłoby także innego rodzaju naśladownictwem? Czyż Schiller, Göethe, te wielkie ducha niemieckiej narodowości objawy, na nasz grunt żywcem przeniesieni, nie byliby czczą i niewłaściwą na słowiańskiej niwie anomalją?... Ja przedewszystkiem uwielbiam prawdę, która jak to słońce na niebios sklepieniu, własnem i niepożyczanem świeci światłem, Andrzeju, w swojskiej naturze,

w swojskim ludowym pierwiastku szukajmy poezyi i niewyczerpanego natchnień źródła.

Andrzej zdziwiony, rozrzewniony, nie mógł bratu zataić swojego podziwu i uniesienia, rzucił mu się na szyję i do bijącego przycisnął serca.

— W tych słowach, rzecze, nie tylko widzę twoją przyszłość i stanowisko, ale przyszłość literatury narodu, wśród którego światło dzienne ujrzałeś. Tę prawdę, którą dziś tak śmiało wyrzekłeś, czułem oddawna leżącą na dnie serca mojego, ale są przesądy czasu i wieku, w których uledz potrzeba, jeżeli nie czujemy w sobie dosyć potęgi ducha, aby jak Dante i Szekspir, nowe wiekowi swojemu wskazać drogi.

Tu Andrzej znowu począł przewracać rękopism i trafił na scenę, w której Bartoszowa zawiesza medalik Matki Boskiej, na szyi Szymka, odjeżdżającego do wojska.

— Cóż to za prawda w tym obrazku, jaka prostota, jaka serdeczność! a to wszystko bez pstrocizny mitologicznych bogów i pół-bogów. Widzisz Kazimierzu, łzy znowu cisną się do moich oczu, jak owej chwili rozdziału matki z synem; ta scena znów się powtarza, ale powtarza w najpiękniejszym, w najszczytniejszym swoim ideale; te łzy moje, ciągnął dalej Andrzej, cóż to za tryumf dla poety?

— Dzięki tobie, zawołał Kazimierz z zapałem, dzięki tobie za tę łzę współczucia, kiedym ja się bał słowami mojemi, bolesnego uśmiechu politowania na twe usta wywołać!

— Już jam ci od dawna powiedział, skromność twoja jest niewczesna, a nawet szkodliwa. Wiara w swoje posłannictwo jest konieczną dla poety, a nawet dla pisa-

rza, odkrywającego swojemu wiekowi i społeczeństwu nowe prawdy.

— Masz słuszność Andrzeju, niewiem jakie mnie przeznaczenie Bóg gotuje, ale wiem to dobrze, że aby pisać jak czuję i myślę, potrzebuję słowa współczucia i zachęty. Są chwile, w których tak dalece o sobie powątpiewam, że wiele pism moich popaliłem, nie radząc się nawet, czy się mogą na co przydać.

— Kazimierzu, daj mi słowo. że od tej chwili poezyj twoich palić nie będziesz, bez poprzedniego mi ich przeczytania.

— To słowo, którego żądasz odemnie, daję ci go z wdzięcznością, z błogiem uczuciem radości. Ten oto zwitek papieru, powód najszczerszej radości, jakiej w życiu doznałem, byłby już rzucony w ogień, gdyby nie twoja poczciwa zachęta i współczucie? Wyznaję ci jednak szczerze, istnieje jeden warunek, bez którego czuję, że niepodobna aby mi było pisać. Potrzeba mi widoku szerokiego świata, gór, skał, łąk, zieloności, a przedewszystkiem ludu naszego, tam jest nieprzebrane źródło poezyi; trzeba mi się także modlić do tego Boga, Twórcy tej ukochanej natury, bo kochać Boga jak powinien być kochanym, jest to dla mnie żyć, działać, tworzyć.

— Bracie, rzekł Andrzej mocno rozczulony, oddaję ci twój poemat, bo już mam dane słowo twoje, że go nie spalisz. Nadeszła już przykra rozdziału naszego chwila; mnie wzywają interesa spadku po naszym ojcu, nazad do Tarnowa, ty zaś jedź, gdzie cię powołuje honor.

Kazimierz obwinął rękopism w papier; a związawszy go czerwonym jedwabnym sznurkiem, starannie u szyi zawiesił.

Lat trzy minęło od owego czasu, nadszedł rok 1812, na zawsze w dziejach ludzkości pamiętny. Napoleon niesyt chwały i szczęścia, zapragnął jeszcze stwierdzić panowanie swe nad Europą, czyniąc ją narzędziem swej ambicyi i polityki. Poszedł na czele jej zastępów, na równiny Moskwy, gdzie miały się ważyć losy dwóch olbrzymów. W tej walce jeden z nich z konieczności upaść musiał, ten upadek miał wstrząsnąć losami całego ucywilizowanego świata. Słynny jest w dziejach odwrót z Moskwy, w którym, najliczniejsza może jaka dotąd istniała armja, znalazła śmierć na lodowatych stepach, odniosłszy męczeńską koronę, nie na swój, ale na cudzy rachunek. Wśród tych Napoleońskich zastępów, znajdował się piąty korpus z wojsk księztwa warszawskiego, pod dowództwem walecznego swojego wodza księcia Józefa będący. Znaczna część świetnego tego korpusu, już to legła bohaterską śmiercią na placu bitwy, już pod tumanami śniegu zagrzęzła, już też w skutek nędzy, głodu i zimna, zupełnemu prawie zniszczeniu uległa. Przeprawa pod Berezyną, była stanowczym faktem tego, nie mającego równego sobie w dziejach wypadku. Nasi rodacy, jak zwykle, cudów waleczności dokonywali, moralną odwagą i wytrwałością prześcignęli mniej na głód i zimno wytrwałe wojska francuzkie. W tej walce brał także udział, pułk artyleryi pieszej wojsk księztwa warszawskiego. Na prawem skrzydle, stała kompanja dwunasta tegoż pułku, wśród której stał przy armacie z lontem w ręku młody człowiek, ubrany w mundur porucznika artyleryi pieszej. W młodzieńcu tym poznajemy autora poematu świętej Salomei, którego piękny charakter, wrodzony talent, skromność i postać melancholiczna tyle nas zajęła w chacie pod

Pieskową Skałą. W skutek zapewne trudów i niewygód wojny, rysy twarzy jego bardziej się wyciągnęły i pobladły, policzki w dół zagrzęzły, piersi wygórowały, ramiona zniżyły się jak należało, pod wojskowym mundurem. Wyraz oblicza tylko pozostał tenże sam, pełen słodyczy i rzewności, połączonej z śmiałem i energicznem spojrzeniem dobrze pojmującego swą powinność żołnierza.

W chwili, gdy zmierzch zapadł i armaty ucichły, znany nam Szymon, syn Bartoszowej z pod Pieskowej Skały, kanonier i ordynans naszego poety, przybiega do swego dowódzcy, zwiastując mu zapewne jakąś niepomyślną wiadomość, gdyż twarz Kazimierza gorzej jeszcze zbladła i ukazał się na niej wyraz trwogi i rozpaczy. Kazimierz zdaje dowództwo swojej bateryi stojącemu obok oficerowi, śpieszy na wskazane mu przez Szymona miejsce, gdzie walka najzaciętsza jeszcze trwała. Okropny obraz przedstawia się jego oczom... ziemia usłana trupami broczącemi w krwi własnej, jęk konających, wołanie rannych o ratunek, którego nikt dać nie mógł, ryk koni, zamięszanie, wrzawa, cała ta utarczka życia ze śmiercią, tworzyła widok zniszczenia i rozpaczy, którego oddać żadne pióro nie jest zdolne. Wśród trupów leży człowiek w samo czoło kulą karabinową ugodzony, był to znany nam brat poety, szlachetny i uczciwy Andrzej, który pozazdrościwszy Kazimierzowi szczęścia, wstąpił do wojska i jak widzimy, legł śmiercią walecznych. Nieszczęśliwy Kazimierz, który utracił w nim jedynego przyjaciela i przewodnika lat młodzieńczych, klęka przy nim, stara się go do życia przywrócić, ale przekonawszy się o okropnej prawdzie, traci siły i przytomność i pada zemdlony na martwe ukochanego Andrzeja zwłoki. Wierny Szymon z pomocą

oficerów, przyjaciół Kazimierza, zrobiwszy na prędce tragi z karabinów, przenosi swojego dowódzcę do sąsiedniej wioski. Tam w pustej i na pół zgorzałej chacie, Kazimierz przeleżał godzin kilkanaście w gorączce i napaściach maligny. Gdy przyszedł do przytomności, uprosił kolegów, aby kazali wyszukać ciało brata i złożyć je tymczasowo w izdebce, obok tej, w której chory leżał. W nocy mimo trawiącej go gorączki, zdołał powstać z posłania i o świetle nocnej lampy, poszedł raz jeszcze bez świadków pożegnać brata na zawsze... Długo wpatrywał się w martwe jedynego przyjaciela zwłoki, w te rysy śmiercią wyciągnięte, które żadnego już dla niego nie miały wyrazu.

— Bracie mój, zawołał, poszedłeś połączyć się z matką naszą, której uścisków tak mało na tej ziemi doznałeś. Ja jeden tu jeszcze pokutować muszę; kiedyż nadejdzie chwila, gdy i ja będę mógł się z tego padołu wydobyć, abym się z wami w przybytku Ojca niebieskiego na wieki połączył! Wierny Szymon, śpiący w izbie poety, obudzony jego łzami i modlitwą, przybiegł spiesznie do nieszczęśliwego i zdołał go znaglić do położenia się w łóżko. Nazajutrz, gdy pokrzepiony staraniem lekarza pułkowego i modlitwą, która go nigdy nie odstępowała, pełen żalu wrócił do obozu, inna, niemniej dotkliwa czekała go strata. Rozbierając się, dostrzegł, że jego ulubiony rękopism, który ciągle na piersiach nosił, owe jego najmilsze młodości marzenie, utwór pisany pod wrażeniem widoków Szwajcaryi polskiej, tyle przez Andrzeja ceniony, znikł bez powrotu. Poemat świętej Salomei zaginął w czasie choroby Kazimierza i maligny, żalem po śmierci brata spowodowanej. Jakim spo-

sobem i czyja ręka śmiała go świętokradzko dotknąć, tego nie wie, i sam autor nigdy dojść, ani domyślić się nie mógł.

Wiadomo nam jest z ust wiarogodnych, że ś. p. Kazimierz Brodziński w ośmnastym roku życia, w czasie pierwszej z bratem Andrzejem w Ojcowie bytności, napisał poemat, o którym wyżej jest mowa. Poemat ten, jak to powiedziano, zginął w czasie pogrzebu tego ukochanego brata i opiekuna, na placu bitwy pod Berezyną. O tej to niepowetowanej dla literatury stracie, Kazimierz z poufnymi sobie rozmawiać i żal swój wynurzać lubił, ze szczegółami prywatnego jego życia. oraz stanowiska, jakie zajął na niwie tegoczesnej ojczystej literatury.

Kazimierz Brodziński urodził się 8-go marca roku 1791, we wsi Królówce, obwodzie Bocheńskim w Galicyi Austryackiej, stąd to, zwłaszcza pod koniec życia podpisywał się Kazimierz z Królówki. Matka jego, Franciszka z Radzikowskich, o której on sam bardzo zajmujące pisał szczegóły we wspomnieniach swoich, córce Karolinie pozostawionych, wczas go bardzo, bo w piątym roku po urodzeniu poety, odumarła. Jej pogrzeb, postać w trumnie, aż do ubioru katafalku, na którym złożona była i do pieśni, które ubodzy nad jej ciałem śpiewali, w żywej mu tkwiły pamięci. Prorocze słowa wyrzeczone przez księdza, który matkę jego chował. *Dzieci, będzie was biła macocha*, boleśnie w uszach i sercu poety zatętniały, a dla pamięci matki jego, najrzewniejszem przejęły uczuciem. Imię matki, pisał Brodziński w swoim pamiętniku, jedynej córce Karolinie pozostawionym, imię matki, od lat najmłodszych było dla mnie świętem nazwiskiem; widok moich współuczniów i później młodzieńców, przy matkach, napełniał mnie najtkliwszem uczuciem. Nie mogłem się

utulić od smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko dla matek, ale dla współuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowyś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcej dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mnie kosztowało, gdym widział dziecię od matki pocałowane.“ To głębokie uczucie Kazimierza dla pamięci swojej matki, tęsknota za nią, wyrobiły w nim rzewność i szczerotę, tak widocznie dzieła jego cechujące: niedola dziecięcych lat, nie mało się do rozwinięcia szczęśliwych darów tych przyczyniła. W dziecinnym jeszcze wieku, Kazimierz napisał do cieniów swej matki elegję, której nie pamiętał wcale, mimo, że brat jego Andrzej, mocno mu ją zachwalał. Miał on także sen o matce, ten sam, który mu kładziemy w usta pod Piłaszową skałą. Ojciec Brodzińskiego ożenił się powtórnie. Charakter kłótliwy, chciwy i namiętny, nowej jego małżonki, obok słabości męża dla niej, zmieniły dotąd swobodny i spokojny dom sierot, w istne piekło.

Od urodzenia, delikatny i chorowity Kazimierz, jeden z czterech braci, powierzony został staraniom kobiet wiejskich, a w szczególności owej Róży piastunki, która nie tylko poświęceniem i nieprzerwaną troskliwością, życie mu od niechybnej śmierci uratowała, ale niejednokrotnie od razów złośliwej macochy biedną sierotę zasłonić zdołała. Z tego powodu, często utratą służby zagrożoną była, ale Opatrzność nad sierotami czujna, mimowoli macochy, szczególnym okoliczności zbiegiem zawsze ją przy ich boku zatrzymywała. Jak to bywa, w miarę nieszczęścia sie-

rot, wzrastał dla nich interes i współczucie okolicznych włościan, a nawet żydów. Nie rzadko się trafiło, że po wracający z jarmarku kumowie i kumy dobrej Róży, przywozili dzieciom obwarzanki i gomółki, a żyd arendarz karmił ich bułeczkami, żony swojej pieczywa. Kazimierz i bracia jego sypiali w lecie w stodole, w zimie zaś i to w najcięższe mrozy na strychu, do którego po drabinie wchodzić musieli, lub przy dobrym macochy humorze, na folwarku, gdzie się przysłuchiwali gawędom starego karbowego, dawnego legjonisty, opowiadającego im swoim sposobem powiastki o dalekich krajach, w których przebywał i o przygodach wojackiego życia. Te opowiadania zapaliły w młodym chłopcu chęć zwiedzenia obcych ziem i poetyczną jego imaginacyę, przepełniały ponętnemi nieznanych światów obrazami.

Wśród tego życia, przeplatanego dotkliwemi macoszynego wpływu przykrościami i sielskiemi rozkoszami, Kazimierz rósł sobie jak dzikie drzewo, w zupełnej wolności i swobodzie, nie znalazła się umiejętna dłoń, któraby go chciała nagiąć, sprostować i do użytku zdatnym uczynić. Ojciec zakrzyczany od macochy, nie wiele dbał o sieroty, które rzadko kiedy mając przystęp do jego pokojów, na folwarku, w wieśniaczych chatach, lub swobodnie bujając wśród sadów, wyżyn, gór i skał, przytułku i wytchnienia szukać musiały. Kazimierz miał wszakże widoczny pociąg do wszystkiego co tętniało życiem umysłowem i poetycznem. Swobodne bujanie po gajach i łąkach, na wpół dzikie życie, które wiódł, rozwijało w nim to usposobienie; nabożeństwa wiejskie, śpiewy i pieśni ludu, którym się w dniach wielkich uroczystości kościelnych przysłuchiwał, wyrobiły w nim pobożnego ducha i zamiłowanie swojskiej, ludowej poezyi. Nabożeństwo, zwłaszcza wielko-

tygodniowe i śpiewane w tym czasie psalmy Dawida, niepojęty dla niego miały urok. Z uproszoną od organisty księgą tych psalmów, dziecię poeta, chodziło między pola i góry, aby się ich pięknościami zdala od gwaru świata i ludzi napawało.

Do książek także Kazimierz nie mały czuł pociąg, ale jak to dawniej bywało w szlacheckich dworach, zbyt szczupły onych znalazł u ojca zasób. Na strychu, gdzie sypiał, butwiał mały zbiorek szpargałów, mów wielkiego sejmu, pism i wierszy okolicznościowych Naruszewicza i Trębeckiego, które Kazimierz z pleśni wydobywał i z gorączkową ochotą czytał i na pamięć się uczył. Lecz nad to wszystko przekładał pieśni i opowiadania ludu; jego obyczaje, zabawy i wesela, wielkie na młodej Kazimierza wyobraźni czyniły wrażenie, im się przyglądał i w żywej zatrzymywał pamięci.

Ojciec Kazimierza przeniósł swe mieszkanie z Królówki do Lipnicy murowanej, której położenie było urocze. „Dwór, mówi bjograf poety [1]), leżał w dolinie, oblany rzeką, która z gór szumiąc spadała. Chaty rozrzucone po wyżynach, wśród sadów, czarujący w jesieni dawały widok; młyn wodny nad stawem, napełniał łoskotem cichą dolinę. Po bok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek, wzniesione ku niebu Karpaty, zdawały się być granicą ziemi. O kilkanaście staj, było widać na wzniesieniu miasteczko, murowaną Lipnicę, z trzema starożytnemi kościołami, ku którym droga była wierzbami wysadzana i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz idąca.“

[1]) Patrz życiorysy K. Wójcickiego, t. I, karta 4. (*Przyp. a.*).

Mimo uroczej okolicy, widok Lipnicy-murowanej był zawsze dla Kazimierza przykry; na nieszczęście znajdowała się w tym miasteczku szkółka elementarna, do której uczęszczać musiał. Nic w niej nie było, coby taki umysł jak Kazimierza do nauki zachęcać mogło. Nauczyciel tej szkółki, Niemiec, nosił upudrowaną perukę, harcab, fryzowano loki, żaboty i obcisły fraczek, co dla jego uczniów, nawykniętych jeszcze wówczas do widoku wąsów, czupryny i słuckiego pasa, nadzwyczaj śmiesznem zdawać się musiało. Do tego, pan profesor zarazem pocieszny i straszny, uzbrojony był w rózgę, która wszelkie wyskoki dziecęcej wesołości wstrzymywała i surowo karciła. Kazimierz przepędziwszy w tej szkole lat cztery, przeszedł do gimnazyum do Tarnowa, gdzie go nowe czekały przeciwności. Tu wszelkich przedmiotów uczono po łacinie i po niemiecku, o których to językach, nasz poeta nader słabe miał wyobrażenie. Umieszczeni wraz z bratem na stancyi u jakiejś nieznośnej wdowy, a następnie u krawca pijaka, cierpieli głód i zimno, co ich niejednokrotnie zmusiło pozostać w domu i po całych dniach leżeć w łóżku. Za przybyciem ojca do Tarnowa, przeniesieni zostali do jednego z miejscowych niższych urzędników, gdzie mieli trochę lepszy zapewniony byt materyalny, ale nie o wiele zbawienniejsze przykłady. Andrzej starszy brat Kazimierza, po ukończeniu gimnazyum w Tarnowie, przeniesiony został na uniwersytet do Krakowa, gdzie mu nasz wieszcz towarzyszył. W tem mieście jak i w Tarnowie, przechodzili bracia różne zmiany i koleje losu, to znów skazani na głód i nędzę, to natrafiając na litościwych ludzi, których współczucie, podało im rękę ratunku i pociechy. Andrzej oddawał się poezyi, Kazimierz nie dość z dziejami kraju swego obeznany, aby historyczne pomniki miasta, silnie go zająć

mogły, szukał rozrywki w samotnych przechadzkach po uroczych Krakowa okolicach, głębokie na poetycznej jego duszy czyniących wrażenie.

Wśród tych użytecznych zatrudnień i niewinnych rozrywek, nowa nieszczęśliwym braciom zagrażała klęska. Ojciec ich umarł i tym razem nie długo znaleźli się bez sposobu do życia. Po niejakim czasie, Andrzej zdołał wynaleźć sobie miejsce, w gabinecie adwokata, gdzie noce trawiąc na pisaniu, zarabiał sobie na nędzny kawałek chleba. Kazimierz mniej szczęśliwy i zrozpaczony, jął się ostateczności; udał się do macochy; łatwo wyobrazić sobie trwogę jego i zakłopotanie, gdy te progi dziś dla niego obce, a może nienawistne, prawie jako żebrak przejść był zmuszony. Wszakże wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, nieszczęśliwy sierota, doznał od macochy niezgorszego przyjęcia, a nawet dozwolenie pozostania czas jaki w jej domu. Macocha Kazimierza, jak widzimy, należała do liczby tych istot kapryśnych i nie konsekwentnych, które nic nie uczynią dla obowiązku, bo go w żadnym razie uznać i rozumieć nie chcą, ale potrafią być czasami litościwe, gdy mienią się być zupełnie od siebie zależne i gdy dobrym uczynkiem nie mają okazyi nikomu się sprzeciwiać. W tym to domu mającym tyle dla niego zarazem miłych i przykrych wspomnień, przepędzał Kazimierz długie i samotne chwile, urozmaicone czasami listami od Andrzeja, który przeszedłszy do uniwersytetu we Lwowie i oddając się tam, więcej niż kiedykolwiek, pracom literackim, opisywał bratu swoje zajęcia, z całym zapałem młodzieńczego umysłu. Jeden z tych listów przepełniony był wiadomościami, o nowem przez Andrzeja tłomaczeniu niektórych rozdziałów Tomasza a Kempis, oraz o świeżo przez niego napisanej tragedyi, pod nazwą *Ludgarda.*

Łatwo sobie wyobrazić możecie, młodzi czytelnicy moi, jakie list ten musiał czynić wrażenie na sercu i umyśle naszego poety. Czytał go z zapałem, nieraz łzą radości i współczucia zrosił i w chwilach wolnych i samotnych, własne swe młodzieńcze natchnienia na papier rzucał. W jednej z tych rzadkich chwil wytchnienia, Kazimierz odbiera od brata list, donoszący mu, że ma zamiar zjechać ze Lwowa do Wojnicza, gdzie stryj obu młodzieńców, posiadał probostwo. Wojnicz był tylko mil cztery od domu macochy Kazimierza oddalony. Młodzieniec, bez wielkiego namysłu, przedsięwziął podróż do Wojnicza, celem odwiedzenia stryja, a zjechania się z ukochanym a tak długo niewidzianym bratem. Ale jak wiemy, *przedsiewziąść a módz*, są dwa zupełnie różnego znaczenia wyrazy. Wielka stanęła Kazimierzowi trudność, gdy mu przyszło zamiar do skutku przywieść: nie posiadał w całej garderobie swojej odpowiedniego dla pokazania się stryjowi ubrania, albowiem macocha jego, jakkolwiek mu kęsa chleba i przytułku nie odmawiała, o innych jego potrzebach ani słyszeć nie chciała. Szczęściem wśród starych po ojcu gratów, na strychu butwiejących, wynalazł Kazimierz jakiś dawny lokajski surdut, który kazał wiejskiemu krawcowi żydowi przerobić i ubrawszy się w niego, poparadował pieszo do Wojnicza. Miasteczko to, starożytnych rodzin Jordanów i Dąbskich siedziba, leży w przyjemnem położeniu. Probostwo okolone rozłożystemi drzewami i kwiatami, które stryj Kazimierza, z dokładnością lubownika i znawcy, krzewił i hodował, przedstawiało nader sielskie ustronie. Z zamiłowaniem botaniki, ksiądz Brodziński łączył rzadki wówczas pociąg do czytania i zbierania książek; z tych ulubione mu były sielanki *Gesnera*, które wspólnie z synowcami w ogrodzie czytywał. Nie rzadko

także, przyjmował on w probostwie gości i obywateli okolicznych, chętnie gościnne światłego kapłana progi nawiedzających. Kazimierz, wychowany wyłącznie prawie wśród ludu, dziki, nieśmiały i unikający ludzi, a mianowicie kobiet, nie mógł przywyknąć do towarzystwa, które miał sposobność u stryja widywać. Po krótkim pobycie opuścił probostwo, a korzystając z wylikwidowanych kilku tysięcy spadku ojca na jego osobę, co mu dało sposobność utrzymania się czas niejaki udał się napowrót do szkół do Tarnowa. W gronie tamecznych professorów, znalazł się jeden, człowiek wysokiej zasługi i sumienności, który spostrzegłszy w Kazimierzu dar poezyi, dawał mu do czytania poetów niemieckich, a jak wielu jego rodaków, przesądnie uprzedzony, że nic dobrego po polsku napisać nie można, znaglał go do pisania w języku Szyllera i Göthego. Nie takiej to zachęty biedny nasz rodak pragnął: jemu trzeba było rodzinnych wzorów, rodzinnej mowy, aby mógł swobodnie i czysto, swej duszy natchnienia wyśpiewać.

Znał ze słyszenia nazwisko Jana Kochanowskiego; nadzwyczajnym wypadkiem kupując dnia jednego owoce, znalazł je obwinięte w rymy tego poety, które przekupka w jego obecności świeżo z książki wydarła. Poeta nie wiele myśląc, porwał za książkę i uciekać począł, przekupka goniąc go wielkiego narobiła hałasu. Rzecz doniosła się do władzy szkólnej, która ukarała ucznia, odebraniem książki i kilkogodzinnym aresztem. Kiedy się to działo w Tarnowie, Andrzej wydał we Lwowie tomik swoich wierszy, w którym utwory Kazimierza umieszczone były. Radość jego, ten tylko pojmie, kto pierwszy raz widzi płody swoje drukowane. Z bijącem sercem i drżącą dłonią, uchwycił wilgotną jeszcze książkę

i chodząc szerokiemi krokami po pokoju, bledniąc i rumieniąc się na przemian, w miejscach mniej dobitnie myśl jego wyrażać mu się zdających, z niepojętą rozkoszą odczytywał i ołówkiem własne z niej ustępy naznaczał. Po ukończeniu szkół w Tarnowie, Kazimierz w ośmnastym roku życia, udał się do ówczesnego księstwa Warszawskiego, z zamiarem wstąpienia do służby wojskowej. Po drodze zwiedził z Andrzejem Pieskową skałę; tu pod wpływem widoków uroczej natury, napisał ów tyle ceniony przez brata poemat o świętej Salomei. Była to pierwsza udatniejsza poczynającego poety praca; kochał ją jak matka pierwsze swoje dziecie, zawsze przy sobie nosił; do nieszczęśliwej chwili pogrzebu Andrzeja, gdy mu ta niezwrotnie zaginęła. W dniu 20 lipca r. 1809, wszedł Kazimierz jako ochotnik, a później podoficer do pułku artyleryi pieszej wojsk księstwa Warszawskiego. Tu znalazł w kapitanie swoim, Wincentym Reklewskim, wiekiem i charakterem do niego zbliżonym i zarówno w literaturze zamiłowanym, przyjaciela, doradzcę i pomocnika.

Jakkolwiek rozliczne były, nowego powołania zajęcia, Kazimierz nie mógł pod takim dowódzcą zaniedbać ulubionego sobie przedmiotu; oddawał mu się z zapałem w chwilach wolnych od obowiązku służby; te zajęcia musiały być wszakże czasowo przerwane. Nadszedł rok 1812 Nasz Kazimierz z wielu innymi postradał w nim wszystkich, co mu jeszcze na tej ziemi pozostali i drogiemi przez związki krwi i przyjaźni, sercu jego byli. Andrzej, pozazdrościwszy mu rycerskiej sławy, pełniąc służbę adjutanta, padł ugodzony w czoło kulą karabinową, na placu bitwy pod Berezyną; ciało jego własnemi nieszczęśliwego brata rękoma, pogrzebione zostało.

Wincenty Reklewski, umarł w Moskwie w szpitalu wierny i nieodstępny ordynans Brodzińskiego, z końmi i rzeczami pojmany, zostawił go prawie bez odzieży i zasobu. Przebywszy szczęśliwie krwawy i okropny odwrót, po wielu trudach i niebezpieczeństwach, Kazimierz dostał się do Warszawy, gdzie zdołał się jako tako ubrać i oporządzić. Po krótkim w tej stolicy pobycie, zmuszony był wraz ze swojemi, przed przemagającemi nieprzyjaciela siłami, ustąpić do Krakowa, a następnie z granic Księztwa Warszawskiego.

Po bitwie pod Lipskiem, ranny, w niewolę wzięty przez Prusaków, na słowo honoru wypuszczony Brodziński, wrócił do Krakowa, a w końcu r. 1814 do Warszawy. Tu uwolniwszy się od służby wojskowej, zaczął w dwudziestym trzecim roku życia pracować w Kommisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych. Od tej chwili stale przemieszkiwał w Warszawie, oddał się z zapałem literaturze i poezyi, do których wrodzona skłonność bezprzestannie go nęciła.

W roku 1818 rozpoczął zawód swój naukowy, dając lekcye literatury polskiej i stylu, w konwikcie księży Pijarów na Zoliborzu. W roku 1821, mianowany professorem w Liceum warszawskiem, a w roku następnym wezwany do wykładania literatury polskiej w Królewsko-Warszawskim Uniwersytecie. Około tego czasu, koleżeństwo i wzajemny szacunek, wywołały bliższą znajomość a następnie zażyłość Brodzińskiego, z Armińskim professorem uniwersytetu i dyrektorem obserwatoryum w Warszawie. Sympatya zacnych tych ludzi, miała główne źródło w podobieństwie kolei, jakie oba od dziecięcych lat przebiegali. I Armiński kiedyś przedwczesny sierota, wielkim przeciwnościom, wytrwałej pracy i własnym zdolnościom winien był ważne stanowisko, które później w hierarchii nauk matematy-

cznych zajął. I on, pól i gór wychowaniec, otoczony później swemi astronomicznemi narzędziami, wzdychał do tej ukochanej natury, wśród której płynęły pierwsze jego młodości lata. Nie dziw więc, że oba lubo różne w sferze umysłowości przebiegali drogi, szczerą połączeni byli przyjaźnią. W domu Armińkiego, bawiła panna Holli, siostra pierwszej jego żony, zalecająca się równie pięknemi duszy zaletami, jak niezwyczajną urodą. Nasz Brodziński przywiązał się do niej, tkliwem uczuciem szlachetnego i czułego serca. Kiedy wszystko zdawało się wróżyć młodej parze dni spokojne i szczęśliwe, zaszła przeszkoda, dla której zwalczenia Kazimierz potrzebował całej odwagi i poświęcenia bezinteresownego uczucia. Jeden z powszechnie znanych z swej prawości i nauki lekarzy, osobisty przyjaciel, znając dobrze narzeczoną jego, w przekonaniu, że spostrzegł w niej rozwijające się symptomata piersiowej choroby, mniemał iż powinien ostrzedz go o niebezpiecznym stanie jej zdrowia i odradzić zawieranie związków małżeńskich, z osobą zagrożoną, według wszelkiego wprawdopodobieństwa, przedwczesną śmiercią. Kazimierz, lubo mocno przekonany o prawdzie przypuszczeń, męża doświadczenia i nauki, którego kochał i cenił, ze zgrozą uwagi jego odsunął, i bez namysłu prawie, zawarł drogi sercu swojemu związek. Jakby na nowy dowód niedorzeczności nauki ludzkiej, żona jego na blizką bardzo śmierć przez lekarzy skazana, doznała sama najboleśniejszego ze wszystkich zawodów, bo w lat pięć dopiero, za ukochanym mężem do grobu pośpieszyć wolno jej było. Małżeństwo Brodzińskiego zawarte zostało w Pieczyskach, parafii do której należały Gościńczyce, wieś Armińskiego, o mil pięć od Warszawy odległa. Dworek niewielki, biały i czysty, na małém leżący wzgórzu, otoczony z jednej strony owocowym ogrodem, w stare cie-

niste szpalery zdobnym, z drugiej, wijącym się u stóp wzgórza, przezroczystej wody strumykiem, przyjmował niejednokrotnie w gościnne swe progi, wieszcza naszego, zjeżdżającego tu w czasie wakacyi, żeby wytchnąć zdala od miejskiej wrzawy, kurzu i mozolnej nauczycielskiej pracy.

W tej to ustroni, Brodziński napawał się pełnemi piersiami, czystą polnych kwiatów wonią, tu się znalazł w pośród pól i ulubionych sobie kwiatów, do których zawsze wzdychał jako przypominających mu dawne dzieciństwo i pierwszej młodości chwile. Wśród tego sielskiego życia, zdrowie jego widocznie się polepszało, a humor zwyczajnie poważny i tęskny, niezwykłej nabierał żywości a nawet wesołości. O ćwierć mili od wioski leży lasek, w którym znajduje się dotąd, sosna kształtem swoim przypominająca lirę. W codziennych swoich przechadzkach, Brodziński lubił zwracać kroki i wzrok swój ku tej sośnie, mawiając nieraz, że na niej zawiesi lirę swojej muzy, aby ją nigdy już nie uchwycić. Tęskne i smutne te wyrazy mimowolnie z przejętego goryczą serca wydobywające się, zwykł był powtarzać w chwilach rozczarowania, kiedy exaltowane stronnictwo literackie, tak namiętnie powstało, przy końcu roku 1830 przeciw zdrowym jego o sztuce pojęciom. O przeciwnikach swoich i ich pracach, wyrażał się z oględnością i umiarkowaniem. O własnych pismach rzadko mówił, nigdy z uprzedzeniem, ani się lubił z niemi popisywać. Zdawało się, że on jeden nie cenił ich według rzeczywistej wartości, a tę skromność posuwał czasami aż do zwątpienia o sobie. Kiedy mówimy, że wątpił czasem o sobie, odnosimy się jedynie do sztuki w jej najwyższym rozwoju: bo nikt więcej jak Kazimierz nie czuł z serca i przekonania prawd, które społeczeństwu i potomności objawił. Prostota w pojęciach i wysłowieniu, otwartość

w zdaniu, szczerość i szlachetność w myśli cechowały jego prywatne i publiczne życie. Był nieprzyjacielem wszelkiej przesady, karcił mową i pismem napuszoność, czcze wykrzykniki i deklamacye. Pamiętajcie, mawiał do uczniów swoich, *pamiętajcie, że prostota to najwyższa sztuka, prawda tylko w prostych a jasnych wypowiedziana słowach, może trafić do serca.* Angielski poeta Pope powiedział kiedyś „*Styl to człowiek*". Słowa te najwłaściwiej zastosować się mogą do Brodzińskiego, w nim pisarz i człowiek, byli w zupełnej z sobą zgodnie i jedności. Miał on w najwyższym stopniu rozwinięte uczuce piękna, dla tego wyrażał go na zewnątrz z łatwością, prostotą i swobodą, bez wielkich wysileń stylu i ozdób wymowy. To uczucie malowało się w całej jego postaci; charakter pism i osoby odbijał się w jego ruchu, w nader dla ucha dźwięcznym głosie, w obliczu nacechowanem jakąś tęskną melancholią, a nadewszystko w błękitnych oczach, których wyraz, zwłaszcza pod koniec życia, nabrał jeżeli można, rzewniejszego i łagodniejszego jeszcze wyrazu.

Z pierwotnego wychowania, nie kwalifikował się Brodziński na człowieka, u którego sztuka, wykształcenie, uniwersytety, wycieczki za granice, zdobią umysł wszechstronnemi wiadomościami, oraz tak znakomitą do wrodzonych człowiekowi zdolności pomocą. Kazimierz, czem był, jedynie sobie był winien, a mimo tej wielkiej w oczach Boga i ludzi zasługi, był daleki od szorstkości i zarozumiałości, na nieszczęście zbyt często cechujących ludzi, jedynie własnym staraniom wychowanie i byt zawdzięczających.

Wykład jego na katedrze uniwersyteckiej, z żadnym innym niemógł się równać, mówił z głębokiem uczuciem, a wyrazy jego z serca płynące, sercem słuchaczy zrozumiane były. W każdem jego słowie było uczucie, w każdej

uwadze myśl, z każdego wyższego pojęcia wydobył naukę i estetycznego piękna skazówkę, wyrażał się prosto, jasno, dobitnie a zarazem rzewnie i serdecznie, umiał w prostych słowach wyrazić nowe i szczytne prawdy. Kochał uczniów swoich i od nich nawzajem był kochany, a wiążący ich do niego stosunek, tak był silnym, że do dziś dnia zdarza się widzieć siwowłosego już ucznia jego, z gorącą łzą współczucia, wspominającego zacnego professora. Na to szczere i bezinteresowne uczucie, nie mogła wpływać pamięć rozgłośnej sławy i wziętości Brodzińskiego, ani urok mody, która w owym czasie w inny zupełnie różny punkt hołdu publiczności zwracała. W życiu prywatnem, Kazimierz był poważny, wzorowy i niepokalany i głównie pod tym względem różnił się od młodych czasu swojego literatów, zbyt w mowach swoich wolnych, wesołych i nierozważnych. Licznych towarzystw unikał, a gdy się wśród nich znalazł, był zwyczajnie milczący i zamyślony. Okolony szczupłem prawdziwych przyjaciół gronem, bywał mówiącym a nawet wesołym, czasem wymknął mu się i dowcipny ucinek, i zręczny wierszyk i pełen humoru wierszowany opis okolicy, wieczoru, zabawy, lub wiejskiego domowego życia. Rzadkie to były przecież w chmurnem jego życiu ustępy, jakby promyki słońca przedzierające się wśród dżystego dnia i co prędzej gasnące w zmroku grożącej burzy. Z głębokiem uczuciem estetycznem, łączył Brodziński w wysokim stopniu rozwinięte uczucie religijne, a to zjednoczenie wiary z pięknem, czyniąc go prawdziwie polskim wieszczem, odróżniało od naczelników szkół romantycznych protestanckich, którzy jak np. Bajron poeta angielski, krzywili olbrzymi talent i głęboką uczuciowość, bezbożnością, zwątpieniem, wszelkiego rodzaju wybrykami i nagannem życiem. Kazimierz Brodziński, nie tylko jako Estetyk,

krytyk i poeta, ale jako moralista, ważne w literaturze ojczystej zajął stanowisko.

W czasie w którym żył, zjawiła się na tle naszego społeczeństwa, jakaś fałszywa nauka, nie miła Bogu a zgubna dla ludzi, nauka zasadzająca się na przeczeniu nieprzeżytej prawdzie naszej świętej Wiary. Ta nieszczęśliwa nauka, czyli raczej szaleństwo, owładnęła umysły wielu współczesnych Kazimierzowi uczonych.

Wieszcz nasz nie szedł za ich przykładem. Kochał i szanował religiją przodków swoich, która go wykarmiła, wypieściła i wypielęgnowała; widziano go nie raz klęczącego, z oczami do góry wzniesionemi, z łzą w oku, rzewnie się modlącego. Wiadomo wam, że Warszawianie odbywają coroczną pobożną pielgrzymkę, w najpiękniejszym miesiącu roku do sąsiedniego Czerniakowa, gdzie są złożone relikwie świętego Bonifacego, które jak wiecie już z poprzednich numerów pisma tego, Papież Inocenty XI. ofiarował w darze nowo nawróconemu ziomkowi naszemu, Stanisławowi Lubomirskiemu.

Brodziński, wędrując wraz z innemi do Czerniakowa, napisał znany wam już wierszyk, w którym maluje się tłumiona, tęskna żałość i serdeczna pobożność, szukająca wytchnienia u stóp ołtarzy Pana, za przyczyną i zasługami świętego męczennika, którego kości, przyswoiła sobie ziemia nasza. Tu silny duchem mąż nie wstydził się wmięszać w tłum maluczkich prostaczków i w szczerocie wielbiącej Pana swojego duszy, kupował ofiarki z wosku i prostem je na ołtarzu składał sercem.

Brodziński miał gorące nabożeństwo do matki Boskiej; na krótki czas przed śmiercią, napisał rozprawę o tej szczególnej kraju naszego Królowej i opiekunce i czci, jaką odbierała.

„Był-to: mówi Kazimierz, Władysław Wojcicki, uczeń i osobisty wieszcza przyjaciel: (patrz cmętarz Powązkowski karta 136) był to cudowny prozą poemat: historyczne fakta i podania posługiwały tu za wątek; całość nacechowana rzewnem uczuciem, wzniosłem stanowiskiem i tym duchem staroświeckiej pobożności a prawdy, które trudno powtórzyć. Czuł Brodziński całą wartość swej pracy; znać że pisał ją z serca, bo w kilku ustępach, rzewny głos jego i cichy (gdy sam swą rozprawę czytał) zadrżał... umilkał..., a po ciężkiem westchnieniu, dopiero dalej czytał.“

Pismo święte, poeta nasz wiele cenił i obrał je sobie za prawidło całego życia. Gdy w uniwersytecie Aleksandrowskim, w dniach uroczystych i galowych, professorowie i uczniowie zbierali się na nabożeństwo do kościoła Wizytek, Brodziński, przeciw ówczesnemu kolegów zwyczajowi, przychodził z biblią w ręku, którą codziennie odczytywał. Koło roku 1834 wpadła mu w ręce książka w języku francuzkim napisana, zawierająca w sobie pismo święte do wieku i pojęcia młodzieży zastosowane; biorąc ją za wzór, ułożył dzieło z wielkim dla polskiej młodzieży użytkiem, pod nazwą: *Dzieje starego i nowego Testamentu, czyli wybór przykładów i nauki z pisma świętego, według wydania T. Derome; ułożone przez Kazimierza Brodzińskiego w dwóch tomach wydane r. 1841.* Dzieło to doczekało się już kilku wydań i powinno być wraz z książką tejże treści, *przyjaciołki naszego wieku, nieodżałowanej Klementyny Hofmanowej*, w ręku wszystkich młodych osób i ich matek. Wspominając tu autorkę *Pamiątki po dobrej matce*, dodać musimy, że jedną z wieszcza naszego zasług, była wielka przyjaźń, zachęta i pomoc, którą otaczał Klementynę w początkach, a nawet całym biegu jej literackiego zawodu. Lubiła ona tak publicznie jak i w prywatnych

kółkach, odnosić do Brodzińskiego powodzenie, uwielbienie i popularność, jakie pisma jej wśród rodaków zyskiwały, a wdzięczność dla jej pamięci, aż do grobu zachowała. Ale któż ze współczesnej Brodzińskiemu piszącej młodzieży. chętniej i sumienniej w swych zasadach nie mógł się pochlubić opieką i zachętą mistrza poetów i estetyka naszego?... Żył on dla drugich, a najmniej dla siebie; najlepszy dowód świętości i bezinteresowności tej niepokalanej duszy, że żyjąc w nieustannej pracy, przy wielkiej wstrzemięźliwości i skromności w życiu i ubraniu, umarł prawie w ubóstwie. Jedną z charakterystycznych cech postawy naszego wieszcza była niezmiernie wielka spokojność i swoboda, obchodząca się bez wszelkich ruchów i gestykulacyi. Czy to chodząc po pokoju, na przechadzce, lub stojąc poważnie na katedrze uniwersyteckiej, miewał zwykle ręce w tył lub z przodu założone, nigdy się nie unosił, a wszelkie wrażenia duszy, zdradzały się u niego jedynie zmianą i drzeniem głosu.

W roku 1826, to jest w rok po swojem ożenieniu, Brodziński został profesorem stałym w uniwersytecie i jednocześnie członkiem towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, następnie sekretarzem tego zgromadzenia, a ostatnio jeneralnym szkół wizytatorem. Około tego czasu, zwiedził Włochy, Szwajcaryę i Paryż, był i w Krakowie. Starożytna Jagiełłów stolica, niegdyś świadek młodzieńczych trosk i postępów poety, przyjęła ziomka z którego tak słusznie chlubić się mogła. z przynależnem mu uszanowaniem i zapałem. Andrzej Grabowski uczcił wspomnieniem ten pobyt wieszcza w Krakowie, a słynny miejscowy artysta Wojciech Sztatler, z właściwym sobie talentem wykonał jego wizerunek. „W tem dobrze trafionem oddaniu oblicza jego, mówi Ambroży Grabowski, jaśnieje

słodycz charakteru, anielska łagodność, a nadewszystko tęsknota i piętno cierpień duszy.“ W rok po tej przejażdżce, Kazimierz z porady lekarzy udał się do wód Czeskich, zkąd przy silnem rozwinięciu się choroby piersiowej, w powrocie do kraju, w Dreznie dnia 10 go października 1835 roku, piękna jego dusza uleciała ku niebu, do którego zawsze tęskniła. Ostatnie jego chwile podaje nam ich świadek, w liście pisanym do jednej z najczcigodniejszych polek naszych, pani L., przyjaciółki i wielbicielki nieodżałowanego wieszcza. List ten, aczkolwiek już wielokrotnie drukowany, powinien się znajdować w każdym opisie życia Brodzińskiego. Podajemy go wam w całości.

Z Drezna.

„Dopełniając przypadłego na mnie obowiązku, przebacz pani, iż jako blizką znajomą i przyjaciółkę rodziny Kazimierza z Królówki, za pierwszą powierniczkę smutnej wiadomości obieram. Podobało się Bogu wezwać do siebie, po nagrodę w lepszym świecie, sprawiedliwego, cnotliwego człowieka. Zacny Kazimierz skończył ziemskie cierpienia i smutki dnia 10-go października, w sobotę, o godzinie 10-ej wieczorem (w rocznicę urodzin swej corki), a skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, iż ja, świadek jego skonania, ze czcią patrząc na niego w tej uroczystej godzinie, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko samemu sobie podobnej kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten jest szczęśliwy! Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tem zawsze dla nich równie bolesna, mogłaby stać się jeszcze boleśniejszą, gdyby się jej niespodzianie, lub z obojętnych ust dowiedzieć musiały. Możesz ich pani jak najsumienniej zaręczyć, że co tylko

sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać i stan jego cierpień osłodzić! Ale któż się woli Boskiej sprzeciwi? Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści, powolne tylko ubywanie sił życia, postęp jej oznaczało. Spokojność i łagodność duszy i charakteru, nie odstąpiły go ani na chwilę; z pokorą i zaufaniem oddawał się woli Bożej. O żonie i córce wspominał często i zawsze, z największą czułością, ale gdy mu niektórzy radzili, aby je przyzwał do Drezna, nigdy zgodzić się nie chciał. Owszem, w wigilję śmierci, odebrawszy list od żony, która go sama o to prosiła, polecił mi był odpisać w jego imieniu, prosząc jak najusilniej, aby tego zamiaru nie przyprowadzała do skutku.

Uspokój ją więc pani w tym względzie, ażeby się tą myślą nie dręczyła daremnie. Bytność jej tutaj niby nie pomogła, a byłaby przeciw woli jego. Ostatnia moja z nim rozmowa była o paniach K... (Teresie i Natalji Kickich), które, jak mi powiadał, żona jego w listach swoich Aniołami swemi nazywała. Z czułością przypomniał ich dla siebie życzliwość i przyjaźń, i chociaż tak bliskiej śmierci nie przeczuwał, mówił jednakże: „Gdyby mi tu nawet skończyć przyszło, umierałbym z tem przekonaniem, że byłyby zawsze pociechą i opieką mojej biednej żony i dziecka.“

To są prawie jego własne słowa, ile przypomnieć mogę; przesyłam je jako spuściznę po prawdziwym ich przyjacielu. W wigilję śmierci, uczuł się weselszym i swobodniejszym niż kiedy. Drzemiąc na pół w nocy miał bardzo piękne widzenie, o którem sam z wielkiem wzruszeniem powiadał i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białej szacie,

który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął. Widzenie to i list żony, w którym mu o troskliwości przyjaciół doniosła, był osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele nie opuszczą osieroconej rodziny i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył w duszę bolejących po nim.

Pogrzeb odbył się dnia 12-go października. Wszyscy znajomi oddali mu ostatnią posługę.

A. E. O.

Tak skończył ukochany wieszcz nasz na obcej ziemi, gdzie go choroba przykuła, zdala od kraju, który tak serdecznie kochał, od rodaków których był zaszczytem i ozdobą, od rodziny i przyjaciół których tkliwą otaczał miłością. Sława Brodzińskiego, zdobyta niepospolitemi serca i umysłu darami, nie tylko wiecznie w pamięci współziomków jego tkwić będzie, ale stosunkowo do rozwoju ich pojęć w dziedzinie poezyi i estetyki, coraz jaśniejszym świetnieć będzie blaskiem. Jakkolwiek nie należał on do rzędu wielkich poetów, był niemniej jednym z tych ludzi, którzy się rodzą z misyą przeprowadzenia pewnej idei, mającej zgoła przeistoczyć wyobrażenia i przesądy swojego kraju i wieku. Brodziński był poetą, wszakże więcej jeszcze moralistą, krytykiem i estetykiem; i ten ducha jego nastrój, wyrobił mu niezmiernie ważne w literaturze kraju naszego stanowisko. Kiedy mówiemy, że nie należał do rzędu pierwszych poetów, mamy jedynie na względzie zbyt ograniczoną liczbę jego utworów, bo uczuciem, ujmującą formą i oryginalnością nikt go nie przewyższył, a mała bardzo liczba współzawodników, doścignąć go zdołała. Nasz wieszcz, rozpoczął zawód literacki w chwili, w której jak się wyraził, jeden z naszych pisarzy, literatura ojczy-

sta była *kopją kopji*, to jest istnem naśladownictwem francuzkich tak zwanych klasyków, których utwory były znów wiernem literatury starożytnych odwzorowaniem. Kazimierz Brodziński, był u nas reformatorem w sztuce i pierwszym wieszczem odradzającej się poezyi na niwie naszego piśmiennictwa, jest to prawda, której przeciwnicy jego nawet nie śmieli zaprzeczyć. Abyście mogli dostatecznie pojąć i zrozumieć stanowisko Brodzińskiego w literaturze, oraz ocenić jego prace i zasługi, wypadnie nam zwrócić uwagę na jedną okoliczność, która zarówno z utworami naszego wieszcza, stanowi nader ważną epokę w dziejach ojczystego piśmiennictwa.

W czasach niepamiętnych dla was, bo w pierwszym dwudziesto-pięcioletnim stulecia naszego okresie, toczyła się walka zacięta, nienawistna, drobiazgowa, walka na śmierć dwóch przeciwnych sobie literackich stronnictw: *Klasyków* i *Romantyków*. Nim bliżej przedmiot ten rozpoznamy, czujemy się w obowiązku powiedzieć wam słówko o rzeczywistym znaczeniu wyrazów: *klasycyzm* i *romantyzm*, o którem łatwo zwichnięte mieć możecie wyobrażenie. *Klasycyzm* i *klasyczność* nie są jednobrzmiącemi z wyrazem *doskonałość*, oznaczają one raczej pewną do niej dążność, według ogólnych i z góry przyjętych o sztuce zasad. Przeciwny mu *Romantyzm*, oznacza prawdziwą poezyę, której pewne wyobrażenie, daje wam powyżej umieszczona rozmowa Kazimierza Brodzińskiego z bratem swoim pod Piłaszową skałą. *Klasycyzm* jest sztuką form zewnętrznych, wypływem loicznego rozbioru, następstwem długich, głębokich o smaku studyj: *romantyzm* jest rodzinną ludową poezyą; tu indywidualne natchnienie jest wszystkiem. *Pierwszy*, bierze początek w cywilizacyi narodów, w ich naukowym i sztucznym roz-

woju; *drugi,* jest jednoczesny stworzeniu świata i ducha ludzkiego. Człowiek po wielkim i stanowczym fakcie swojego upadku, w tęsknych zwrotkach boleść swą i żal opiewa, lub też w wesołych śpiewach i fantastycznych utworach, pociechy i rozrywki dla siebie szuka. *Romantyzm*, czyli jak go tu zowiemy, *poezya rodzinna,* w różnych dziejów okresach, stosownie do większego lub mniejszego rozwoju, na drodze poznania Bóstwa miłości ludzi i piękna [1]) objawiał się.

W średnich dopiero wiekach, to jest w okresie czasów tak zwanych rycerskich, *poezya rodzinna* przybrała nazwę poezyi romantycznej. Oba te objawy, jak *klasycyzm*, tak *romantyzm,* znalazły ślepych naśladowców i zapamiętałych przeciwników, oba walczyły pod sztandarem uprzedzonych wyobrażeń, bo oba były w prawdzie, ale tę prawdę pojmowały jednostronnie, to jest z właściwego sobie punktu widzenia.

Klasycyzm wołał: *piękno to poezya, zatem prawda; romantyzm* zaś odpowiadał mu: *prawda w poezyi to jest piękno.*. Doświadczenie przekonało, że nie zawsze to, co w uprzedzonych oczach jest piękne, jest prawdą, tak jak prawda i natura nie zawsze są piekne; że rzeczywiste piękno i prawda, są raczej w nas samych, w naszych czuciach i wyobrażeniach, w miarę jak sercem i czynem zbli-

---

[1]) Jak Dawid np. który silnym natchniony uczuciem, swój żal i skruchę w swych psalmach wypłakał. Nie tylko starożytni jedynegó Boga wyznawcy, poganie nawet, w miarę jak się do poznania i miłości Bóstwa i człowieczeństwa zbliżali, stawali się prawdziwemi wieszczami. Z nich, najpotężniejszy genjuszem, Homer, Iliady twórca, przepełniony był miłością Boga i ludzi.

(*Przyp. aut.*).

żeni jesteśmy, do najwyższej na tej ziemi doskonałości, do miłości Boga i ludzi. Poezya zatem nie jest jedynie w książce, w literze, w rymie, jest ona rozlana w szlachetnych czynach całej ludzkości, a prawdziwym wieszczem jest ten, który posiada dar wyrażenia piękna moralnego w sztuce i wydania go na jaw, już to przez pośrednictwo wyrazów i rymów, już to przez dłuto, pędzel i muzykę. *Klasycyzm* reprezentowany był przez sztukę Greków i Rzymian, a następnie szkołę staro-francuzką; *romantyzm* zaś przez Niemców i Anglików, którzy najpierwsi oswobodzili się z więzów sztuki starożytnych.

Na czele klasyków stali w czasach przedchrześcijańskich, naprzód Arystoteles filozof i estetyk, który pierwszy w słynnej poetyce swojej położył trwałe o sztuce zasady, za nim poszli Plato, Cycero i inni.

U nowoczesnych, Francuzi przylgnęli do literatury Greków i Rzymian, jako w czasie powstania i rozwijania się ich cywilizacyi, najsnadniej do ich ducha i obyczajów przypadającej. Starożytni, jakkolwiek w skutku swych religijnych mniemań, skrzywioną o poezyi mieli ideę, znaleźli jednak dość samodzielności, aby wyrobić sobie pewną oryginalną poezyę. Szkoła staro-francuzka, na której czele byli Boileau-Despreaux, autor nowej na wzór Arystotelesowej poetyki, Wolter, La Harpe i inni, odepchnąwszy od siebie rodzinną poezyę romanso-francuzką, tak obfitą w szczero-miejscowe płody sztuki, stała się najwyraźniejszą klasyków greckich i rzymskich kopją.

Wśród jej koryfeuszów znaleźli się ludzie, którzy jak La Harpe, te kopje w nowe uchwycili prawa i ogromne tomy pisali nad jedną sytuacyą lub ustępem w poemacie, odzie i dramacie. Szczupłe ramy życiorysu, nie pozwalają nam tu wypowiedzieć wszystkich wad i niedorzeczności

sztuki, która na zewnętrznej formie całą swą wartość opierała.

W miarę postępów waszych, w literaturze wszystkich narodów, wady te sami zapewne poznacie i ocenicie. My tu tylko powiemy, że brak prawdy i prostoty, mimo wielkiej poprawności stylu i wyrażeń, czynił dzieła klasyków mocno dla czytelników utrudzającemi, że prawią oni o bóstwach, rzeczach, krajach, które już dla tego przypaść nam do smaku nie mogą, że z niemi ani wiarą, ani wyobrażeniami, ani obyczajami zespoleni nie jesteśmy, że te niewolnicze formy, przekształcające żywe uczucie poety chrześcijańskiego, w jakieś konwencyonalne i pogańskie wyobrażenia, więziły jego ducha, zmuszając go do tworzenia rzeczy i obrazów nie budzących w nim samym ani w czytelniku jego, silnego zajęcia. Reprezentantką romantyzmu była cała ludzkość, już to śpiewająca swe wrażenia i uczucia, w pieśniach, piosnkach, balladach, legendach, powiastkach, już przez usta swych średniowiecznych bardów i trubadurów, już też za pośrednictwem natchnionych wieszczów, naczelników szkół nowych, którzy jak Dante we Włoszech, Kalderon w Hiszpanji, Szekspir w Anglji, Szyller i Göethe w Niemczech, ducha swoich narodów i czasów, w swojej indywidualności streścili i w najpiękniejszych poetycznych utworach przyszłym pokoleniom podali. Otóż i Kazimierz Brodziński był jednym z tych wieszczów, którzy natchnienia dla siebie nie w ślepem naśladownictwie Greków i Francuzów, ale w swojskich zasobach, w pierwiastku ludowym szukali i onych najczystsze wynaleźli źródło. On sam rozpoczął swój zawód, jak to wam już wyżej powiedzieliśmy, w chwili najniekorzystniejszej dla poezyi ojczystej, w chwili, kiedy literatura nasza była *kopją kopji, przeobrażeniem prze-*

obrażenia grecko-francuzkiego klasycyzmu. Miał on wszystkie przymioty, które tworzą wielkiego krytyka; estetyka i poetę, to jest w wysokim stopniu rozwinięte uczucie piękna, miłość Boga i ludzi, rzewność i prostotę, a wychowanie jakie odebrał, przeciwności i nieszczęścia, otaczające jego kolebkę, łzy dziecięcia na grobie matki, nie mało się do kierunku jego wyobrażeń przyczyniły. Wychowany wśród wiejskiego ludu, odznaczającego się starodawną ojców naszych pobożnością, przejął się gorącą wiarą i prostotą, które główny ducha jego i poezyi tworzyły pierwiastek.

W pierwszych trzech latach swej literackiej karjery, Brodziński ogłaszał przekłady polskie niemieckiego poety Szyllera, w wydawanym wówczas przez Bentkowskiego „Pamiętniku Warszawskim.“

Następnie, umieszczał kolejno w tem piśmie, nie według przyjętej dotąd formy, ale z własnego natchnienia i właściwą sobie prostotą i serdecznością kreślone własne utwory. Zjawia się *Wiesław*, szczero-rodzinny poemat, malujący pełnemi prawdy i uroku barwy, ubiory, obyczaje i zabawy krakowskiego ludu. Wśród płodów ówczesnej literatury polskiej, nastrzępionej bogami, pół-bogami i metaforami szkoły mitologicznej, była to niesłychana nowość. Powszechność pojęła od razu ducha i talent Brodzińskiego, z rozkoszą napawała się rzewnym i gładkim wierszem odbijającym z taką wiernością swojskie postacie i rzeczy. W utworach Brodzińskiego była natura w swej szczytnej prostocie, uczucie serca i rzewność myśli, pojęcie Boga i piękna moralnego, ów rodzinny artyzm, do wszystkich serc przemawiający i w dostępnej wszystkim podany formie. Klasycy posunęli część techniczną sztuki do najwyższej doskonałości sto-

pnia. Jakaż to w ich znanych arcydziełach melodya i harmonijne wyrazów następstwo, jaka potęga dyalektyki, jaka loika w układzie wypadków, jaka głęboka znajomość serca ludzkiego, w jego wyjątkowych burzach i wstrząśnieniach?...

Wszakże tym jedynie do formy odnoszącym się zaletom poświęcili prostotę, prawdę i istne piękno; chcąc wyidealizować poezyę, oddalili się od niej całą przestrzenią rozgraniczającą sztukę od natury.

Jeszcze w roku 1817-ym wydrukował w pamiętniku Warszawskim słynną swą rozprawę o *klasyczności* i *romantyczności*, rozprawa ta wielką w historyi literatury ojczystej wywołała zmianę. „On pierwszy, mówi Michał Grabowski, zrobił w literaturze polskiej stanowczy, olbrzymi krok, bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do uczucia, od sztuki do natury. Pierwszy przeczuł poezyę narodową i we własnem ją sercu wynalazł.“

Brodziński, jakkolwiek cenił literaturę Niemców, dla jej prostoty i oryginalności, nie był wszakże zarażony manją owego ślepego i drobiazgowego naśladowania, jak to zarzucić można wielu pisarzom następującego po nim okresu. Z powyższego zarzutu nie wyłączamy nawet Mickiewicza we wszystkich jego utworach.

Chcąc wam uczynić sumienny obraz ducha, dążności i talentu Brodzińskiego, musieliśmy mimowolnie zawadzić o walkę wyobrażeń, która dzięki Bogu i zdrowym o sztuce pojęciom wieku, już dawno znikła z widnokręgu naszej narodowej umysłowości. Uwolnienie się z form było dla wielu ludzi bez rzeczywistego talentu, pozorem czy powodem do pisania wierszy, dramatów, powieści, któreby nigdy nie powinny mieć wstępu do poważnej nauki i sztuki świątyni. Nie jeden biorąc za natchnienie,

łatwość tworzenia rymów, lub też tylko błahych o czarach. upiorach, zaklętych zamkach i ludziach powiastek, mniemał się być poetą i zarzucał publiczność płodami swej chorobliwej wyobraźni, w których sensu a tembardziej prawdy trudno się było dopatrzeć. Były to wyskoki miernoty i niedołęztwa jawiące się zawsze i wszędzie w pewnych literatury okresach, kiedy muza poezyi z form retoryki uwolniona: zapragnie swobodniejszego lotu, jak to widzieliście w Anglji i Niemczech w Szekspirowskim i Szylerowskim okresie, we Francyi w ostatnich Hugonowskich czasach, w Polsce od zakwitnienia młodej, tak zwanej Litewskiej szkoły, po stanowczem zerwaniu poezyi i literatury z nieużytemi klasycyzmu formami. Te wyskoki wszakże, ludzi o płytkich pojęciach, ograniczonych zdolnościach, niepojętej miłości własnej, czatujących na wszelkie genjalne objawy, aby sobie choćby ich okruchy przyswoić i przywłaszczyć, nie powinny iść na karb wielkich, nowych dróg objawicieli. Wskazują oni nową na widnokręgu naukowym prawdy pochodnię, nie ich wina, jeżeli wielu krzywo i opacznie na nią spoglądają. Brodzińskiemu to winniśmy wiązkę narodowych wieszczów, z których się tak słusznie ojczysta tegoczesna literatura szczyci. Choćby Brodziński nie miał zkąd inąd innych zasług, to wskazanie nowych dróg przyszłym pokoleniom, byłoby dostatecznem do unieśmiertelnienia jego nazwiska.

Brodziński wiele pism swoich za życia ogłosił, już to w osobnem wydaniu, już rozproszonych w ówczasowych pismach perjodycznych, mianowicie też w Pamiętniku Warszawskim; wiele ich pozostało w rękopiśmie. Wierny spis dzieł jego, własną ręką autora wypisany, znajduje się

w dawniejszych jego życiorysach; my tu tylko celniejsze wymieniamy:

1. Poezye w dwóch tomikach, wydane w Warszawie w roku 1821, w ich liczbie znajduje się „Wiesław,“ o którym wyżej jest wzmianka.

2. Elegje Jana Kochanowskiego wydane w r. 1830, w Warszawie, drukowane obok oryginału łacińskiego.

3. Pisma prozą, tom 1-szy, in 8-vo, w 1830 roku.

4. Dzieje Starego i Nowego Testamentu, przekład według wydania T. Derome, w dwóch tomach, wydrukowany po śmierci autora w Warszawie u Glücksberga, 1841 roku i ozdobiony rycinami.

Nie licząc w to ulotne poezye, dramaty oryginalne lub w przekładzie; kilkanaście rozpraw w różnych przedmiotach, z których najcelniejsza jest owa słynna, wyżej wzmiankowana, o *klasyczności* i *romantyczności*, owoc długoletnich studjów jego, w dawnej i późniejszej ojczystej literaturze. Obok tego, przez półtora roku był redaktorem Magazynu Powszechnego. Styl Brodzińskiego był łatwy, potoczysty, zalecał się równie prostotą, siłą, wdziękiem i jędrnością.

Pisma Brodzińskiego, wydanie zupełne, poprawione i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów, wyszły staraniem Józ. Ign. Kraszewskiego w 8-iu tomach w Poznaniu w roku 1872.

Te zbyt rzadkie zalety, są dostatecznym dowodem, że prawdziwy talent głównie w bogactwie myśli i natchnieniu źródło swoje czerpie, że dar zowiący się łatwością pisania, znaleźć się jedynie może w dobrej głowie i pełnem sercu, bo jak to mówią: *z próżnego nikt nie naleje*, że największe wrażenie nie tylko nie pokona daru wymowy, ale najsilniejszym jest dla niego bodźcem. Brodziński tak harmonijny i czarowny w stylu, obok swej prostoty, wy-

tworny w doborze słów, powinien być wzorem i nauką dla wielu dziś piszących, którzy pod pozorem silnego przejęcia się swym ideałem, zaniedbują zewnętrzne formy i ozdobę, tyle przecież do całości efektu nieodzowne. To niby zaniedbanie, nie jest czem innem, tylko wybiegiem mierności, na którym każdy czytelnik, mający trochę zdrowego i wytrawnego sądu, z łatwością się pozna. Brak uczucia, czczość myśli, pustki w głowie i sercu, pociągają za sobą przesadę, napuszoność. lub zgoła brak stosownych wyrażeń i zwrotów w stylu. Dla tego to czytamy dotąd jeszcze z upojeniem nie wielki oryginalnych pism Brodzińskiego zastęp, dzieci nasze i wnuki długo z równą rozkoszą czytać je będą, gdyż są w nich połączone wszystkie nieodzowne do pisania warunki, a nadewszystko człowiek z pisarzem jest w najściślejszem zespoleniu i harmonji. Co pierwszy w głębi duszą swoją pojmie i uzna, drugi odtworzy wierszem i prozą w szczytnych a prostych wyrazach, niekłamanem uczuciem, w jasnym i pięknym wykładzie.

Rodacy Kazimierza, zwiedzający na przedmieściu Friedrichstadt w Dreznie cmentarz katolicki, znajdą tam skromny pomnik w kształcie czworobocznej kolumny, obłożony u spodu granitem. U stóp grobowca leży kilka zwiędłych bukietów i wieńców, na jednym z boków jest napis:

Kazimierzowi Brodzińskiemu,
Ziomkowie.
Ur. 1791 † 1835 Października 10.

ROZMOWA Z KMIECIEM
O KRÓLU SOBKU.

— „Zkąd wy bracie?“ — „Od Krakowa,
Dziś targ na Kleparzu.“
— „Wyglądacie jakby sowa
Miły gospodarzu.

„Zkąd wam chmura ta nad czołem
I smutek na twarzy
Milej sercu kiedy społem
Człek z człekiem pogwarzy.“

— „Jam zaprawdę nie od tego,
Siądźmyż tam przy drodze.
— „Czy wam zrządził kto co złęgo?
Wy strapieni srodze!“

— „Oj, bo żywot nie wesoły,
Człowiek rozum traci,
Kto mnie dzieckiem gnał do szkoły,
Niech go porwą kaci!“

— „W czem zawadza wam nauka?
Zkąd na nią te gniewy?
— „Boć człek ziarna w księdze szuka,
A znajduje plewy!“

Ot, i dzisiaj, skrzepłem całki,
Aż do kości szpiku,
Nie zawadzi łyk gorzałki,
Idę do kramiku.

Widzę gazet kupę całą,
Byłem w szkole przecie,
Tożby wiedzieć mi przystało,
Co się dzieje w świecie.

Czytam jedną... Boże miły!
Oj! ciężkaż nam biada!
Łzami oczy się przyćmiły,
Pismo z rąk wypada!“

— „Cóż tam było biedny chłopku?“
— „Z żalu pęka serce,
Jak o naszym królu Sobku
Piszą ci bluźnierce!

Oni mówią: „Co mu wzrokiem
„Sięgać w sprawy cudze?
„I krew polską lać potokiem,
„Obcym ku posłudze!

„Swój pożytek mieć na względzie
Uczy rozum zdrowy.“
Komuż obcym był i będzie
On krzyż Chrystusowy?“

— „Zmącić prawdę rzecz nie łatwa,
Mój poczciwy chłopku,
Jeszcze wiejska wasza dziatwa
Wie o królu Sobku.

„Gdybyć w pochwę skrył szablicę,
Tu, gdzie Wisła bieży,
Błyskałyby dziś księżyce
Na Marjackiej wieży.

„Nie przeklinaj bracie księgi,
Choć nie jedna kłamie,
By zażegnać złe potęgi
Starczy krzyża znamię.

„Są tam jady, jest i złoto,
Strząśnij z czoła chmurę,
Daj mi rękę, idźmy oto
Na Wawelską górę.

„Tam przy króla Sobka grobie,
Pomódlmy się lepiej,
Niech pocieszy nas w żałobie,
Niech przewidzą ślepi.

„On ukaże kędy droga,
Wśród tej nocy czarnej,
Bo nie przepadł tam u Boga
Jego siew ofiarny.“

SZLACHETNE UBÓSTWO.

(Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA).

„Synu! jam zstąpił z nieba dla twego zbawienia — wziąłem na siebie twą nędzę, żebyś się nauczył znosić ją bez szemrania.“

Było to roku 1827, z po za mgły rannej okrywającej uśpione miasto, wyjrzało jasne na świat Boży słońce. Pierwsze jego promienie skąpały się w srebrzystej fali wiślanej, a odświeżone i weselsze padły chyżo na szczyty wież i kościołów Warszawy.

Wtedy jakby za hasłem ozwały się z różnych stron dzwony zwołujące na modlitwę, ludzie poczęli się roić, a stara Wisła przebudzona, z głośniejszym poszmerem niby piosnką ranną toczy swe wody ku Gdańsku.

Powoli, mgła ranna znikła w promieniach słonecznych, a po nad brzegiem Wisły, ukazały się jako gniazdka jaskółcze, poprzylepiane tu i owdzie niskie domostwa drewniane. Widać, że pomną nie dzisiejsze czasy, wszak

choć zgarbione latami, wziąwszy pod boki dębowe słupki, tulą się do stóp matki Wisły, w której zwierciadlanem łonie lubią przeglądać swe lica napiętnowane starością.

Te to ubogie domostwa zamieszkał lud biedny, trudniący się rybołóstwem, tarciem drzewa, lub innym tegoż rodzaju zarobkiem.

W jednym z podobnychże dworków mieszkało kilka rodzin, na dole w izdebce z prawej strony mieścił się szewc, praczka i woziwoda, a każde z kilkorgiem drobnych dzieci; połowę izdebki z lewej strony zajmował młody rybak z żoną, w drugiej zaś połowie oddzielonej parawanem, widać było łóżko, stolik i krzesełko, świadczące o lepszym niegdyś bycie swoich właścicieli.

Tę to połowę izdebki zajmowała wdowa po kapitanie, starym legioniście. Oblicze niewiasty zżółkłe i wynędzniałe objawiało przetrwane cierpienia; czoło jej niegdyś gładkie i piękne kurczyło się co chwila boleścią wewnętrzną. Przy łóżku obok matki siadło dziewczę białe, rumiane jak pączek rozwijającego się kwiatu; długie bląd włosy gładko w tył zaczesała, a ciemna perkalikowa choć wyłatana i wycerowana sukienka, dobrze przypadała do jéj różowej twarzyczki.

Na stoliku przed dzieweczką widać było nici, bawełnę i tym podobne przedmioty potrzebne do ręcznej pracy, ona zaś schylona nad krosienkami, w których widać było świeżo zaczęty kołnierzyk, migała szybko igiełką.

Niewiasta uniosła się w łóżku, wydając jęk bolesny.

— Co ci to mamo? zapyta dziewczę, podnosząc ku niej łzawe jak lazur oczęta.

— Ach! ten nieznośny reumatyzm, powie niewiasta, chwytając się za nogę.

— Boże! mój Boże! gdybym ja ci mamo ulżyć mogła.

— Nie dziecię, to przejdzie, ale Marychno spojrzyj jeno na mnie.

Dziewczę zarumienione jak wiśnia wzniosło ku matce nieśmiałe wejrzenie.

— Oj, dziecko, dziecko, tyś pewnie znów pracowała noc całą, oczęta twoje czerwone.

Marychna nic nie odrzekłszy, schyliła się ku robocie.

— Widzisz jak to źle dziecię, jesteś nieposłuszną, a to grzech wielki.

— Nie gniewaj się mamo zawołała składając drobne rączęta, tak szczupłe mamy fundusze, a tu nadchodzi zima, trzeba pomyśleć o ciepiejszym przyodziewku, o groszu na drzewo, które jest teraz tak drogie, a przytem gdybyś wiedziała mamo ile ja cierpię, że ty wychowana niegdyś w dostatku, na późne swe lata sama pracować jesteś zmuszoną, że ty mamo, żona niegdyś kapitana, do prania chodzić musisz, wespół z prostemi, niemającemi najmniejszego ukształcenia kobietami, i dziewczę serdecznie zaszlochało.

Niewieście łzy w oczach stanęły, wszakże siłą woli stłumiła wzruszenie. Źle mówisz Marysiu, odrzecze, praca nie czyni hańby nikomu, Bóg ludziom pracować kazał. wszakże sam w pracy i znoju, słowem miłości oświecał ciemne prostaczki? Nie zbytek szczęścia, nie pycha, wiodą ku królestwu Jego. On dziecię, swoim przykładem wskazał jak znosić ubóstwo, więc nie szemrajmy Marychno, Bóg nas nie opuści, jeżeli tylko iść będziemy drogą przykazań Jego.

Tu zamilkła kapitanowa, strudzoną głowę wsparła o poduszki, Marychna nic nie mówiąc otarła łezki i siadła zająć się dalej robotą.

Cisza zaległa izdebkę i po chwili słychać było tylko jednostajny oddech chorej, która snać lekko zdrzemnęła, Marychna zbliżyła się do łóżka a widząc matkę uśpioną poszła do kuferka, wyjęła dwa świeżo ukończone czepeczki, zadziawszy się chustką, wybiegła śpiesznо ku miastu.

W pół godziny wracała żwawo wesoła, bo jej się udało sprzedać obadwa, gdy spostrzegła blizko już dworku biegnący wóz z rozhukanemi końmi, krzyk jakiś dobiegł jej uszu, dobiegła byżo i ujrzała przed samą sienią siwowłosego starca ze zranionem czołem. leżącego na ziemi. Przestraszona spojrzała w koło siebie, nikogo nie było, skoczyła więc do izdebki, porwała stojący z wodą dzbanuszek i zaczęła zlewać głowę zranionego. Wkrótce starzec otwarł oczy, spojrzał na Marychnę i uniósł nad nią rękę, jakby błogosławiąc; lecz odurzony silnem uderzeniem konia nie mógł podźwignąć się z ziemi.

Marychna widząc przechodzącego jakiegoś rzemieślnika, podeszła prosząc go o pomoc i oboje wnieśli starca do izdebki, tam posiedziawszy chwilę, odzyskał przytomność, a widząc na łóżku śpiącą kapitanową, zapytał, czy to jej matka.

— Tak jest — odpowie Marychna.

Starzec zamyślił się nieco.

— Zapewne wkrótce się przebudzi?— zapytał.

— Tak myślę panie, bo nigdy długo nie sypia.

Właśnie na te słowa niewiasta przecknęła.

— Czy jesteś Marysiu? zawołała, nie widząc córki przy sobie; dziewczę przybiegło z pośpiechem.

— Kto to jest? spyta wskazując na siedzącego i zadumanego starca.

Marychna opowiedziała jej wszystko.

Starzec słysząc rozmowę podszedł bliżej łóżka i stanął, patrząc w kapitanowę zasmuconym wzrokiem.

— Dziwnym wam się to zda może pani, lecz chciejcie mi powiedzieć wasze imię.

— Nazywam się Katarzyna...

— Czy macie męża?

— Nie, od lat piętnastu jestem wdową.

— Powiedźcie mi proszę, czy wasz mąż służył wojskowo?

— Tak panie, był kapitanem w legionach włoskich.

— Więc to on! więc to Józef! zawoła starzec z żałością, Józef, z którym oba tylekroć w gorącym byliśmy ogniu; Józef, którego napróżno szukałem między półzmarzłemi towarzyszami w czasie pamiętnego odwrotu, i na to wspomnienie starzec z boleścią zasłonił sobie oczy.

— A czy wiesz pani kto jestem? zapyta po chwili zwracając się ku zatrwożonej niewieście. Cofnij się pani myślą wstecz o lat trzydzieści. O widzę, zaczął po chwili, widzę pośród wioski, nizki, słomą kryty dworek, w nim dwoje kochających się, poczciwych, jakich teraz na świecie nie znaleźć panie ludzi, widzę krzątającą się wesoło koło maleńkiego gospodarstwa śliczną jak anioł pannę Katarzynę, córkę współwłaściciela wioski, widzę zdala przez łany, bielejące z sąsiedniego sioła kominy, to sioło było niegdyś, Boże! mój Boże! ziemią rodzinną mych ojców i dziadów, było miejscem, gdziem ujrzał świat po raz pierwszy, gdziem doznał pierwszych chwil szczęścia, gdziem uczuł, że szczęście może być człeka udziałem, że

i na ziemi można stworzyć sobie niebo... resztę czyż potrzebuję powtarzać?

Kapitanowa z cicha łkać poczęła.

— Pan wiesz, że wola rodziców jest świętą dziecięciu.

Starzec opuścił głowę na piersi.

— Lecz powiedz pani, zapyta, jakim sposobem przyszłaś do takiego ubóstwa?

— Boże mój! jam sądził, żeś pani w dostatkach.

Tu znowu umilkł na chwilę.

— Cóż się z panem działo po wyjściu ze służby? — spytała ze wzruszeniem niewiasta.

— Ożeniłem się pani, czyli raczej mnie ożeniono, bo mówię szczerze nigdy tej myśli nie miałem, żona zaś moja na tamtym już świecie.

— I nikogo pan nie masz z blizkich sobie?

— Syna jedynego, który służąc w wojsku, stoi wraz z pułkiem aż pod Suwałkami, a którego rok przeszło nie widziałem.

I długo gawędzili przywodząc dawne wspomnienia, aż wreszcie stary wojak uprosił kapitanową, że przyrzekła przenieść się na mieszkanie do dworku, który posiadał na Rybakach.

Gdy odszedł, długo kapitanowa klęczała na łóżku, modląc się szczerze, a Marychna uszczęśliwiona zmianą, krzątała się wesoło, zbierając w tłumoczek porozrzucane manatki.

Nadeszła niedziela, zajaśniał dzień piękny jesienny, to też ze wszech stron lud śpieszył do kościołów chcąc zacząć dzień święty od czci Najwyższego.

Z wązkiej uliczki, idącej z nad Wisły, wyszło dwie osób, siwiuchny starzec, ubrany biednie lecz czysto i młoda dzieweczka, takoż świeżuchno choć ubogo przybrana, wiodąca go pod rękę.

— Wesprzyjcie się lepiej dziaduniu, powie Marychna, gdy mieli wstępować na kamienne schody świątyni.

— Dobrze dzieweczko — odrzecze wspierając się wojak — Bóg ci to wynagrodzi, i weszli w progi kościoła.

Tam w kaplicy Matki Najwiętszej, klękła Marychna, a obok niej starzec i oboje schyliwszy czoło, zaczęli szeptać pacierze.

W dziwnem usposobieniu była dnia tego Marychna; wesoła i lekka jak ptaszek, gotową była przyprawiwszy skrzydełka biedz w górę aż pod obłoki, to znowu tęskna i zadumana płakałaby bezustannie, nie wiedzieć czego.

Skończyło się nabożeństwo, lud zaczął wychodzić z kościoła, a pośród tłumu i starzec z Marychną.

Gdy zeszli na chodnik, zagrały trąbki i rozległo się wołanie chłopców ulicznych: wojsko idzie! wojsko!

— Zatrzymajmy się dziadziu, poczęło prosić dziewczę; tak ślicznie grają, posłuchajmy trochę.

Starzec zniewolony jej prożbą, stanął u chodnika.

Właśnie zabrzmiała muzyka, zatętniały konie, zaszumiały chorągiewki i począł ciągnąć ulicą pułk żółtych ułanów.

Nie wiedzieć czemu zadrżał stary wojak, jakby dotknięty iskrą elektryczną. Marychna przestraszona spoj-

rzała na niego, a w tejże chwili głos: ojciec mój! ojciec! przebiegł górą, i postać smagłego ułana przesunęła się jak zjawienie przed jej oczyma.

Starzec wytężywszy siły, podbiegł kilka kroków, lecz wkrótce osłabiony stanął, chwiejąc się, z wyciągniętemi rękoma, za niknącym już oddziałem konnicy.

— Dziadziu, dziaduniu! co wy robicie? zawoła bez tchu prawie przybiegające dziewczę.

— O Boże! Boże! to mój Antoś, mój syn jedyny! Zbezsilony wzruszeniem, wsparł się o ścianę kamienicy; gromadka ludzi zaczęła ich obstępować.

— Chodźmy dziaduniu, szepnie zarumieniona widokiem tylu ciekawych Marychna, w drodze dowiemy się gdzie stoją wojskowi, i dziadzio dziś jeszcze zobaczysz swego syna.

Starzec, powolny jak dziecię, dał się poprowadzić. Wróciwszy Marychna opowiedziała matce całe zdarzenie; dziaduś w niespokojności, obiadu wcale jeść nie mógł i skoro pierwsza wybiła, podpierając się sękaczem wyszedł na miasto.

Marychna wziąwszy nabożną książkę, poczęła czytać matce przypadające na ten dzień modlitwy. Gdy się już zmierzchać poczęło, dał się słyszeć w sieni sztuk laski i brzęk jakoby ostróg i pałasza.

Marychna zerwała się żywo, chcąc wybiedz przeciw dziadunia, jak to zwykle czyniła, lecz w tejże chwili jakby coś sobie przypomniawszy, stanęła w miejscu.

— Niech będzie pochwalony! zabrzmiał we drzwiach głos męzki.

— Na wieki — odpowie kapitanowa.

Marysia zmięszana i drżąca wsunęła się w kącik zasłoniony parawanem.

— Otóż mój Antek! — zawołał starzec z radością, wskazując kapitanowej smagłego jak sosna, o czarnym wąsiku ułana; już podoficer pani dobrodziejko, dodał wesoło, zacierając ręce.

— A winszuję, szczerze winszuję.

— Ale gdzież Marysia? — zapytał legjonista.

— Była przed chwilą. Marychno! Marychno!

Dzieweczka drżąca jak listek wyszła z kącika.

— A czyż to godzi kryć się przed chłopcem? — rzekł ze śmiechem stary wojak — przypatrz-no mu się, wszak chwat niczego i powiódł ją za rękę.

Marysia przysłoniła oczy fartuszkiem. Oj, te dziewczęta, to to figlarze, niby nie patrzą, widzą jednak dobrze.

— Czy wiesz Anteczku, że gdyby nie ona, nie nasza Marysia poczciwa, nie miałbyś już może ojca na świecie.

Dziewczę bardziej się jeszcze zmięszało.

— Ej, co tam! — przerwie kapitanowa.

— Nie, pani dobrodziejko, ja muszę wszystko mu opowiedzieć.

I siadłszy na zydelku, począł rozpowiadać całe zdarzenie.

— Jak ja mam podziękować? zapyta młodzian wzruszony. Marychna spuściła główkę, kręcąc róg fartuszka.

— Ucałuj rączki — przerwie stary wojak.

Młodzieniec chciał to wypełnić, lecz widząc Marysię zmięszaną, nie śmiał przybliżyć się do niej.

— Teraz zasiądźmy sobie; pani kapitanowa zrobi nam ponczyku po staroświecku, bo my też nie dzisiejsi

to ludzie, i począł wyjmować z kieszeni cytryny, arak i cukier. Niewiasta z Marychną zakrzątnęła się około ulubionego napoju.

Po przyrządzeniu i wypiciu go razem, zasiedli w kółko i starzec począł wypytywać syna o szczegóły jego służby, przeplatając je własnemi o różnych bitwach anegdotkami. O dwunastej rozeszli się, młody ułan miał zostać w mieście z pułkiem przez pół roku, przyrzekli więc kapitanowej często ją nawiedzać.

W uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, o godzinie ósmej rano, zapalono świece w kaplicy Bogarodzicy przy kościele Świętokrzyzkim, zabrzmiały organki pieśnią Veni Creator i młoda dzieweczka w białej perkalowej sukience, z wiankiem mirty nad czołem, klękła u stopni ołtarza, a przy niej o szlachetnej postawie i obliczu ułan.

Po za Marychną stanęła młoda jak ona panienka, trzymająca pierścionki, kapitanowa w jasnej tybetowej sukni i stary wojak w nowym surducie, z krzyżem legji honorowej na piersiach.

Ksiądz związał stułą ręce nowożeńców, odczytał modlitwy, pobłogosławił i młoda para promieniejąca radością, wstała od ołtarza.

Dziadunio podał rękę Marychnie, która śmiejąca się i płacząca zarazem, kryła główkę przed przyglądającemi się jej ciekawie osobami.

Kapitanowa naprzód pobiegła, by przyjąć małżonków chlebem i solą.

— Widzisz, jak to dobrze nieść pomoc starym Marychno — począł żartować gwardzista, gdy weszli do izdebki, inaczej nie byłabyś dziś żoną tak pięknego chłopca; oj, ty figlarko, musiałaś ty naprzód wiedzieć, że ja mam syna, i ucałował ją szczerze w oba policzki.

I cóż dalej mam mówić, młodzi czytelnicy? Marychna była szczęśliwą; wzięła do siebie matkę i dziadunia i Bóg jej błogosławił, bo czyn litościwy, praca i poczciwość nie zostają na tym świecie bez nagrody.

Władysława.

Wdzięki i ospa.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

Bogatych rodziców jedynaczka Amelja, od lat dziecinnych zapowiadała urodą swoją, że zajaśnieje zbiorem wszystkich wdzięków i gdy podrośnie, będzie się liczyć pomiędzy najpierwsze piękności. Pieszczona przez ojca i matkę, a tem samem i przez wszystkich domowników, mając liczną służbę na usługi, która na wyścigi śpieszyła każdy jej rozkaz wypełnić, nie pojmowała nawet, że są biedni potrzebujący wsparcia, są głodni, co chleba łakną, i zdarzają się wypadki, że ogromne majątki znikną jak śnieg marcowy i najpiękniejsze kobiety, chorobą lub wiekiem stracą zachwycające wdzięki. Wzrastając jednakże, gdy Bóg oprócz piękności ciała obdarzył Amelję i piękną duszą, kierowana zdrowemi radami ukochanej matki, wychowana bogobojnie, kiedy zaczęła lepiej świat i ludzi poznawać, nabrała przekonania, że wdzięki, jakie-

mi Opatrzność ją obdarzyła, są tylko przemijającym darem: trwalszemi są cnota i dobre przymioty. Pochwały swojej piękności, których co dzień od domowników i gości nasłuchać się dosyć nie mogła, spowszedniały jej w końcu; miło jej i przyjemnie jednakże było, gdy w siedmnastej i ośmnastej wiośnie życia, gdziekolwiek się w najliczniejszem zebraniu znalazła, jednomyślnie za królową wdzięków uznawaną została. Rodzice dumni byli ze swej córki, pochlebiało to ich miłości własnej. Amelja za powrotem z zabawy, klękała zawsze i w rzewnej modlitwie błagała Boga, aby ją miał w swojej świętej opiece, aby udzielił szczęścia na późniejsze lata, jakby przeczuwając, że piękność jej prędzej niżeli spodziewać się mogła, zniknie bez śladu.

Nie brakło pięknej i bogatej dziewicy licznego grona wielbicieli. Z pośród nich wybrała jednego, co może się mniej odznaczał urodą i elegancyą salonową, ale celował wszystkich prawością uczuć i charakteru. Były właśnie czasy wojenne; młodzież polska śpieszyła pod chorągwie Napoleona I-go. I młody Stanisław, narzeczony Amelji i z nią zaręczony, pośpieszył do pułku swego, walczącego w Hiszpanji. W pół roku później, po jego wyjeździe, Amelja wracając z matką z Saskiego ogrodu, uczuła nagle ból głowy i silną gorączkę. Przywołany doktór zapowiedział febrę, ale wkrótce przekonał się, że to jest najzjadliwsza ospa naturalna. Kilka miesięcy biedna Amelja nie powstała z łoża, nie zwracając uwagi na to, z jaką rozpaczą ukrytą matka i ojciec opuszczali jej sypialnię, pomimo, że już czuła się zdrowszą; z jakiem niemem osłupieniem domownicy spoglądali na jej oblicze. Doktór z dnia na dzień odwlekał chwilę pozwolenia po-

wstania z łoża i ubrania się; wreszcie czas na to oznaczył. Amelja w wigilję tego dnia odebrała list od narzeczonego, że powróci za tydzień, na miesiąc cały za urlopem, że szczęśliwie wyszedł z niejednej morderczej walki i otrzymał zaszczytny krzyż legji honorowej.

Zerwała się nazajutrz Amelja z łoża, do którego tak długo przykutą była, zadzwoniła na służącą, a gdy ta nadbiegła, szybko zarzuciwszy na siebie ranne ubranie, siadła do uczesania przed zwierciadłem. Zaledwie rzuciła weń oczyma i przyjrzała się swej twarzy, wydaje krzyk przeraźliwy, i omdlała, martwa upada na posadzkę. Na wrzask przestraszonej służącej, zbiegają się służące, domownicy, cucą, ale Amelja zaledwie otworzy oczy i spojrzy w duże zwierciadło, mdleje napowrót. Przywołany doktór kazał przenieść chorą do łoża, a zwierciadło wynieść do innego pokoju. Silna gorączka połączona z malignią, zagrażały jej życiu. Siły młodego wieku wytrzymały chorobę; po kilku dniach przyszła do siebie, a po gorącej modlitwie, zaczęła się dopytywać o narzeczonego. Przyjechał właśnie w wigilję dnia tego; skoro się o tem dowiedziała, prosiła usilnie, aby go mogła widzieć. Gdy się temu opierali rodzice, rzekła wtedy: „Muszę się moja droga matko zobaczyć ze Stanisławem, to jest moje stanowcze postanowienie i dozwólcie mi tej ostatniej na ziemi pociechy.“

Zmężniały i urodniejszy jak dawniej, z krzyżem legji honorowej na piersiach, wszedł Stanisław wielce wzruszony. Spojrzał na oblicze zeszkaradzone ospą biednej Amelji i zbladł widocznie. Biedna dziewczyna, spostrzegła to pomięszanie jego, wyciągnęła doń rękę równie białą jak niegdyś.

„Chciałam cię widzieć po raz ostatni, aby cię uwolnić od danego słowa. Oto masz pierścionek, którym zaręczoną zostałam. Jesteś wolnym, panie Stanisławie, mnie zostaw memu losowi, a sam bądź szczęśliwy — i tego szczerze z serca ci życzę.“

To mówiąc podała mu obrączkę, a łzami zalaną twarz odwróciła do ściany.

Stanisław nie przyjął pierścienia, ukląkł przy łożu i wobec rodziców, całując jej rękę, odrzekł stanowczym głosem:

„Ameljo! przysiągłem ci wiarę: dotrzymuję słowa i ciebie nic zwolnić nie może od danego przyrzeczenia. Nie kochałem cię tylko dla samej piękności, jak tyś oddała mi serce nie dla mojej urody. Wiesz, że mnie twój posag nie wabił, bo mam dostatki; powtarzam ci moją przysięgę, że wszystkie moje starania obrócę na to tylko, aby cię uszczęśliwić.“

Któż opisze radość Amelji, kiedy zwyciężona szczerością uczuć szlachetnego Stanisława, wkrótce potem w kościele Świętego Krzyża w Warszawie, stanęła na ślubnym kobiercu. Przedłużył nieco urlop, ale po kilku tygodniach, musiał pośpieszyć do swojej chorągwi. Wiele lat jeszcze w różnych krajach walczył, wszędzie go osłaniała opieka Boża. Po krwawych zapasach, osiadł Stanisław w ustroni wiejskiej z Amelją, tu zajęci gospodarstwem i wychowaniem jedynej córki, szczęśliwie życie pędzili. Po trzydziestu kilku latach, gdym nawiedził ich w skromnym dworze, otoczonym gustownym ogrodem, w którym wszystkie niemal drzewa były sadzone ich ręką, gdy w wieczornej pogadance wspomnieliśmy dawne czasy, pani Amelja rzekła do mnie:

— Widzisz pan, zawsze jestem brzydką i zeszpeconą od ospy, ale Bóg nie odmówił mi jeszcze szczęścia jakiego tylko człowiek używać może na tej biednej ziemi. Stanisław kocha mnie zawsze jednakowo, córka już od lat kilku wydana, szczęśliwa w pożyciu domowem, odwiedza nas często, i wtedy dwór nasz samotny odżywia się na nowo. Straciłam wdzięki za młodu, ale i dziś już bym ich nie miała, a czy byłabym szczęśliwszą? Wie Bóg dobry co robi, i jeżeli z jednej strony zsyła wielkie umartwienia, to z drugiej nagrodzi wielkiemi pociechami!

OBRAZKI WIEJSKIE.

I.

GÓRY SIEROCE.

. . . Takci bywało panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą;
Dziś wszystko już inaczej, wszystko spoważniało;
Jak to mówią podstawy dość, wątku mało.

Jan Kochanowski.

W ślicznem położeniu, jakich nie brakuje naszej poczciwej okolicy, okolonej z jednej strony czarnym sosnowym borem, z drugiej obszarem łąk bujnych, upstrzonych różnokrasą gromadą bydła, na dwóch niewielkich wzgórzach, rozłożone były dwie wioski, zwane małe i wielkie Góry. Kiedyś nazwy te, zapewne od wielkości osad powstały, i być może, że rzeczywiście trafnie je zastosowa-

no, ale dziś zupełnie rzeczy miały się przeciwnie, bo gdy Wielkie Góry zaledwie liczyły w sobie ze trzydzieści budynków, poczerniałych, okopconych, obdartych i w różne strony ponachylanych, Małe Góry miały ich przeszło dwa razy tyle, i tak ponętnie już zdala nęciły do siebie swoim porządkiem, białą ścian sukienką i wiankami małych ogródków, że zjeżdżając z sąsiedniego wzgórza, oczy mimowoli biegły do Małych Gór, z niechęcią odwracając się od Wielkich. Jaka zachodziła różnica w powierzchowności tych dwóch wiosek, taka musiała być i między mieszkańcami, bo w całej okolicy chociaż je nazywano Górami, ale już nie Małemi i Wielkiemi, ale szlacheckiemi i sierocemi, a niektórzy hultajskiemi, bo mówiono, że nigdzie nie ma tylu hultai, jak w Górach Sierocych. Wprawdzie mieszkańcy Gór wielkich niezmiernie się gniewali o przekręcanie tak niepochlebne nazwy swej wioski, mówiąc, że nie dosyć że ich bieda gniecie, ale i ludzkie języki pokoju im nie dają; lecz widać, że gniew ten zupełnie przeciwny wywierał skutek, bo nazwa Góry Wielkie zupełnie prawie zaginęła w całej okolicy, i tylko jeszcze się spotkać z nią można było w biórach rządowych, w księdze hypotecznej i w ustach bardzo starych ludzi: młodsze bowiem całe pokolenie inaczej Gór Wielkich nie nazywało, jak tylko Góry Sieroce albo Hultajskie.

O ile nazwa ta była sprawiedliwą, trudno powiedzieć; wprawdzie kilka brzydkich kawałków wydało się i kilku z mieszkańców pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, ale ci utrzymywali, że popadli w nieszczęście takie ino bez zawziątkę ludzką, że nikt im dowieść nie może złodziejstwa, bo nikt ich jeszcze za rękę nie złapał. Mimo jednak tego, w każdej stracie, jaką kto mógł ponieść

w okolicy, czy to zginął koń z pastwiska, czy wyprowadzono bydlę z obory, czy zabrano snopki z pola, każdy najpierw udawał się do owych Gór osławionych, a jeżeli umiał począć sobie z ludźmi i zgrabnie i grzecznie, to jeżeli zguby nie odszukał, przynajmniej miał sobie wskazane, gdzie ją prawdopodobnie znaleźć może.

Otóż jednego dnia, przy końcu żniw jarych, boczną drożyną na małej chłopskiej hetce jechał włościanin już nie pierwszej młodości, i widać biedaczysko bardzo zafrasowany, bo i wzdychał często, i raz po raz kapelusz przerzucał z ucha na ucho, tak się drapał po obu stronach głowy. Jechał małym truchtem, nogi w ogromnych butach prawie mu się wlokły po ziemi, i choć niemi ciągle poruszał dla przyśpieszenia biegu małego swego pegaza, ten jednak posuwał się drogą jednym zawsze krokiem, omijając starannie wszelkie błoto i kałuże. Drożyna którą jechał, dochodziła do głównego gościńca, przechodzącego pod samemi wioskami, i łączącego je z sobą, stykała się zaś z nim w punkcie, gdzie stała karczma i most na strumieniu, który wypływając dosyć szerokiem korytem z pomiędzy owych dwóch wzgórz, z mrukiem i małym szumem, sunął się precz daleko przez błonia i łąki. Strumień ten stanowił naturalną granicę między obiema wioskami, a jakby mu wstyd było tak śmiało spojrzeć ludziom w oczy, zaraz od mostu cały po obu brzegach zarośnięty był wierzbiną, wikliną i innemi podobnemi krzakami, tak, że z daleka wydawał się jak wązki pas ziemi umyślnie usypany i umajony zielenią, albo jak pełzający ogromny wąż, co sunie się po ziemi za zdobyczą.

Dzień był piękny, tylko chmurki małe pierzate kiedy niekiedy przemykały się w lazurze niebieskim, a słonko całą swą tarczą wzbijające się nad ziemię, zdawało się

z radością przyglądać polom i pracującemu na nich ludowi wiejskiemu. Na samem zetknięciu się drożyny z gościńcem, kilkoro młodych dziewuch na polanku wiejskim zbierało garście jęczmienia; układało na powrósło, a dwóch wieśniaków, jeden w siódmym krzyżyku, drugi znacznie od niego młodszy, a nawet dzieciuch prawie, wiązało w snopki. Robota szła żwawo, ściernie szeleściło pod nogami, dziewczęta śpiewały, a wieśniacy od czasu do czasu zwracali się ku młodym pracownicom z burczeniem lub łajaniem, gdy na powrośle nierówno lub za wiele jęczmienia ułożyły.

Kiedy jadący drożyną włościanin dojechał do pracującej gromadki, wstrzymał konia i uchylając cokolwiek kapelusza, wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków amen — odpowiedziano.

— Szczęść Boże na robotę.

— Daj Panie Boże — prosiemy.

— Róbcie z Bogiem moi ludzie — odezwał się znowu podróżny włościanin — chciałem się was zapytać mój gospodarzu, czy do tych Gór Sierocych czy Hultajskich jak je ludzie nazywają, dojedzieta groblą od stawu?

— Ej! dojechać, dojedzie — odrzekł ów siedmiokrzyżykowy włościanin — ale jak po deszczu, to zawdy lepiej za gościńcem.

— A czy wy z tamtych Gór jesteście?

— Ej, nie, z tych szlacheckich, ale się zna drogę dokumentnie, boć to tak jak jedność.

— No, to Bóg wam zapłać mój gospodarzu, zostańta z Bogiem.

— Jedźcie z Bogiem— odrzekł chór czterech dziewczyn i dwóch włościan pracujących, a gdy podróżny po-

dyrdał na koniku, i już znaczny oddalił się kawałek, ów starzec zakładając kołek do wiązania za pas, odezwał się:

— Już to ten chłopina pewnie nie po zabawie tu przyjechał. Oj! te Góry, te Góry, to nie jednemu staną na zdradzie.

— To też je nazywają częściej hultajskiemi jak sierocemi — odezwał się drugi młodszy.

— A bo warte tego — z oburzeniem odrzekł stary— bo od hultai to się trzęsie wieś cała.

— Mój dziadku, powiedzcie mi—zapytał młodszy— dla czego to teraz takie jest rozdwojenie między naszemi Górami, a tamtemi z za strumienia? Przecież to wszystko kiedyś było w jedności, a jak ludzie mówią, to tamte Góry były trzy razy większe od naszych, a dziś i bez pół im nie dochodzą?

— Mój chłopcze, wielaby o tem trzeba mówić, bo ja to wszystko znam dokumentnie. Ot, mój Janku, kara Boża i jużcić.

— I jakże to mój dziadku?...

— Hm! — mruknął stary Walenty i spoglądając na słońce, mówił dalej — czas pono będzie siąść na śniadanie. Weźta się więc dziewuchy i ty Janku do kobiałek, a ja to wam rozpowiem o dawności, co w głowie mojej zostało.

Dziewuchy ochoczo przysiadły na zagonach, Janek tuż przy nich, a Walenty poprawiwszy się na snopku, tak zaczął mówić:

— Moje dzieci, dawniej, kiedy byłem małym chłopięciem, w tych latach ot, co Hanka albo i młodszy, to naszych Gór całkiem nie było, ino jedna chałupa dla leśniczego, z obórką i chlewem na dobytek. Pan Koszycki, rodzic naszego dzisiejszego dziedzica, świeć Panie nad je-

go duszą, miał żonę poczciwości kobietę, bo choć byłem mały i z rozumem zwyczajnie jak u dziecka, ale równie już mogłem tę rzecz dobrze pomiarkować, bo wedle moich uszów zawdy ino o niej dobre słowo między ludźmi chodziło. Pan także był poczciwości człowiek, bo jak oboje z panią bez wieś szli pod rękę się wiodąc, to jaki taki i kobiety i gospodarze i dzieci, wszystko to cisnęło się do pańskich nóg, a państwo to każdego pozdrowili, do każdego rzekli Boskie słowo, każdego się zapytali to o to, to o owo, dzieciaka żadnego nie ominęli, żeby go nie ucałowali, i ja pamiętam, żeśmy tacy byli śmieli do państwa, że nas dzieciaków wedle nich, jak szli bez wieś, zawdy była nieladajaka gromada. To my się wedle państwa gonili, łapali rękoma za suknie, lub pana za kapotę, a państwo się śmiali, łachotali nas, przewracali na murawę, i ta różne cudeńka dokazowali. Dzisiejszy nasz pan był wtedy takim jak ja dzieciuchem, to choć my go zwali paniczem, ale równie żyliśmy z sobą w równości, nikiejby dzieci od jednej matki.

W tem miejscu kaj teraz stoją chlewy i kurniki dworskie, stał wtedy dwór, a tudzież na wysokim słupie był uwiązany dzwonek, i wedle niego wszystko się musiało stosować w całej wsi i we dworze. Bywało, zadzwonią raz, to na obudzenie, na napojenie wołów i koni, na obrządzenie się wedle siebie i wyszykowanie do roboty.

Zadzwonią drugi raz, to na zmówienie pacierza i rozpoczęcie roboty. To wtedy każdy co ino mógł, leciał hyżo do dworu, bo to pacierz był nieladajaki i jakoś raźniej po nim szedł do pracy. Zimą to pacierz ten zawdy odbywał się w pierwszym zaraz pokoju we dworze, a latem to przed gankiem na podwórzu, i ze wsi kto przyszedł, to

przyszedł, bo każdemu do ochoty było zostawione; ale z dworskich każdy musiał się stawić pod karą, bo go inaczej pan nie chciał przyjąć do roboty i takiemu zwykle mówił:

— Mój kochany, albo zmów pacierz, albo idź sobie gdzie ci się podoba, bo jakeś dnia nie zaczął od Boga, tak go pewno z Bogiem nie skończysz, a taka robota nigdy nie wyjdzie na pożytek, ino na marność.

To też ludowina pilnował się, i tak się nałożył do tego nabożeństwa, że jak tylko drugi raz dzwonienie rozeszło się po wsi, to ze wszystkich stron i chałup nikej gęsi do stawu szedł człek za człekiem, i młodzi i starzy, i kobiety i dzieciaki. Jakeśwa się zeszli, tośmy postali w cichości jaką chwilkę, nie długo potem wchodził pan i rzekłszy Boskie słowo klękał na ziemi, my za nim, i w głos mówił cały pacierz, a my powtarzali. Czasem pana zastępował ekonom albo kucharz, bo także był piśmienny, ale ino wtedy kiedy pan albo słabował, albo spać poszedł późno, a w niedzielę i w każde święto, to i pani i panicz regularnie byli na nabożeństwie, i tak wszyscy po równości klęczący chwaliliśmy Boga. I Bóg też nie zapominał o Górach, ludowinie wszystko szło ręką, bydełko się wiodło, pola rodziły, robota nikomu się nie przykrzyła, bo jak ino z wiosny skowronek zaświegolił, to w polach aż gwarno było od śpiewania ludzkiego. Bo każdy, czy przy pługu, czy radle, bronach, sierpie albo kosie, tak se ochoczo przyśpiewywał. Lecz kiedy przyszło święto jakie albo niedziela, to znowu wszędy było cicho jak makiem zasiał, nie usłyszałeś ani śpiewania, ani głośnego rozmawiania, bo pan powiadał, że w święto to wszystko powinno świętować i iść wedle przykazania Bożego, tak człowiek, jak i jego dobytek. Świętowaliśmy też uczciwie, po

katolicku, o jakiej robocie albo interesie nie było nijakiej mowy, chyba ta w wielkiej, bardzo wielkiej nagłości i dopiero po południu na wpół odwieczerza, wolno było zejść się do karczmy, wygwarzyć, poskakać trocha, bo pan powiadał, że uciecha poczciwa, choć przy kieliszku wódki, aby w trzeźwości, po całotygodniowej pracy i po nabożeństwie, to i ludziom i Bogu się podoba. Bawił się też ludowina co się nazywa, karczma ino dudniała od ochoty, wesołe śpiewanie ino się rozlegało po wsi całej, a jak państwo czasem zeszli do karczmy, to się ładno przypatrzyli, namówili do tańca tego lub owego, dodali ochoty, pochwalili i poszli z Bogiem do domu. O dziesiątej już karczma musiała być zamknięta, a jeżeli czasem zaszła jaka kłótnia lub bitwa broń Boże, lub kto się opił i różne cudeńka dokazował, to szynkarz płacił karę i na drugą niedzielę nie wolno mu było mieć grania w karczmie. To też ludowina strzegł się jak ognia różnych takich termedyj, jeden drugiego przestrzegał, bo nie dosyć, że za jednego z tego cała wieś pokutowała, ale i pan robił się wtedy na ludzi gniewniejszy, przymówiska w każdej okazyi nie żałował, a na sprawców to prawie patrzeć nie mógł.

Kiedy znowu kto co zgrzeszył, albo przez zuchwalstwo, albo przez złość swoją, to jak przyszła niedziela, po pacierzu, pan mu wszystko wymówił przy całej gromai przełożył tak dokumentnie, a wszystko nabożnie i z religją, że ludzie wzdychali, winowajca wzdychał i wstydził się, że prawie oczów od ziemi podnieść nie śmiał i zawdy tak wypadło, że się tak rozpłakał jak dziecko i dalej do nóg pańskich w przeprosiny. Za winowajcą znowu szedł w prośby ludowina i póty molestowano, póty przepraszano, aż pan winę odpuścił i przyrzekł, że nie będzie miał

do niego nijakiej żałości. Czasem to znowu pan przepraszał gromadę, jak z popędliwości po próżnicy kogo wyłajał, to wtedy jak zaczął przekładać, „a wybaczta mi moi ludzie, dla miłości Pana Boga, boć i ja grzeszny człowiek jak drudzy,“ to i pan się spłakał i gromada się spłakała, że od żałości to ludzie rady se dać nie mogli.

Kiedy miała nadejść spowiedź wielkanocna, to w jedną niedzielę na dwa tygodnie przed świętami rano i po południu, gromada schodziła się do stodoły, bo by w innem miejscu nie mogła się pomieścić, to jak pan zaczął czytać i roztrząsać sumienie, czem to człowiek mógł Boga albo ludzi rozgniewać; to człek jak pomyślał nad sobą i na ostatni koniec życia, to aż go zimne mrowie przechodziło, co ta tyle w sobie widział winy. To też potem ludzie strasznie pokornieli, chodzili jak powarzeni i dopiero nabierali śmiałości, jak sumienie oczyścili przy świętej spowiedzi i odprawili pokutę.

Że więc moje dzieci ludzie u nas przestrzegali religji, że zawsze o Bogu pamiętali, Bóg też był z niemi, każdy pracował, chleba nikomu nie brakło, wedle każdego było czysto, porządnie, bo każdy się starał o ogarnięcie, żeby przecież miał w czem pójść do kościoła lub na pacierz do dworu, a taka była zgoda, taka przyjaźń między ludźmi i między dworem a gromadą, że o zwadzie jakiej, o przekleństwie, to i słychu nie było. Jeżeli zaś był taki który uparty, co mu żadne gadanie nie pomagało, ino hultajstwo było u niego pierwsze jak wszystko, to pan zwołał gromadę, przełożył wszystko o winowajcy jak wypada i wyganiano go ze wsi, żeby nikej parszywa owca drugich ludzi swą złością nie zarażał. Po prawdzie rzadko się to bardzo zdarzało, ale jednak bywało tak, i za mojej pamięci tylko dwóch wygnali za pijaństwo, a jednego

za smołę w rękach. Dwóch z nich to się potem zmarnowało i znaleziono ich, jednego na drodze, drugiego w karczmie umarłych, ale ten trzeci upamiętał się co to miał smołę w rękach i powrócił do wsi, bo gromada o to prosiła i potem żywot swój uczciwie prowadził.

Tacy to byli nasi państwo poczciwi, i taka Górska gromada, a na wieś to miło było spojrzeć, co tak wszystko ładnie do oczów wchodziło. Bo na górce stał dwór, wedle niego był ogród pełen różnej drzewiny, i dalej trocha na ustroniu zabudowania różne dworskie. W okół zaś błonia, na którem była duża sadzawka, szły chłopskie chałupy, za niemi stodoły, obory i chlewy, a wszystko takie bielutkie, takie czyściutkie, tak umajone gruszkami, jabłkami i śliwiną, że spojrzawszy po wsi, zdało się, że wszystko przywdziało na siebie świąteczne szaty i że ino ten jeden raz tak ładno wszystko wygląda. Ale to bajka! bo w naszych Górach zawdy tak było, bo ludowina bał się Boga, więc pracował, zabiegał, a nie hultaił; szanował znowu pana i dbał o jego dobre słowo, więc się starał tak wszystko robić, żeby to się państwu podobało. Kiedy więc gromada tak se poczynała, to jakże we wsi nie miało być ładno? Wreszcie, moje dzieci, każdy we wsi, od maluśkiego dziecka, aż do starego miał śmiałość do dworu, więc w każdem wydarzeniu, czy o zapomogę, czy o poradzenie w czem, czy w jakim interesie szedł do pana, bo wiedział, że pan z cierpliwością go wysłucha, że się ugada, że się pan na niego nie oburknie, a że jest z lepszym od niego rozumem i prawie tak jak ojcem, to pewno w słowach pana nie znajdzie dla siebie szkody, ino prawdziwy pożytek. Więc jak pan rzekł, tak dla każdego było jak nakazem i dlatego we wsi dobrze się działo, bo we wszystkiem był i pański rozum i pańska poczciwość. Ludowina

śmiało każdemu patrzył w oczy, a do Gór naszych, co je wtedy Wielkiemi nazywano, to się zewsząd ludziska schodzili, a wszystko o pomieszczenie, bo wiedzieli, że w Górach i chleb dla siebie znajdą, i uczciwe zachowanie, i poczciwe słowo, bo tak jakoś między nami było galanto i ochotnie, że nawet zdawało się, iż na Górskich polach i ptakowie ochotniej śpiewają niż gdzieindziej. Ale moje dzieci, widać żeśmy nie mogli uprosić łaski Pana Boga dla naszych dzieci, bo i na nasze Góry przyszła zła godzina i z tej wioski co ją tak wszyscy ludzie chwalili, z tego ludowiny co het na całą okolicę był w wielkim u wszystkich poszanowaniu, cóż dziś zostało? Oto kupa nieprzewróconych jeszcze budynków, czarnych, brudnych, odertych, pochylonych ku samej ziemi i garstka nurkowatych chłopów, co od ich niepoczciwości, ludzie nawet samą wicś przezwali. Dawniej, kiedy zobaczono dobre szkapy chłopskie w zaprzęgu, ludzi uczciwie ubranych i ochotnie poglądających po świecie, bydlę piękne, posiew ładny lub dobrze pole sprawne, to zaraz każdy mówił, to pewno Górscy ludzie, albo Górski dobytek, bo wszyscy znali nasz starunek i wiedzieli, że u nas wszystko idzie poczciwie tak u jednego, jak u wszystkich razem, nikejby orzech zgryzł. Dziś wszystko jest na opak, bo jak dawniej znano nas ino z dobrego, tak dziś ze złego. Idzie na ten przykład chłopisko jakie obdarte, brudne, z niemiłem spojrzeniem, to każdy powie, pewno z Gór się wlecze na przeglądy, żeby co zchrępcić komu i ominie go nie rzekłszy nawet Boskiego słowa. Zobaczy kto bydle biedne w polu, szkapę ze sterczącemi kościami, zboże chude, pole zaperzone, most dziurawy, drogę złą, dzieciaki prawie nagie, chałupę bez dachu albo przewróconą, wóz ladajaki albo człeka pijane-

go, to zaraz każdy powie, to Górskie być musi, bo tam i ludzie i wszystko samo hultajstwo. Oj! istna kara Boża!

To wyrzekłszy, stary Walenty aż westchnął z boleścią i zamyślił się, jakby mu przypomnienie przeszłości i porównanie z obecnością nie miłe zrobiło wrażenie.

Młody parobczak widząc, że stary zamilkł, przeciągnął się i opierając głowę na ręku, rzekł:

— No, no, toście nam mój dziadku bardzo ciekawe rzeczy powiedzieli, i niby od niechcenia spoglądając na dwie dziewuchy, mówił dalej: to Maryna i Połonka muszą widać z tamtych Gór wychodzić, bo się obie na dziwo udały...

— O! a tyś śliczny! z gniewem przerwały dziewuchy: cienki jak badyl, a zgrabny jak bociek, kiedy za żabami po błocie chodzi.

— Niech ta będzie i bociek, odrzekł Janek przewracając się zupełnie wznak, a równie wy by rade były takiemu boćkowi.

— O! mój śliczny -- rzekł chór dziewczyn z obrażoną dumą — już niech cię o nas głowa całkiem nie boli. Patrzcie go!

— No, no, cicho Maryś, cicho Połonka, ja tak ino mówię, żeby się z wami trocha poswarzyć, bo równie z ochotą na was czasem zergnę okiem i.....

— My się tam obejdziewa bez twego zergania i lepiejbyś dziadkowi Walentemu nie przeszkadzał, to możeby nam co jeszcze powiedzieli.

— Prawda, prawda — odrzekł na to młody Janek i zwracając się ku starcowi, dodał — mój dziadku a powiedzcie też nam, dla czego w Górach tamtych tak się wszystko odmieniło?

— Mój dziadku, powiedzcie nam — dołożyły dziewczęta — my się potem pośpieszymy z robotą, to będzie jedno za drugie.

— Ha! wiela o tem mówić moje dzieci — odrzekł stary — ale wam powiem wszystko po krótkości. Otóż dla tego tak się wszystko odmieniło, że ludzie zapomnieli o Bogu, więc i Bóg ich wypuścił ze swojej świętej opieki.

— I jakżeż to było mój dziadku? — zapytała ciekawie słuchająca młodzież — powiedzcie nam mój dziadku kochany.

— Widzicie moje dzieci, mówiłem już wam, że ja jeszcze zapamiętam jak naszych Gór nie było, ino chałupa dla leśnika, obórka i stodoła. Póki we dworze był jeden panicz, nasz dzisiejszy dziedzic, to nieboszczyk pan nie myślał o fundowaniu się w drugą wieś, bo zawdy chciał mieć panicza przy sobie. Ale jak umarła sama pani, wszystko zaraz zaczęło się odmieniać. My płakali, zakupywaliśmy nabożeństwa, ale wszystko nie pomogło i Bóg wziął panią do swojej chwały, a my wszyscy żałowaliśmy jej nikej matki rodzonej, bo przeczuwaliśmy, że zostaniemy nikej sieroty i że nam ciężko będzie teraz na świecie. Pan strasznie osmutniał, w domu mało siedział i ino jakby dopadkiem pilnował gospodarstwa, choć na oko odbywało się wszystko jak dawniej i mówienie razem pacierza i przygotowywanie do spowiedzi i ludowina zawdy był we wszystkiem śmiały do dworu; ale równie we wszystkiem nie było prawdziwej rzetelności i każdy zaraz mógł pomiarkować, że w tem jest więcej niekejby musu, jak ochoty. Bo pacierz, moje dzieci, to raz bywał wcześniej, to znowu później, jak się ta spodobało któremu zadzwonić. Przyszedł który, to dobrze; nie przyszedł, to drugie dobrze; bo pan w smutku swoim nie miał nawet głowy do

tego. Więc ludowina zaczął się coraz bardziej ociągać, coraz mniej bywać, tak, że co dawniej trudno się było ludziom w izbie pomieścić, potem aż zanadto było przestronno. Ponieważ pan często wyjeżdżał, w karczmie zabawy zaczęły się przeciągać, bo nie miał kto ludzi karcić; przychodziło więc często do zwady, do bójki, a wszystko z gorzałki, bo gorzałka do wszystkiego złego człowieka przyprowadza. Jak znowu pan był, to winowajcy nie przychodzili na pacierz do dworu, bo się bali wymowiska i zawstydzenia przy całej gromadzie. Szynkarz znowu musiał dworskim, żeby mu nie byli przeciwni i nie naskarżyli przed panem, wtykać i to i owo do garści, a potem odbijał się na ludowinie, burgował do ostatniego, skrzypkom grać kazał choćby do rana, a jak jaki taki i z niewyspania i z gorzałki rozum stracił, to potem pił bez upamiętania, aż się z nóg nie zwalił, na drugi dzień pił na klina, trzeciego dnia ze zmartwienia, i tak pomału więcej żył w pijaństwie jak w trzeźwości. Dworscy znowu jak się nauczyli brać kubany od szynkarza i widząc, że nie ma nad niemi pilnego oka, zaczęli se na dworskiem wypasać trzodę, drób, a bojąc się o chłopów żeby ich nie wydali, sfolgowali w pilnowaniu swojem, i oni swoją drogą darli dwór w śpichlerzu, a chłopi na polu, w łąkach i w lesie. Ci zaś z chłopów co żyli sprawiedliwie w dawnej poczciwości, byli znowu w rozdwojeniu z dworskiemi i ze swemi sąsiadami, bo na złodzieju czapka gore, więc zawdy lęka się wydania. Z tego wyszły znowu różne zwady, różne skargi, oficjalistowie szczuli na chłopów, chłopi na nich przed panem, bo jedni drugich duchem chcieli wygryźć; pan coraz więcej tracił serce dla ludowiny, nieraz bez niewinność i wykrzyczał i wyszturchał, choć mógł dopomódz, to nie dopomógł, już do dworu, czy

o poradzenie, czy o zapomogę, nikt nie miał takiej śmiałości jak dawniej, ludowina więc musiał sam siebie ratować głupim swoim rozumem, tak się też wlekło i było coraz gorzej, i jeżeli pan walczył na chłopów bo było za co; to i chłopi narzekali i mieli za sobą racyją, bo pan całkiem o nich nie dbał i zawdy zryzał na chłopów. I tak się wlekło cościć ze cztery lata; panicz chował się u matki pana i miał wtedy z lat 14, w gospodarstwie działo się coraz gorzej, budynki upadały, chłopi się rozpajali, oficjalisty bogacili, a wedle pana co dzień było kusiej, bo prawie w mieście nie było żyda, coby mu nie był winien.

Wszyscyśmy więc tak między sobą mówili, że pan musi przedać Góry, bo se rady nie da z gospodarstwem. Kiedy jedni pana żałowali, a drudzy mówili—niech ta! — przyszedł list do rządcy, że się pan ożenił i że wkrótce do nas przyjedzie. Ha! będzie coś nowego, mówili ludzie, i wygadali, bo od tej pory co się działo, to aż przykro gadkę o tem wywodzić.

Otóż państwo przyjechali karytą przed wieczorem ze służbą w liberyi, dworno i tak huczno, że pewnikiem w całej wsi było słychać jak z biczów trzaskano, jak służba darła się na wszystkie strony i znosiła kufry i pudełka. Nam kazano dać wódki, pan jak dawniej przypił do nas, ale z pośpiechu mało co rzekł, ino zaraz pobiegł do pani. Kiedy się w głowie poczuło cosić ze trzy kieliszki, nas kilku wybrało się do dwora, pożegnać państwo i podziękować za uczęstunek, chociaż markociło nam się trocha, że ta między nami ani pana, ani pani nie było; bo przecież człek na wódkę znowu nie tak łakomy, i w lepszej obserwacyi ma poczciwe pańskie słowo, jak ten głupi kieliszek wódki. Ja układałem se w głowie jak mam rzeknąć, żeby to było mądrze i uczciwie i żeby się nie po-

wstydzić odezwania; a kiedy już wszystko dobrze se poszykowałem i weszliśmy do pierwszego pokoju w dużej gromadzie, a ja kłaniając się do samej ziemi wyrzekłem:

— Niech ta nie będzie z przeciwnością wielmożnym państwu, że..... to jak pani nie zacznie trzepać rękoma a wszystko mówić po jakiemuś ta dziwnemu: fi,— fi, — fi; jak nie zacznie się gniewać na lokai, że nas wpuścili do pokoju, że zabłociemy posadzkę, że nas słychać w całym dworze, jak nie zacznie zatykać nos palcami, a wołać o kadzidło, tak moje dzieci, my jeden przez drugiego dalej do sieni, że o zdrę cośmy się w drzwiach nie podusili. Tam dopiero do nas wyszła pani skrzywiona, pochmurna i to za wielkiem pono uproszeniem pana, jak nam później ludzie mówili. Ja moje dzieci zapomniałem języka w gębie, i to co se wprzódy ułożyłem, to mi ptakiem wyleciało z głowy, więc z wielką nieśmiałością i jąkaniem, ledwo ta wybąkałem, że my przyszli z podziękowaniem. Pani mało co słuchała, ino się boczyła i boczyła, i nawet nie dawszy mi skończyć, odezwała się:

— Dobrze, dobrze; a na drugi raz zawsze pamiętajcie w sieni czekać, aż do was wyjdziemy.

Kiedy wracaliśmy do doma, wszyscy strasznie byli zafrasowani, wzdychali ciężko, a mnie się aże łzy w oczach kręciły. Bo pewnikiem każdy z nas miał w myśli nieboszczkę panią, jej poczciwe słowo dla prostego człowieka, i jej zachowanie się z nami, nikej matki z dziećmi. O ho! myślałem sobie, nasza nieboszczka pani to by tu z nami Bóg wie jak długo gadała, musiałaby się o wszystko wywiedzieć, wypytać, o każde dziecko choćby najmniejsze, jej by chłop nie śmierdział i kadzićby po nim nie kazała; ona by każdego powitała, ośmieliła do gadki czy starych czy młodych; a ta Panie odpuść, zaczęła trze-

pać palcami nikej jaka głupia, a potem patrzyła na nas, nikejby zjeść którego chciała. O ho! nie będzie tu dobrze! nie będzie tu takiej przyjaźni między ludźmi jak dawniej; bo już zaraz znać, że macocha do dworu przybyła.

Moje dzieci! jak myślałem, tak się stało. Pan ta zrazu chciał wszystko tak prowadzić jak w dawności i pacierz, i spowiedź, i wszystko, ale że w pani ni jakiej do tego nie znalazł ochoty, że ta pani zawdy jak na wilków, tak patrzyła na gromadę, że choć krzywdy nie zrobiła, a nawet często gęsto nawet dobrze chciała zrobić, to to tak wyglądało nikej ot nie przymierzając, kiedy się ciska psu kość ogryzioną, więc gromada zaczęła żyć w coraz większej odległości od dworu, dwór także się nie przysuwał, ino odsuwał, i co wprzód prawie żadnego nie słyszało się użalenia dworu na gromadę, albo gromady na dwór, to potem i dnia jednego nie było, żeby się nie rozlegało po wsi gniewanie, przekleństwo, to pana na chłopów, to chłopów na pana, że aż nieraz mrowie człowieka przechodziło. I tak obie strony coraz większą na siebie brały zawziętość, i jeżeli dwór mówił, że gromada to ino dybie na krzywdę dworską i miał prawdę za sobą, to i chłopi nie wiele błądzili, powiadając, że dwór radby skórę zedrzyć z chłopa. W Górach więc naszych nastąpiło między wszystkiemi rozdwojenie i dawniej co i państwo i dworscy i ludowina wszystko to żyło z sobą w przyjaźni i w wielkiem miłowaniu się, to potem wszyscy nikej pies z kotem, co zawdy jedno zęby, a drugie pazury pokazuje.

Jak państwo do Gór zjechali, przywieziono także i małego panicza; ale nie był dłużej jak do roku, bo go macocha z domu wyszczuła. Oj! była to baba prawdziwa jędzonka, chociaż jej urody Pan Bóg nie poskąpił, i urodą tą swoją wiela złego robiła, bo zrazu to każdego otuma-

niła, że zdawało się, że nad nią już nie ma nikogo poczciwszego. Pana to na piękne opętała, tak, że człeczysko i słowa bał się z ust wypuścić, żeby to nie było jej z przeciwnością. Wprędce też biedaczysko postarzał, posmutniał, opuścił się, zawdy chodził w potulności ze zwieszoną głową; bo pani o byle co to mu tak nakładła w uszy, tak mu napsuła głowy, że człeczysko nijakiej nie miał śmiałości i ino wtedy nabierał rezonu, kiedy smyrgnął do miasteczka i zasiadł u Markusa za stołem przy winie. Gospodarstwo też szło coraz gorzej, i chociaż za wiano pani pospychał pan różne swoje długi, ale wnet wszedł w nowe; bo w gospodarstwie czego sam człowiek nie wydrepci nogami, a nie dopatrzy oczami, to dopłaci workiem. Cosić w rok dał Pan Bóg państwu syna, uciechy było co nie miara, nawet gromadę zaproszono. Ucieszyliśmy się z tego bardzo, bo myśleliśmy, że się przecież we dworze odmieni i dla nas będą z lepszą przyjaźnią, ale Bogać ta zaraz tego samego wieczoru zmiarkowaliśmy, że nasze pomyślenie to gruszki na wierzbie. Bo kiedy w najlepsze się bawiewa na podwórzu i jaki taki se pokrzyknie, pani wysłała lokaja, żeby nas wygodził do domu albo do karczmy, bo przeszkadzamy małemu paniczowi do spania. Markotno się nam zrobiło wszystkim, ale nie było co robić, i wnet gwar ucichł na dworskiem podwórzu a przeniósł się do karczmy. Pamiętam, bałamuciliśmy tam do rana, bo piliśmy na fantazyę i cudeńka na panią wygadywali. A było co moje dzieci, bo to choć było i urodne i zgrabne i radne, skoro umiało tak pana za nos wodzić i z poczciwego wychodziło domu, boć jej rodzica mało kto nie znał we wsi, jeszcze wtedy kiedy z galarami pływał do Gdańska, a równie nie dobrze znała naszą gadkę, i jak zaczęła po

naszemu rozgadywać się, to nie raz tak zatrąciła nikej by żyd, albo niemiec, że człek to ino śmiech dusił w sobie.

— Moi ludzie! — a to dziwy — przerwały dziewczęta z nieudanem zadziwieniem — widać, że jakąś wadność musiała mieć w gębie, kiedy się jej tak w gadce nie szykowało.

— Zabaczyli jej podciąć języka — dodał Janek — nikej sroce, to i gadać dobrze nie mogła.

— Ej! bajdy jesteście — odezwał się Walenty — nijakiej nie miała wadności; bo ta nie po naszemu, ino jakoś po trajcuzku to tak językiem mleła po gębie, że wiatrak kiep przy niej; to jakże gadałaby tak, żeby w gębie miała jaką wadność?

— Moi ludzie—znowu przerwały dziewczęta z coraz większem zadziwieniem—i jakże to? nauczyli ją rozmówić się z cudzym człekiem, a ze swoim ni ładu, ni składu? To i jakże ona chciała być gospodynią jak wypada, kiedy nie umiała się z człekiem dokumentnie rozmówić?

— Ha! moje dzieci, dla czego tak z nią wypadło, tego wam nie przełożę, bo nie mojej na to trza głowy; ale z tego poszło największe we wsi rozdwojenie, bo każdy dwór zdala omijał, żeby się z panią nie spotkać, gdyż czuł w duszy swojej, że w pani nie ma dla siebie przyjaźni i że każde spotkanie się z chłopem, to jest dla niej z przeszkodą.

Otóż moi ludzie, kiedy się drugi panicz urodził, a rychtyk jakoś w piętnaście lat po pierwszym, pan pragnąc za życia zrobić jakiś podział między dziećmi, zaczął budować się w tem miejscu kaj stoją nasze Góry i założył folwark, który ludzie nazwali Małe Góry. Pomału stanęła jedna chałupa, druga i trzecia, tak, że co rok osada stawała się coraz większą, a gdy potem oddzielił grunta do nowego te-

go folwarku, posypał kopce i na piękne wieś założył, zawdy mówiąc, że tam na starość osiędzie ze starszym swoim synem swoim Stasiem, tak wszystek ludowina, co ino był poczciwszy, i nie mógł patrzyć na to, co się w Górach Wielkich dzieje, przenosił się het za strumień, do Gór małych, i tam na piękne osiadał.

Tymczasem z panem było coraz gorzej, z potulności pomału przeszedł w impetyczność, a że pani była i młodsza i śmiałości jej nie brakowało, więc mu się poddać żadnym sposobem nie chciała i na jedno jego słowo dwa odpowiedziała, a gdy i to nie pomogło, to jak zaczęła głośno płakać, śmiać się, trząść rękoma i nogami, i wszystko drzeć na sobie, tak pan ino przytulił czapkę na głowie i chala w pole! W małżeństwie, moje dzieci, jak raz przyjdzie do zwady, to potem o byle co, o to słonko na niebie, o wiatr co chodzi po świecie, to się będą z sobą kłócić. Tak też było i z naszem państwem, nie przeszła godzina żeby się z sobą nie powadzili, a coś w trzecim czy w czwartym roku, o jakieś majątki i o dzieci, o starszego Stasia, który nawet nie postał we wsi, ino się chował nikej sierota u babki, i o młodszego Alfreda, tak się z sobą posprzeczali, że pan czerwony jak piwonija wybiegł przed ganek, i padł na podwórzu jak nieżywy. Dotrzeźwili się ta wprawdzie pana, ale już nie na długo i jeszcze cosić z tydzień się wyleżał i oddał Bogu ducha.

Oj! sądny to był dzień wtedy we wsi, a że oczy moje nie wypłakały się, to już im nic nie będzie, widać mocne nikejby z żelaza. Przyjechał także starszy panicz, a kiedy od proboszcza ze świętą komunją dzwonek rozległ się po wsi. cała prawie gromada się zbiegła, żeby się na wieczną drogę pożegnać ze swoim panem. I znowu na klęczkach otoczyliśmy poczciwego pana, jak to bywało

niegdyś, kiedy codzień prawie razem odmawialiśmy pacierze, ino z tą różnicą, że wtedy był młodszy, nie przygarbiony, i nie udręczony frasunkami i turbacyją, ale z wesołością na twarzy i w oczach, wiela razy spojrzał na poczciwą nieboszczkę panią i na małego Stasia. Wówczas biedak blady, nędzny jak szkielet, żółty jak wosk, leżał jak łazarz na łóżku, cichym głosem zaledwie mógł słowo wyszeptać i ino poglądał na nas miłosiernie i rękoma przerzucał. Po świętej komunji padliśmy wszyscy na kolana, i w głos za proboszczem powtarzaliśmy pacierze. Pan trzymał ręce na piersiach, miał zmrużone oczy, i widać w myśli swej modlił się. Wtedy, moje dzieci, stanęło mi w myśli wszystko z dawności, i pan, i pani, i mały Staś, co teraz klęczał u nóg ojca, i ta serdeczność, co była między wszystkiemi nami, co nas tak łączyła między sobą nikej kłosy w snopie, i ta dawniejsza nasza śmiałość do dworu, nikej do własnych ojców, i wszystko, wszystko, moje dzieci, że westchnąłem sobie i łzy nikej groch pociekły mi z oczów.

Przy tych słowach głos staremu Walentemu zadrżał, podniósł rękę do oczów, a młodzież westchnęła i milczeniem uszanowała boleść starca. Po chwili niemej zadumy, Walenty dodniósł oczy w górę i tak dalej rzecz swą prowadził.

— Jak długo płakałem, moje dzieci, już tego dobrze nie pamiętam, i dopiero wtedy ocknąłem się, kiedy usłyszałem głos pana. Podniosłem oczów i zobaczyłem jak trzymał ręce na głowach obu synów i głosem dość silnym mówił:

— Błogosławię was moje dzieci na drogę waszego żywota. Gdy się fortuną choć niewielką podzielicie, pamiętajcie, że będąc gospodarzami, najprzód starajcie się

być ojcami dobremi dla waszego ludu, bo póty Bóg szczęścił mi we wszystkiem, dopóki pamiętałem o nim i dopóki miłowałem go jak własne dzieci. Opuściłem go i Bóg mnie opuścił i ot, muszę umierać przed czasem i zostawić ciebie biedny Stasiu sierotą. Was zaś moi ludzie — mówił chory dalej odwracając się do gromady — „przepraszam za wielkie zmartwienie, jakie wam mogłem sprawić. Bóg świadkiem, że nie chciałem tego, więc wybaczcie mi dla miłości Pana Boga, jak ja przebaczam tym, bo byli tego powodem“— i mówiąc to, pan spojrzał w stronę pani co trochę opodal stała płacząca i dla tego zapewne zdala, żeby się nie łączyć z chłopami.

— Oj! to widać była baba sekutnica — odezwał się Janek — niech ją kaduk weźmie.

— Po śmierci pana, moje dzieci — mówił dalej Walenty,— i po uczciwym pochowku, zaczęły się różne rady, narady, zjeżdżali się opiekunowie, objeżdżali grunta i granice, mierzyli, pisali, i wreszcie cosić w rok uradzili, żeby pójść za wolą pańską, co ją zostawił w testamencie, i na starszego Stasia oddali Góry Małe, a na młodszego Alfreda Góry Wielkie, i zupełnie jedno z drugiem rozdzielili, i w jednej wsi została sama pani z synem, a w drugiej opiekun ze Stasiem, dzisiejszym naszym dziedzicem. Wtedy w Górach Wielkich wszystko poszło na udry, bo pani sprowadziła jakiegoś na rządcę niemca, co inaczej do chłopów nie mówił, ino zawdy „ty świnia polska,“ i co słowo to w łeb, to w pysk, albo batem po grzbiecie. Bez zemstę już co prawda, to chłopi tak na dwór walczyli, że wszystko rządca musiał prawie w zębach trzymać, bo jak ino co popuścił, tak pewnikiem nie było to już dworskie, ino chłopskie i jużcić. O pacierzu wszystkich razem, o przysposabianiu do świętej spowiedzi, o przestrzeganiu

pijatyk i bijatyk w karczmie, o dobrem słowie i dobrem poradzeniu ludowinie, nie było nawet gadania, ino wszystko było w rozdzieleniu, dwór sobie, chłopi sobie, karczmarz sobie, i tak się wlekło wszystko niech Bóg broni. Po dwóch latach, kiedy sobie pani z gospodarstwem rady dać nie mogła, bo rządca wszystko na raz jeden poprzewracał do góry nogami, i co rok gorzej było, chociaż ta Bóg wie nie co za zyski obiecywał; Góry Wielkie poszły w dzierżawę, a pani wyjechała z synem kajś tam w zamorskie kraje. Dzierżawca, co jak zapłacił, to był pragnący ino na zysk, zawdy myślał o tem, żeby jemu było dobrze, z gromadą więc poszło większe rozdwojenie, wszystko szło ino z bata albo z przekleństwa; gospodarze upadali, bo pomocy nijakiej ze dworu nie odbierali, budynki niszczały, sady na opał wycinali, nie borgując czy płotowi dworskiemu, czy wierzbie przy drodze, czy dylom u mostu, czy drzewinie w sadzie pańskim; bo każdy myślał, aby mieć na dziś, a o jutrze ani mu w głowie nie postało. Więc dwór w każdym chłopie widział swego nieprzyjaciela, a chłop we dworze pana, co ma bat i może nim katować co mu się podoba. Wtedy to, moje dzieci, ludzie nazwali Góry Wielkie Górami sierocemi, bo ludowina czuł, że mu dawno ojciec i matka pomarli, i że sam jest na świecie nikej badył w polu; ale po później, gdy co lepszego to się ze wsi wyniosło, gdy zostali sami ladaco i zaczęło się tałałajstwo z różnych stron świata zbiegać, bo ludzi do roboty brakło, gdy raz i drugi wypadł we dworze ogień z podpalenia, gdy w karczmie było co dzień ludzi tyla, co dawniej ledwo się w święto przytrafiało, a pola chłopskie stały pustkami, bo nikomu się nie chciało wedle nich chodzić, gdy się potem wydało jedno i drugie złodziejstwo, Góry sieroce przezwali ludzie Górami hultaj-

skiemi i tak po dziś dzień zostało. Bez ten czas, moje dzieci w Górach Małych wszystko się inaczej odbywało. Opiekun, stary wojskowy, zaprowadził wszystkie zwyczaje z nabożeństwem, jak bywały kiedyś za starego pana; dla ludzi nie żałował ani gęby, ani ucha, ani szpichlerza i worka, ino wysłuchał, ugadał się, każdą rzecz dokumentnie przełożył, poradził, czasem mądrze i z pilnością wykomenderował, zapomógł, dość, że wszyscy lepsi z Gór Wielkich zaczęli osiadać w Górach Małych, budować, zakładać sady, z pilnością wedle roli chodzić i pomału zrobiła się wieś piękna, ludna, a nawet większa jak Góry Wielkie. Przy tem przy pomocy dworu ludowina się tak pozapomagał, że dziś biedaka prawie nie ma między nami, a nawet u wielu i grosz nieladajaki znajdzie się w skrzynce. Kiedy młody nasz pan objął na siebie gospodarstwo, wszystko poprowadził dawnym obyczajem, nic nie zmienił i dziś postarzał się razem z nami i Bóg mu daje zdrowie i we wszystkiem błogosławi. Drugi znowu brat, choć młodszy o tat piętnaście od naszego dziedzica, i wziął od niego dwa razy więcej z fortuny ojcowskiej, dziś jest pokurczony, pogarbiony jak jaki staruszek, a na wsi tyla długów, że go nie długo wyżeną ze wsi. Z ludzi mało go kto zna, bo ledwie z Warszawy raz na rok przyjeżdża do dzierżawcy po pieniądze, nikej po ogień, i po tem umyka jak oparzony, bo się boi, żeby się do niego ludowina nie garnął ze skargami i z różnemi interesami. Tak to, tak, moje dzieci, teraz na Górach tamtych oczywiście wisi jakaś kara Boża, a pustka taka wszędy, że aż markoci się człowiekowi przejść bez wieś, że kto nie widział wszystkiego na własne jak ja oczy, to by nie uwierzył, żeby wieś, co było w niej i tyla porządku, i dobytku, i poczciwości, zgody między ludźmi i bogactwa we dworze i między groma-

dą, co było w niej tyle sadów, chałup i stodół, i wszystkiego jak wypada, w nie całe lat trzydzieści wyszła na taką biedotę, na takie hultajstwo i na pustkę, że o tem, o moje dzieci, ani ucho słyszało, ani oko widziało.

Niech ta ich Bóg kocha! ale sercu lżej, jak się gęba wygada; chociaż moje dzieci, bodaj gadki nie umieć, jakby człek nie miał o czem lepszem z ludźmi pogaworzyć, ino o takich rzeczach.

— No zapewne mój dziadku — odezwał się Janek— widząc, że stary Walenty poprawia pasa i zabiera się do roboty — ale żebyśta co jeszcze powiedzieli o Górach, to byśwa posłuchali, bo tak jakoś galanto i składno idzie wam gadka...

— Wierzylibyśta mu — odezwały się z fukiem dziewczyny, nie mogąc widać zapomnieć, że urodę ich przyrównał do wsi osławionej — pochlebia wam, bo radby tak do południa przeleżyć po próżnicy.

— A wy byśta może rade były — odrzekł na to Janek z przekąsem — żeby wam podchlebiać...

— O! mój śliczny!...

— O moje urodziwe! nikej gęsi podskubane, kiedy poopuszczają skrzydła, ot, wstawajta lepiej do roboty.

— Przecieć ci się przypomniało; patrzcie! jakiś pośpieszny.

— Cicho dzieci, cicho! — odezwał się Walenty powstając z siedzenia, a za nim poszło całe młode przekomarzające się grono — we wszystkiem trzeba mieć swój rozum i pomiarkowanie.

— Ej, mój dziadku, to wszystko z przyjaźni — odrzekł Janek prostując się—i jak Bóg da doczekać jesieni, to z tego kłócenia się, będą zapowiedzie.

— Ino bez wesela — odrzekły dziewczęta.

— Ba! albo to prawda, i jakie jeszcze będzie wesele! Drużbowie na konikach będą wywijać, druchenki nikej sarenki będą przyśpiewywać, a panna młoda myrg na mnie oczkiem, ja na pannę młodą. i hu! ha! ostro ognia w podkówki. Zobaczyta, co to będzie za wesele!

Ostatnie te słowa widać dziewczętom dosyć przypadły do smaku, bo już nic nie odrzekły, tylko chichocząc i szepcząc między sobą, zaczęły zbierać garście i układać w snopki na powrosła.

— Tylko Maryś i ty Połonka — odezwał się znowu Janek przekręcając kapelusza na bakier i równając jęczmień na powrośle — układajta równo jak wypada, żebym wiedział, która z was będzie lepsza gospodyni, do której mam z wódką posłać.

— A spytałeś się nas czy cię będziem chciały?—zapytały dziewczęta.

— Cicho dzieci — odezwał się Walenty — bo ot widzę wraca ten sam chłopina co jechał, to się dowiem od niego po jakim interesie do Gór przyjechał.

Rzeczywiście drogą od wsi posuwał się konno podróżny włościanin, ale widać, że jeszcze mu było pilniej jak wprzódy, bo nogami częściej poruszał, przynaglając do biegu małą swą szkapinę, która wyciągnąwszy szyję coraz sporszym krokiem postępowała. Kiedy nadjechał tuż do pracujących włościan, po wyrzeczeniu zwykłego wieśniaków pozdrowienia, Walenty postąpił parę kroków i dobywając tabakierkę z kory brzozowej, zapytał się:

— A zkąd to jesteście gospodarzu?

— Ej! nie zdaleka — odrzekł zapytany wstrzymując szkapinę — z Waśniowic jadę, i...

— A to was pan nazywa się Gadecki?

— A jużeś Gadecki, ino ja z pod młodego, a stary siedzi na Starych Ługach.

— Toście pewno z listem przyjechali?

— O! bodaj człek nigdy nie miał potrzeby jeździć z takiemi listami — odrzekł włościanin frasobliwie podnosząc ramion w górę — bo to moi ludzie człek ma jeszcze co zbierać w polu, pogoda po temu, a tu duchem trza jechać.

— Jak trza, to trza, to trudno.

— Ba! z jakiej to innej okazyi, ale ze złego człowieka, to człowiekowi w dubelt się markoci. Bo widzicie miałem ta.....

I w tej chwili jakby sobie co przypomniał, jakby zmiarkował, że i tak za wiele powiedział, poprawił lepiej czapki, musknął na szkapkę i wyrzekłszy:—Zostańta z Bogiem, moi ludzie—ruszył małym galopem w dalszą drogę.

— A jemu co?— po chwili odezwał się Walenty patrząc w stronę za odjeżdżającym — czy mu się w głowie pomięszało, czy co?

— Ej! to on dziadku — odezwał się figlarnie Janek — tak na despekt umyślnie zrobił Marysi i Połonce. Bo jak zobaczył, że z ciekawości wielkiej ledwo se oczów nie powypatrywały, tak pojechał je jużcić.

— Już ta uwziął się na nas — odrzekły z dąsem dziewczęta, i zawdy nas ma na języku, czy udanie czy co?

— Bo to widzicie wszystko tak bez zazdrość, bo ja nie lubię kiedy wy z oczami po obcych ludziach chodzicie.

— A ino gdzie mają chodzić?

— No, jużcić po mnie, bom przecież parobczak nie ladajaki.

— Do kaszy i do klusków — dołożyły dziewuchy — kończąc swój docinek serdecznym chichotem.

Tymczasem słonko coraz wyżej szło w górę, upał co chwila się powiększał, ptaszyny z pootwieranemi dziobkami i z opuszczonemi skrzydełkami, ledwo dychały, kryjąc się w cień liści i badyli polnych, znajomi nam jednak wieśniacy pracy nie zaprzestawali, i widać, że im szła żwawo i ochotnie, bo często i śpiew wesoły i śmiech serdeczny wybiegał z piersi młodych pracownic, i odbijając się echem między górami, głosił niejako światu i ludziom o niewinnej swobodzie ich ducha.

Tego samego dnia późno w wieczór, w Górach Małych, kiedy światła po wszystkich pogasły chałupach i tylko głos smutny puchacza lub sowy, rechotanie żab i od czasu do czasu poszczekiwanie psa przerywały grobową ciszę nocy, z jednej chaty stojącej troszkę na uboczu, a widocznie stanowiącej osadę gospodarską; bo na małem podwórku stał wóz i różne narzędzia i graty rolnicze, a w oborze słychać było przeżuwanie bydła i koni, wyszedł niemłody już włościanin i popatrzywszy po gwiazdach, jakby chciał wybadać jaka jest pora nocy, usiadł na małej ławeczce pod oknem przy ścianie stojącej. O ile można było sądzić z powierzchowności, a szczególniej z łysej głowy świecącej odbitym blaskiem promieni księżyca, był to człowiek przy końcu czwartego krzyżyka, z bosych zaś nóg i z koszuli stanowiącej główne jego ubranie, widać było, że był pełen siły i zdrowia, gdy go ani rosa, ani chłód nocy nie straszyły. Popatrzywszy w tę i w ową stronę, ziewnął parę razy, przeciągnął się i sam ze sobą zaczął rozmowę.

— Co u djaska mi się zrobiło, że hady spać nie mogę? Czy urok, czy co? A to dziwy! Już nie długo będzie północek, i tu i tam przewracam się na posłaniu, do głowy to Bóg wie nie co przychodzi, i to i owo, a spanie ni razu. No, no, czy się mysz zachrobocze, czy ta wieprzak w sieni chrząknie, czy dziecko ze snu zapłacze, jużcić ja z oczami zaraz na izbie, i tak cały zadygoczę nikej z ograżki. Dawniej noc się przespało, że ta człek nie wiedział kiedy się mignęła, a teraz takie mi cudeńka do głowy przychodzą, tak się ta jakoś lękam wszystkiego... O! ktoś idzie, czy do mnie na rewizyą?

I przy tych słowach nagle uciął, nadsłuchał pilnie, i po chwilce dopiero mówił dalej:

— Ej! to wiatr tak szumi między drzewiną, a mnie zaraz te głupie gęsi przyszły do myśli. Przecież ja ich nie kradłem, a że szukając po nocy szkapiny, zdybałem się na drodze z Kubą, jak niósł na plecach osiem gęsi i mnie dał dwie, to i cóż z tego? Dwór w hultajskich Górach i tak będzie dworem, a dobrze że i ja przecie z kobietą i dzieciakami gęsiny zakosztowałem. Było to z tego potem wiele termedyi, całą wieś z kretesem w rewizyi przetrząsali, ale Kuba nie głupi i śladu nijakiego nie znaleźli. Mnie bo mory nie raz przechodziły, bałem się wszystkiego i wydania i rewizyi, jakbym to ja był tego przyczyńcą? A czy ja wiem zkąd Kuba wziął gęsi? Może kupił, a może znalazł, a mnie co do tego. Jak by mnie się pan spytał, to..... oj! z naszym panem to najgorsza sprawa, bo to nie nakrzyczy, nie nachałasi, z ręką nie pójdzie do bata; ale jak zacznie przekładać, a wszystko z rozumem i nabożeństwem, to tak człekowi zmięknie serce, że ze wszystkiem się wyda jak na świętej spowiedzi. Ale ja się ta niczego nie boję; ja ta żaden winowajca, jeżeli jest w tem

co złego, to wszystko pójdzie na sumienie Kuby, a nie na moje.

Kiedy tak włościanin sam z sobą w myśli rozprawia, czasami wymawiając głośniej niektóre wyrazy, drogą od Gór sierocych prowadzącą do Gór Małych, szedł znowu drugi włościanin w kapeluszu starannie na oczy naciśniętym. Obie ręce trzymał włożone za koszulę na piersi, jakby szukał ciepła przed chłodem nocy, a chociaż potężne bary i krępe ciało świadczyły jasno o jego sile i zdrowiu, szedł jednak kuląc, garbiąc się i troszkę jakby napadając na nogę: słowem jak starzec albo człowiek schorowany, dla którego każde stąpnięcie jest przykrem i utrudzającem. Czasem tylko przystanął, a wówczas podnosząc kapelusz, wyprostowany jak trzcina, z głową wyciągniętą jak żuraw na straży, obracał się w kółko i zrobiwszy pilny przegląd całej okolicy, o ile uchem i okiem mógł zasięgnąć, wracał do dawnej skulonej, niedołężnej postawy. Im bliżej był wsi Gór małych tym widoczniej stawał się ostrożniejszy, oczy raz wraz przerzucał z jednej na drugą stronę drogi, oglądał się za siebie, lub pilnie wpatrywał przed sobą; i dopiero jak wszedł na drogę w samej wsi, ocienioną gęsto wierzbiną, przychajczył się jak lis skradający się do kurnika i śpiesznym, cichym jednak krokiem zaczął się przesuwać między drzewami, wprost zmierzając ku chałupie, przed którą zostawiliśmy rozmawiającego z samym sobą włościanina.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — odezwał się z przestrachem nieudanym czuwający przy swej chacie włościanin, dojrzawszy z za obory nagle wysuwający się cień jakiegoś człowieka: w Imię Ojca i Syna... Ach! to ty Kuba, a mnie aż zimne poty przeszły, co tak się przestraszyłem.

— A to czego? — odrzekł Kuba przybierając krzepką, już zupełnie naturalną postawę— złego człowieka ino się lękajcie mój Józefie, ale nigdy przyjaciela.

— Ej! to tak wszystko z nocy, ale po jakim interesie idziesz tak późno? Czy spać nie możesz?

— Spać? — powtórzył Kuba ze zdziwieniem — mój Józefie, choćby na kamieniu.

— Bo na mnie padła jakaś taka godzina, co hady zasnąć nie mogę, a byle co się zachrobotało, to mnie się zdaje, że ta idzie kto do mnie na rewizyą.

— Ej! dziwniście nikej maluśkie dziecko — odrzekł Kuba z pewnym rodzajem pogardy potrząsając głową i kuląc ramionami, na rewizyą? cóż to czy ja jaki kujbuga albo zdrajca ludzki? Mój Józefie, dworu i bogaczów to nie ma co żałować. Ale ta nie o tem gadka. Ot, widzicie przyszedłem wam powiedzieć, że mnie Pan Bóg opatrzył. Wpadło ta do ręki trocha korali, a że mnie nie o stroju myśleć dla kobiety, ino o chlebie dla dzieciaków, więc przyszedłem do was, żebyście kupili. Co dacie to dacie, bo jak ja dla kogo życzliwy, to już choćby koszulę oddać. Ot, macie.

I to rzekłszy wyjął z za koszuli kilkanaście sznurków różnej wielkości korali, zwykłą ozdobę szyi kobiet wiejskich stanowiących i podał je Józefowi, który jakkolwiek zdawał się z niechęcią słuchać całej mowy Kuby, gdy zobaczył tak drogą rzecz w swoim ręku, którą za bezcen mógł nabyć, z chciwości aż zadrżał, oczy zaiskrzyły mu się żądzą posiadania i przyglądając się im pod blask księżyca, rzekł:

— A i cóż byście chcieli?

— Co dacie mój Józefie — odrzekł Kuba, pilnie i

badawczo patrząc na Józefa — wszak powiedziałem, eż z wami targować się nie myślę.

— Hm! — mruknął Józef — teraz ta i o pieniądze trudno ..

— Nie wielka to suma.

— No, ale zawdy, a ja nie mam więcej jak dwa ruble.

— Korale, mój Józefie, warte ze sto złotych, ale żeby wam pokazać moją dla was życzliwość, to weźcie za dwa ruble, ino mi w dodatku dacie bułkę chleba i ćwierć ziemniaków.

— Mniejsza z tem — odrzekł Józef — i jakby lękając się, aby go nie ominęło tak korzystne nabycie, schował natychmiast korale za koszulę. Jutro wam dam pieniądze, bo ta po nocy nie chcę się chrobotać.

— Dobrze, dobrze, dobrze. Ja wiem przecie, że u was pieniądze są pewne. To zostańcie z Bogiem.

Wyrzekłszy to Kuba już zrobił parę kroków do odejścia, ale jak gdyby sobie coś przypomniał, wrócił się w tej chwili i rzekł:

— Ale, ale, mój Józefie, jakby was kto pytał się, czy pan, czy wójt nasz o mnie, to powiedzcie, że pozawczoraj byłem u was na najmie przy zbieraniu w polu i że potem razem jedliśmy wieczerzę i że po wieczerzy cisnąłem się u was w izbie na przypiecku, przespałem całą noc, i żeście mnie rano sami zbudzili. Bo to widzicie, ludzie strasznie walczą na mnie, a we dworze to radzi by mnie zatracić, więc muszę pamiętać o sobie. Pamiętajcie więc, mój Józefie.

— Dobrze, dobrze, to fracha.

— A jużcić że fracha, że głupia rzecz—odrzekł Ku-

ba — i znowu kilka kroków postąpił i znowu powtórnie się wrócił.

— Ale, ale, mój Józefie — mówił Kuba — Aron pytał się mnie, czy nie wiem o jakiej dobrej parze koni. Wy byście pewno swoich nie przedali...

— Teraz robotny czas — mruknął Józef, przyciskając korale do boku, i oglądając się niespokojnie na wszystkie strony.

— Wiem, wiem, mój Józefie, i dla tego was nie namawiam, ale widzicie szynkarz wasz to śliczne ma konie, nikej spławy. Aron za takie to by dał i po trzy dukaty...

— Po trzy dukaty! co też bajecie?

— Te, bodajcie... po trzysta albo i więcej złotych, poprawił się Kuba; więc widzicie. żeby to można jako od niego kupić, to i ja i wy byście zarobili.

— Ha! może i przeda — odrzekł Józef i poskrobał się z frasunkiem po głowie.

— Już ja temu poradzę, mój Józefie, ino mi musicie pomódz, a ja od was za korale nic już nie wezmę — i przy tych słowach Kuba przybliżył się i zniżając głos mówił dalej tajemniczo:

— Widzicie, ja tu iść nie mogę, bo taki jest tam pies zły, że mi przejść spokojnie nie da wedle chałupy. Wy więc, mój Józefie jutrzejszego dnia zabawicie się umyślnie w karczmie do późności, napijcie się z szynkarzem co ino da się, naładujcie se kawał kija i jak wyjdziecie z sieni, tak załóżcie drzwi, żeby ich z izby nie było można otworzyć, to ja wtedy pójdę, psu dobrze boki obłożę, bo nie będzie mógł uciekać do sieni i nikt z izby nie wyjdzie, a jak się z psem uspokoję, to wtedy z szynkarzem pogadam o koniach, bo wielką na nich mam oskomę.

Kończąc to Kuba szyderczo się uśmiechnął, łypnął oczami po Józefie, który milczał. wzdychał, i skrobał się w głowę, i...

— No, jakże Józefie zrobicie tak jak mówię?—zagadnął znowu Kuba — bo widzicie, jakby drzwi nie były od podwórza kijem założone i mnieby przydybano, bo w karczmie to czujni ludzie, to widzicie ja strasznie nie wytrzymały na bicie, i jakby się do mnie zabrali, to jabym wszystko wygadał, i o tych gęsiach i o koralach, i z bólu możebym na was zmówił, bo wtedy to człek nawet nie wie co gada.

— A jak tak ma być — rzekł na to Józef, sięgając ręką po korale — to... — przy tych słowach nagle uciął, widać, że poczciwej myśli stanęła na drodze chciwość, bo ręka została za koszulą, i bąkając ni to ni owo, wreszcie dokończył — to... to... ale to złodziejstwo. mój Jakóbie.

— Złodziejstwo! — podniesionym głosem odrzekł Kuba, który patrząc na walkę chciwości swego wspólnika i widząc jak ta bierze górę, potrząsł głową i skrycie się uśmiechnął. — Złodziejstwo, powiadacie? nie mój Józefie. Kubie nikt nie dowiedzie żeby skrzywdził jakiego biednego chłopa; a że się dwór skubnie, albo jakiego bogacza czy na szynku czy w młynie, to fracha. Człek się tem trochę pokrzepi, a dwór zawsze będzie dworem, a bogacz bogaczem.

— Jużcić, to prawda, ale... — na wpół przekonany odezwał się Józef, ale mu zaraz przerwał Kuba i mówił daléj:

— Ot! na ten przykład w naszym dworze wzięto indyki, gęsi, tak rok wyprowadzili parę koni cugowych, a co zboża nabiorą, to w kieszenie i w buty przy młynkowaniu, to dziurą wywierconą w ścianie, a równo wszystko

jednako świeci na dworze, i znowu mają i konie jeszcze piękniejsze i gęsi i indyki i nigdy im zboża nie braknie. To więc nie złodziejstwo mój Józefie, bo się bierze temu co ma nadto, i dopiero chłopu wziąść, co ciężko pracuje na kawałek chleba i na siebie i na drugich, to już jest prawdziwe złodziejstwo.

— No, jużcić to prawda — potwierdził znowu Józef i rękę jako zupełnie widać przekonany wyjął z za koszuli. Kuba pojął dobrze co to znaczy, bo zaraz odezwał się:

— Ale nie bójcie się, ja was pewno nie zdradzę, ja ta słów z gęby po próżnicy nie lubię wypuszczać i co jest we mnie, co jest między nami, to na zawdy we mnie i między nami pozostanie. Na was znowu podejrzenia nikt nie weźmie, bo jeszczeście o nic takiego nie byli poszlakowani, a ja wam jeszcze tu niejedną rzecz naraję. Mam ta u siebie ładny kawałek żelaza...

— Oj! żelazo to by mi się zdało, przerwał Józef i aż westchnął i cmoknął językiem z wielkiéj radości, na samą myśl stania się posiadaczem tyle ponętnej rzeczy.

— To wam go przyniosę — odrzekł Kuba — a co mi dacie to dacie, choć kwartę kaszy, aby się ta w poczciwe ręce dostało.

Po odejściu Kuby, Józef nie poszedł zaraz do izby, ale usiadłszy na ławeczce, wyjął korale i przekładając po sznurku, zdawał się bawić ich pięknością.

— Śliczne korale i za dwa ruble! — szepnął do siebie — Oj! głupi Kuba, ja bym mu dał za nie dwa dukaty. Dopiero to się kobieta ucieszy. Ale zkąd on je wziął? może ukradł? A mnie co do tego? ja ta z nim nie kradłem, kupiłem i jużcić. Śliczności korale!

I znowu zaczął się niemi bawić, przykładać do szyi, ważyć w ręku, przebierać w palcach i po chwili odezwał się:

Ale równie przed nikim się nie pochwalę, boby zaraz ludzie Bóg wie nieco nabajdurzyli... Ej! to nie dobrze, i przy tych słowach Józef skrzywił twarz jakby zjadł co kwaśnego bo pan zawdy mówi, że człek nie powinien nic takiego robić w skrytości, czegoby nie zrobił w jawności, a tu równie nie radbym żeby gadka o tych koralach poszła między ludzi. I znowu Józef przerwał sam sobie, zamyślił się, pobawił się koralami, widocznie tocząc walkę z sumieniem i po chwilce szepnął daléj.

— Już teraz trudno; bo i cóż zrobię z koralami? Jeszcze ten kawałek żelaza wezmę, bo by i tak poszedł w żydowskie ręce; a potém zakażę Kubie żeby się ze mną w hultajstwie swojem przyjaźnił, niech ta se szuka innego. Trzeba pana słuchać, bo pan zawdy i poczciwie i mądrze mówi, a co się stało, to się stało... niech ta! przecież ja nie kradłem.

Na drugi dzień była to niedziela. Józef wstał rano i krzątał się około obory i stodołki, ale gdyby kto z boku pilnie na niego uważał, zarazby dostrzegł, że na głowie musi mu ciężyć jakiś frasunek, bo się często zamyślał; prawie bez celu przechodził od wozu do pługa, od brony do koni, niby patrzył, przyglądał się, a można rzec śmiało, że nic nie widział, bo się nieraz tak zapatrzył, że nawet nie czuł much co mu w nos i w usta właziły. Najmniejszy jednak rumot, parsknięcie konia, zaszczekanie psa, idący zdala człowiek, widoczne na nim robiły wrażenie, i w takich razach w stronę słyszanego głosu natychmiast zwracał głowę, a w trwożliwem niespokojnem oku, widać było

jasno, że się czegoś lęka i spodziewa tego, czego sobie nie życzy.

A to czyste nasłanie z tym Kubą — odezwał się wreszcie sam do siebie. Od tego czasu, jak się znęcił do mnie, tak rady se dać nie mogę i w dzień i w nocy, tak się czegoś lękam, tak boję, że aże strach. Czy urok, czy co? A wszystwo zdaje mi się, że to już po mnie idą, albo do sądu albo do rewizyi. No, no, przecież nic nie ukradłem. Z ludźmi to jeszcze fracha, chociaż kobieta mówi, że się zrobiłem jakiś nurkowaty, ale z panem to najgorzej. Jak ja się ta zejdę z nim, to mu nie będę śmiał w oczy spojrzyć.

— Oj! dałem se chleba, dałem, ale to przejdzie. O gęsiach się nie wydało; korale schowam i nie pokażę ich chyba za rok jaki, a do karczmy nie pójdę i jużcić niech ta Kuba sam se robi. To i co się mam lękać pańskich oczów? pójdę śmiało i będę z nim gadał jak wypada. Bo i cóż to? czy ja jaki winowajca? Dziś święto, dzwonka na pacierz ino co nie słychać, pójdę uklęknę se na boku, to się potrochu nałożę do pańskiego spojrzenia.

I ochoczo, wesoło, przekręciwszy kapelusz na bakier podsunął pług ku wozowi i pogwizdując wszedł do chałupy.

Nie długo ze dworu dał się słyszyć dzwonek, a dźwięk swój metaliczny roznosząc po wsi całéj, wzywał gromadkę wiejską do wspólnéj z dziedzicami modlitwy i podziękowania za otrzymane od Boga dary. Zaraz też ze wszystkich chałup zaczęli się wysuwać ludziska, starcy, kobiety, dzieci, a w chędogiem swem ubraniu bieląc się po ścieżkach wioski, wszystko to cicho, spokojnie, z pewną uroczystością posuwało się w jednym kierunku ku dworowi. Józef za pierwszem uderzeniem dzwonka zadrżał, spojrzał z boja-

żnią do koła, otarł czoło bo mu pot w gęstych kroplach wystąpił na niego i zupełnie stracił fantazyą, której nabrał z samym sobą.

Ej! nie mam czasu — szepnął do siebie — trzeba bydle napoić, trzeba graty pościągać, umieścić na podwórzu, a bezemnie się ta obejdą... ino... pan to tego strasznie nie lubi... jak się spyta... jużcić dla roboty zostałem, nie dla czego innego.

Ej! albo i pódę i na boku se stanę... Boże kochany, gadam nikej głupi i żeby kto jaki potwarca usłyszył, to by myślał, że ja co zrobił takiego co się pana boję.

I cichym głosem, jakby bojaźliwym dodał z westchnieniem:

— Jużcić, trzeba pójść, nic nie poradzi.

Na środku podwórza dworskiego, ubranego w różne kląby pełne kwiatów, stała ogromna lipa do koła otoczona ławeczką. Było to miejsce dla państwa do odpoczynku i spożycia śniadania, a dla gromady w lecie do wspólnéj modlitwy, zwykle wtenczas wynoszono duży postument z ukrzyżowanym Chrystusem, aby lud mając sobie przedstawione prawdy ewanieliczne, patrzał zarazem na tego, co się nie wahał dla tych prawd śmierć ponieść krzyżową, Kiedy Józef przyszedł, już znajdowała się cała gromada. a z niemi i znajomy nam już stary Walenty, Janek i Marysia z Połonką. Józef bowiem tak się ociągał, tak zwlekał, że gdyby nie żona co go prawie z domu wygnała, pacierz bez niego zostałby odmówiony. Nie długo frontowemi drzwiami wyszedł stary sługa dworski z owym postumentem ukrzyżowanego Chrystusa, za nim szedł sam pan z odkrytą głową; gromada natychmiast pozdejmowała czapki i kapelusze, a z podwórza znowu ozwał się dzwonek, ogłaszający wszystkim pozostałym we wsi, że wspólna modlitwa

już się rozpoczyna we dworze, i że choć zdala, każdy myślą powinien się z nią łączyć. Pan byłto człowiek już nie młody, przy końcu szóstego krzyżyka, ale jeszcze krzepki i szedł raźno, trzymając się prosto jak żołnierz. Wąs biały ładnie się zwijał, zdobiąc twarz pełną życia, zdrowia i czerstwości; włosy takie same w tył zaczesane spadały w puklach na szyję i nadawały mu wyraz takiej dobroci, nawet jakby świętości, że się dosyć napatrzyć nie można było. Ubrany był w kitel z płótna szarego, zrobiony krojem czamarki, pod pachą trzymał książkę od nabożeństwa, a gdy dzwonek ucichł, stanął plecami do lipy i uchylając głowy wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — na co mu gwarnie odpowiedziano, i potém rozpoczął pilny przegląd zgromadzonych włościan.

— Jędruś — odezwał się po chwili pan — dla czego to nie umyłeś się i nie uczesałeś?

— A bo proszę jegomości — odrzekł chłopiec wyrostek — takem się spieszył, że zabaczyłem i...

— Gdyby to jednak szło o wesele lub zabawę w karczmie, to byś ty nie zabaczył. Mój chłopcze największem weselem, największą zabawą dla poczciwego człowieka powinna być modlitwa; kiedy z nią człowiek udaje się do Boga, powinien nie tylko myślą oddać Mu cześć i poszanowanie, ale i ciałem schludnie i przyzwoicie ubranem i oczyszczonem. A jeżeli idąc z gościną między ludzi wdziewasz na siebie co masz najlepszego i najstrojniejszego, to stawając przed obliczem Boga możnaż być brudnym i odartym? Czyż to ludzie więcéj znaczą niż wszechmogący? Przy tych słowach cała gromada westchnęła, chłopiec zawstydzony przestępował z nogi na nogę, trzymając spuszczone w dół oczy, a pan dał znak stojącym na

boku karbownikowi i jednemu z parobków, i ci chłopca wzięli w swoje obroty, do miski i pod grzebień. Drugiemu znów w ten sam sposób zaszyto urwany u kapoty rękaw, innemu w brudnej koszuli kazał pan stanąć na boku, słowem przegląd zrobiony został dokładnie i dopiero wtenczas gdy się wszystko znajdowało w należytym porządku, dziedzic obrucił się twarzą do wizerunku Chrystusa Pana, ukląkł, złożył ręce, i po przeżegnaniu zaczął w głos odmawiać pacierz. Cała gromada nie wyłączając rodziny dziedzica i domowników, w kornéj na klęczkach postawie, powtarzała słowa modlitwy, a ten chór różnych głosów i cienkich i grubych, połączonych jedną myślą chwały i podziękowania dla Pana nad Pany, takiego uroku religijnego dodawał wiejskiemu temu obrazowi, że i najtwardsze serce nie mogłoby się oprzeć rozczuleniu i kamienne oko zajaśniałoby łzą serdecznej rzewności. I modlitwa gwarna, jednak cicha, spokojna, sunęła się po ziemi przerywana tylko nabożnem westchnieniem i świegoleniem przeskakującej z gałązki na gałązkę ptaszyny, a unosząc się w górę, stanowiła najpiękniejszy hymn jaki człowiek w religijnem uniesieniu może stworzyć na cześć swego Pana.

Wrażenie też pełne pokory, malowało się na wszystkich twarzach, bo każdy się czuł malutkim, pełnym winy i grzechu; bo modlitwa śle myśli w najtajniejsze kątki serca ludzkiego przed oczami duszy wszystko czyni jawnem i widocznem; więc nic dziwnego, że człowiek, rozczytując się w sprawach swego żywota, widzi się malutkim w dumie swojej, i bijąc się w piersi mówi z wiarą: „zgrzeszyłem, Panie, ale miłosierdzie Twoje jest większe niż złość moja.“

Wpływ jednak modlitwy najwidoczniej się objawiał

na Józefie i kto byłby pilnie na niego zważał, byłby od razu odgadł, że tam w sumieniu tego człowieka musi się toczyć jakaś walka, bo i częściej jak drudzy wzdychał, i bił się serdeczniej w piersi, i oczy wznosił ku niebu, a jak się nachylił, to tak się korzył, tak jęczał, jakby się chciał schować pod ziemię i zasłonić przed oczami ludzkiemi.

Gdy pacierz ukończony został, dziedzic powstał, za nim cała gromada, a pomilczawszy chwilkę odezwał się:

— Moje dzieci! cieszy mnie to, że nie zapominacie o Bogu i o modlitwie, i zawsze zgromadzacie się prawie wszyscy do odmówienia wspólnie pacierza. Jesteśmy bowiem dziećmi jednego Boga, więc bardzo słusznie, że razem go chwalemy, bo wszyscy jesteśmy grzeszni ludzie i jednego potrzebujemy zmiłowania. Ale się nie cieszę z tego, że jeszcze nie możecie tak żyć jak Bóg przykazał i nauczył. Ot i tak: Wojtkowie znowu poswarzyli się z Michałami, znowu były przekleństwa i obraza Pana Boga.“

— A proszę W-go pana—odezwała się Wojtkowa— dla czego mi Michałowa zawdy wchodzi w oczy z różnemi przytyczkami? Stroję się, to za swoją krwawą pracę, nie z krzywdy ludzkiéj, a jéj co do tego?

— A wy po co mnie nazywacie przed ludźmi pokorą — odrzekła na to Michałowa — czy to ja już taka ostatnia czy co?

— A po co nie pilnujecie swoich gęsi, zawdy puszczacie w mój jęczmień? To przecież boli człowieka“...

— Wasze prosie zawdy siedzi u mnie w grochu...

— Albo to prawda...

— Juźcić prawda—prawda.

— Cicho! — podniesionym głosem odezwał się dziedzic, a za nim to samo powtórzyło kilku włościan: piękna skrucha po pacierzu, w którym mówicie „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.“ Jak wy, moje kobiety, odpuszczacie wzajemne winy sobie, tak i wam Bóg odpuści. Że więc nie przebaczacie sobie i Bóg wam nie przebaczy, bo jaką miarką mierzycie taką wam odmierzone będzie. Wasza więc niezgoda martwi mnie i gniewam się na was...

— O! nasz Wielmożny panie! — ozwały się obie kobiety, przysuwając się do kolan dziedzica czy to my już takie najgorsze? czy co?

— Nie! moje dzieci, nie jesteście najgorsze, aleście złe dla siebie samych, bo zamiast czas przepędzać na pracy to wy go marnujecie na niepotrzebnej kłótni, na obrazie Pana Boga. Gorszycie dziatki wasze, a Chrystus Pan powiedział, że kto gorszy dziatki, wart jest żeby mu kamień do szyi uwiązano i utopiono. Bóg zaś, moje dzieci nie przepuści nigdy tego i choć ludzie zapomną, to zawsze przypomni na sądzie ostatecznym i ukarze za zgorszenie dziatek, które wy na chwałę Boga wychowywać powinniście. Wiecie, że ja tego nie lubię, a kiedy już na siebie samych nie zważacie, to zważajcie przecie na Boga, na ludzi i na mnie, bo mnie umartwicie jak byście mnie nic nie kochali.

— A, wielmożny panie! kochamy i szanujemy Wielmożnego pana, ozwały się poswarzone kobiety i kilka innych głosów. — Wielmożny pan nikej przecie ojciec nad nami.

— To się przeproście i przyrzeknijcie, że się nigdy nie będziecie sprzeczać, tylko w każdem zajściu przyjdziecie do mnie z użaleniem.

— No juźcić się przeprośta — ozwało się kilku włościan — i Wielmożnego pana przeprośta.

— No, to wybaczcie mi moja sąsiado — odezwała się Wojtkowa — przecież zawsze z przyjaźnią żyłyśmy z sobą.

— I wy mnie wybaczta, moja sąsiadeczko, moja kochaneczko—przerwała Michałowa—o swe rzeczy to człek zawdy skrzeczy...

— Juźcić ani gadania, a słowo to wiatr, nie zważajcie na niego.

— I wy nie zważajcie dla miłości Pana Boga.

I kobiety ucałowały się, wyściskały, pocałowały dziedzica w kolana i jeszcze wymówiwszy sobie i to i owo stanęły na boku w najlepszej zgodzie.

Kiedy się uciszył gwar wymówek i przeprosin, dziedzic znowu się odezwał:

— Moje dzieci, przykro mi także, że muszę ja się na was poskarzyć. Oto od kilku dni jakiś niepoczciwy człowiek w nocy wyrzyna mi koniczynę co ją mam na nasienie i przez to robi mi wiele szkody...

— A i któż to taki? — zapytała prawie cała gromada. — To pewno nie z naszej wsi, bo to między nami nie ma takiego, coby taką krzywdę zrobił Wielmożnemu Panu.

— I ja tak, moje dzieci myślałem, ale sam przekonałem się że z naszej wsi, bo ślad precz był drogą aż za mostek. To przecież tu zaniósł a nie gdzieindziej.

— A juźcić, a juźcić — potwierdzili włościanie — ale przecież Bóg nam dopomoże, to my go wyśledziewa bo my nie chcemy w złodziejstwie przez jednego chodzić przed W-żnym Panem. A jak znajdziemy to już taki sąd nasz żeby mu dać 15 batów...

— Co gadacie piętnaście — przerwał inny — trzydzieści, bo za szkodę i za wstyd gromadzie, i jeszcze go z koniczyną na postronku oprowadziemy po wsi całej.

— Dobrze mówi, dobrze mówi — potwierdziło kilka głosów, a każdy z nas gospodarzy da mu jednego *lizańca.*

— A juźcić, a juźcić! niech zna co to całą gromadę w złodziejstwie stawiać przed Wielmożnym Panem.

— Dziękuję wam, moje dzieci — odezwał się pan — że tak dbacie i o mnie, i o swoje sumienie, bo ja teraz na każdego z was mogę mieć porozumienie.

— A juźcić, a juźcić! każdy z nas jest teraz w porządku, a niech mnie Bóg skarze, jeżeli koniczynę w pomyśleniu miałem.

— I ja, i ja to samo.

— Śledźcie więc i winowajcę przyprowadźcie do mnie, a naradziemy się jak go ukarać.

— Już nieinaczéj Wielmożny Panie, ino tak jakeśwa powiedzieli.

— Dobrze, dobrze, potem o tem pogadamy, a teraz moje dzieci bywacie między ludźmi, w kościele w mieście na targach i jarmarkach: zważajcie też na korale kobiet: bo w Zagajewie jeden gospodarz przedał dwóch ciołków co sam ich uchował, i wziął za nie aż trzysta złotych. — Pieniądze te wraz z koralami kobiety swojej i siostry jej, miał schowane w komorze i cieszył się, że mu Bóg pobłogosławił, że kupi sobie parę szkapin i otrząśnie się z biedy, a tu przyszedł zły, bez sumienia człowiek, i wziął mu całą jego krwawą pracę.

— O! mój Boże! o to zdrajca ludzki — przerwało kilka głosów, a po Józefie aż zimne przeszły poty i spuścił

oczy w ziemię, bo mu się zdawało, że każdy na niego patrzy.

— Kto jednak zrobił mu taką krzywdę, Bóg jeden wie — mówił dalej dziedzic — ale prędzej, później wydać się to musi, bo Bóg chociaż cierpliwy ale sprawiedliwy. Do tych czas porozumienie jest na Kubę z tamtych Gór z za strumienia, bo go widziano przed wieczorem w karczmie, a nikt nie mógł pokalkulować po jakim tam znajduje się interesie i potem przechodził się koło tej chałupy gdzie w nocy popełniono kradzież.

Poszkodowany włościanin wczoraj przyjeżdżał do wójta i choć wszystko zachował w tajemnicy i u Kuby w nocy odbyła się ścisła rewizya, nic jednak wykrytem nie zostało. Nie trzeba wam mówić jak się tem zmartwił chłopisko, boć to praca ciężka i długa, bo może od lat kilkunastu, w jednej nocy przepadła i najprędzej poszła w ręce co ją za byle co zmarnują. Oj! taki człowiek co się dopuścił takiego grzechu, co był do tego jakim przyczyńcą, to wielką odpowiedzialność bierze przed Panem Bogiem. Każda łza, każde przekleństwo tego chłopiny, to padnie na jego duszę jak rdza na żelazo, i strawi ją, zniszczy i odda na wieczne potępienie. Taki niczego się nigdy nie dorobi, ani majątku, ani przyjaźni ludzkiej, ani wesołości, bo co lekko przyjdzie to lekko pójdzie, a między ludźmi nie zyszcze sobie przyjaciela, bo na każdego będzie myślał że go zdradzi i wyda do sądu. Pamiętajcie przytem, moje dzieci, nie wchodzić w żadne znajomości z tamtemi z Gór z za strumienia, a szczególniej z Kubą, bo z jakim kto przestaje takim się staje, a jak parszywa owca najzdrowszą zarazi, tak zły człowiek i najlepszego zepsuć może. Uciekajcie więc od takich jak od ognia, bo w złe to się idzie tak wolno, tak nie-

znacznie, że się człowiek ani obejrzy, i zajdzie tak daleko, że się ani w tył nie cofnie, ani w prawo, ani w lewo.

Zważajcie więc, moje dzieci, na korale, i jak czego dojdziecie zaraz mi donieście, a teraz idzcie z Bogiem: niech was Bóg szczęśliwie prowadzi i chroni od podobnej niesławy, jaka jest na tamtych drugich Górach, bo gdyby który z was miał kiedy coś podobnego zrobić, być pierwszym ze wsi do takiej rzeczy, tobyśmy go z pośród siebie publicznie wygnali; niechby się błąkał do końca swojego życia między ludźmi, jak duch jaki pokutujący, niechby w nędzy, w biedzie i w wytykaniu przez wszystkich palcami, chodził i marniał i niechby ni w dzień ni w nocy nie miał spokojności, ale niechby mu zawsze stała na oczach krzywda której się dopuścił, i wstyd jaki zrobił całej gromadzie.

— Oj! święte słowa Wielmożnego Pana, odezwali się włościanie, a niechby go zła krew zalała.

— Niechby go lepiej nagła śmierć nie minęła.

Józef wszystkich tych słów wysłuchał z niemą prawie rozpaczą, to bladł, to czerwieniał, to wzdychał, to chwytał się za serce, lub gładził po czuprynie, i przedstawiał jasny obraz męki wewnętrznej, jaką zapewne muszą cierpieć skazani na wieczne potępienie. Stan taki nienaturalny, spojrzenie ponure i zawsze zwrócone ku ziemi, aż zwróciło uwagę kilku włościan, i jeden z nich zapytał:

— Cóż to kumie? czyście słabi czy co? co wam jest?

— A i cóż tak się dowiadujecie? — zapytał opryskliwie Józef, bo sądził, że pytający wiedział co się w nim dzieje, i dla tego już zaczyna wybadywać — jacy to dziwni ludzie!

— O! przecież wam nie ma iść o co, gniewacie się jakby ta Bóg wie o co, przecież to wszystko z przyjaźni.

— Aj! — mruknął Józef, i kapelusz nacisnął na oczy, a gdy drudzy podobne zadali mu pytania, nie mogąc widać dłużej wytrzymać, przyśpieszył kroku i znacznie w powrocie wyprzedził wszystkich.

— Moja kumeczko — odezwała się jedna z kobiet pogodzonych do swojej przeciwniczki—moja kochaneczko, to wszystko między nami poszło z tego kogutka z białym ogonem, bo...

— Chyba bez ogona, bom...

— Ale co bajecie, przecież...

I kobiety zaczęły żwawiej jedna drugiej przerywać, ale się zaraz odezwał jeden z mężów:

— A, też judy nie baby, zawsze im musi wejść cosić na język.

Kobiety na te słowa oburknęły się na strofującego, i rozmawiając z sobą w najlepszej harmonji, posuwały się ku domowi.

Ale Józef jednak choć ukrył się przed oczami ludzkiemi, nie ukrył się przed samym sobą. Wieczorem dla fantazyi poszedł do karczmy i podpił sobie troszkę, a że sam w sobie już był strasznie gniewliwy i każda rzecz, każde słowo zaraz mu zaszkodziły, powadził się i z jednym i z drugim, w końcu nareszcie z żoną i wpośród kłótni i płaczu swej połowicy udał się na spoczynek. Ponieważ był to człowiek zawsze trzeźwy, pracowity i zabiegliwy, tylko miał wadę skąpstwa i chciwości, więc na drugi dzień obudził się z bólem głowy, poszedł wybijać klin klinem, a tymczasem robota w domu stała, kobieta się gniewała, a ludzie się dziwili, zkąd Józefowi takie bałamuctwo przyszło do głowy. Okradziony włościanin przyjeżdżał parę razy do Gór Wielkich, prosił, błagał, ale wszystko nanapróżno; jak kamień w wodę przepadła cała praca bie-

daka. Co było we wsi narad o to, co domysłów, to łatwo każdy sobie wyobrazi, kto choć troszeczkę zna nasz lud wiejski, i choć ogólnie wszyscy Kubę mieli w podejrzeniu, nikt jednak ani przypuszczał, żeby ukradzione korale znajdowały się w rękach Józefa. Nareszcie zaczęto po troszku zapominać i o koralach i o Kubie, i o wszelkich gawędkach i domysłach; każdy zajął się własną pracą, żałował biedaka, i oddawał go pod opiekę i zmiłowanie Boskie.

I tak zeszło przeszło tydzień czasu, gdy jednego dnia o zmierzchu wieczornym, do pokoju samego dziedzica, nieśmiało wszedł jakiś włościanin i skłoniwszy się, został przy drzwiach. Dziedzic, do którego wstęp dla ludu wiejskiego nigdy nie był wzbroniony, podsunął się ku niemu i poznawszy Józefa, odezwał się ze zdziwieniem:

— A tobie co się stało Józefie, czyś chory.

— Oj! chorym Wielmożny Panie, ale nie na cielsku, ino z wielkiego frasunku i z turbacyi, i dla tego przyszedłem do Wielmożnego Pana nikej do swego ojca, bo jak Wielmożny Pan mi nie poradzi, to chyba przyjdzie się człowiekowi zatracić.

I to rzekłszy Józef drżącym od wzruszenia głosem, blady, żółty, jakby po jakiej wielkiej słabości, nachylił się do samych kolan dziedzica, począł je ściskać i całować i mówić:

— O! mój Wielmożny Panie, o mój ojcze i dobrodzieju! o mój złocisty Wielmożny Panie!...

— Ale cóż to takiego? powiedz, jaki masz do mnie interes, mój poczciwy Józefie...

— O! niech tak Wielmożny Pan nie mówi — przerwał Józef podwajając uściski i ucałowania kolan — bo ja nie wart takiego nazwania... i to wyrzekłszy rozpłakał się jak dziecko i prawie łkając zasłonił twarz rękoma.

Kiedy minęło wzruszenie i dziedzic łagodnem słowem ośmielił skruszonego winowajcę, Józef z całą prawdą opowiedział spotkanie Kuby w nocy z gęsiami, ofiarę jego z dwóch sztuk, następnie kupno korali i całą rozmowę jaką z nim przeprowadził, i kończąc swoje zeznanie, dodał:

— Od tego czasu, proszę Wielmożnego Pana, jakem się opętał z Kubą, tak nijakiej nie miałem spokojności, wszystko mi się zdawało, że każdy wie o mojej niepoczciwości, że wszyscy ino szepczą o mnie. Jak który co mówił, o koralach, to mnie się zdało, że wywodzi gadkę umyślnie do mnie z przytyczką; jakem się z kim spotkał, to mnie ino serce dygotało, bo zawdy zdało mi się, że powie, iż ludzie mają na mnie porozumienie. A jak przyszła noc, jakem se zaczął wszystkie słowa przywodzić, co Wielmożny Pan nam zawdy kładzie w uszy przy pacierzu i przy jakiej okazyi, jakem se wspomniał o Bogu i o niepoczciwem wdaniu się z Kubą, tak ino przewracałem się z boku na bok, mamrotałem sam do siebie nikej jaki głupi, i ledwie ta nadedniem zasypiałem kiedy nie długo już wypadało wstawać do roboty. Dla tego wagowałem się długo, przekładałem se różnie w głowie i tak i owak, ale nareszcie rzekłem se, niechaj się co chce stanie, pójdę do Wielmożnego Pana, opowiem wszystko nikej ojcu, i niech mnie Wielmożny Pan sądzi jak się podoba. Bo dla chłopa Wielmożny panie to kawałek żelaza, albo co wuli zjedzenia to najłakomsza rzecz, ale ja wszystko to powrócę, aby ino Wielmożny Pan nie zawstydził mnie przed ludźmi, i zawdy z jedną był dla mnie przychylnością, bo ja choć wiele zgrzeszyłem, ale Bóg świadkiem, że tak się martwiłem, że ino połowa ze mnie została i może by i źle ze mną wypadło, żeby nie to, co mnie Bóg natchnął i przyprowadził do Wielmożnego pana.

Jaki wypadek nastąpił z tej rozmowy łatwo się domyślić. Korale powróciły do prawego właściciela, Kuba przyciśnięty wyznał wszystko i z małą stratą oddał ukradzione razem z koralami pieniądze, a Józef osłoniony tajemnicą, na rzecz biednych za karę zapłacił pewną kwotę, tę, którą sam na siebie postanowił i po dziś dzień jest jednym z najlepszych gospodarzy, a pierwszym co do przychylności i posłuszeństwa dworowi.

Pisząc ten prawdziwy obrazek z pożycia ludu wiejskiego, miałem was na celu zacna obojej płci młodzieży polska. Któremu z was w przyszłości dostanie się stan ziemianina lub gospodyni wiejskiej, niech pamięta, że jak Bóg jest początkiem wszystkiego, tak religja wsparta wiarą i moralnością, o ile być może jak najwięcej rozkrzewiana, jest jedyną rękojmią prawości, poczciwości i pracowitości naszego ludu. Dawniej bowiem, kiedy pan nie wahał się razem z kmiotkiem uklęknąć do pacierza i razem przystąpić do sakramentu pokuty, nie szczędząc uwag i napomnień prawdziwie ojcowskich i lud był inny, bo w sercu miał Boga i miłość dla swego pana, jak dziecko dla ojca. Dziś za wpływem cywilizacyi i filozofji z zachodu, gdyśmy zostali półmędrkami i odsunęli się od ludu, uważając go niemal jedynie za narzędzie wydobywające pewien dochód z roli, ten odsunięty od wpływu działającego na kształcenie rozumu i udelikatnienie serca, cóż dziwnego, że mając w nas złych ojczymów, nie lepszym został pasierbem? że my upadłszy we wszystkich cnotach zacnych naszych przodków i lud za sobą pociągnęliśmy? Jaki pan, taki kram, mówi przysłowie; czem więc my jesteśmy, takim jest i lud wiejski, a jakiemi my dla niego, takim on dla nas. Poprawmy się i on się poprawi, pokochajmy go sercem nie głową, szczerze i poczciwie, po staropolsku, a nie

z cudzoziemską obłudą, i on nas pokocha i sercem zapłaci za serce, bo miłość to wielka potęga, cudom daje życie, a wskrzesza to, co już zamarło. Czem jest jednak słońce dla ziemi, tem religja i wiara dla miłości, i jak bez ciepła słonecznego ziemia stałaby się bryłą lodu żadnego nie objawiającą życia, tak i miłość bez religji i wiary zastygłaby w sercach ludzkich i rozerwała ten związek, co podług praw rozumu i serca powinien łączyć wszystkich w jedną wielką rodzinę ludzkości. A że zewnętrzne oznaki religji i wiary muszą odpowiadać zasobom wykształcenia, nie wachajcie się, gdy zostaniecie kiedyś panami i paniami nad ludem wieśniaczym, uklęknąć razem z nim do wspólnej codziennej modlitwy, odbyć spowiedź i pokutę, bywać w świątyni, uczestniczyć w uroczystościach kościelnych i zachowywać z całą surowością świętość dnia niedzielnego i innych świąt uroczystych. Lud bowiem otoczony takiem postępowaniem tych, na których ma zawsze oczy zwrócone, pójdzie za ich przykładem, i stanie się religijnym, a przez to moralnym, trzeźwym, pracowitym i miłującym tych, których naśladuje, bo zawsze Bóg będzie przytomnym jego myśli, nauki ewangeliczne jego sercu, a przy takich dwóch wielkich dźwigniach, czyż nie będzie co dzień lepszym i zacniejszym?

Nie łudźcie się jednak, aby spełnianie tego prawdziwie obywatelskiego obowiązku, obeszło się bez trudu i mozołu; owszem będzie to praca ciężka, wyczerpująca nieraz wasze siły i cierpliwość, i niszcząca najlepsze wasze chęci, ale inaczej być nie może, bo co długie lata zepsuły, także tylko lata naprawić potrafią. W takich razach, obowiązkiem poświęcenia dobrego syna dla swojej ojczyzny, wskrzeszajcie upadającą odwagę, a ufni w pomoc Bożą, z wiarą w zacność raz obranej drogi idźcie dalej, bo kiedy

czas i praca z twardych głazów i marmurów wydobywa najpiękniejsze kształty, to dla czegoż z serc ludzkich nie miałaby wydobyć czynów nacechowanych rozumem i miłością? Serce bowiem ludzkie to nie opoka, i odda miłość za miłość, poświęcenie za poświęcenie. Starajcie się więc zacna młodzieży polska, pracujcie i módlcie się, a reszty Bóg dokona!

J. K. G.

PAMIĘTNIK RODZINNY.

Smutny świat — ciężkie życie — prawda; ale i to prawda, że wśród tego smutku i tęsknoty, są chwile jasne, piękne i święte — które wszystką cierpkość łagodzą — tęsknoty uciszają, i rozstrojoną duszę do pięknej Boskiej powracają harmonji, — do tej harmonji wewnętrznego pokoju, w którym żyć, kochać, pracować, cierpieć i umierać powinniśmy.

X. K. A.....

ROZDZIAŁ I.

Własny dom.—Pierwszy tydzień w Warszawie.—Zabiegi młodej gospodyni. — Stary ojciec i stara ciotka. — Przechadzka za miasto.

Ósma godzina wybiła z rana; piękny kwietniowy poranek zajaśniał w całym blasku, oglądałam się w koło — wszystko było mi nieznane i obce. Przez zapuszczoną roletę przedzierał się promień słońca, i rzucał zielonawą barwę na rozrzucone w nieładzie przedmioty. To barwa nadziei, pomyślałam i z dziecinną radością złożyłam ręce do

modlitwy, dziękując Bogu za tak niespodziewane szczęście, jakie mi zesłał. Sierota od pierwszych lat dzieciństwa, zdawało się, że nie mam prawa do niczego na świecie. Bóg jednak czuwał nademną od kolebki, i dał mi naprzód zacną opiekunkę, przy której nie mogłam nigdy pomyśleć o sieroctwie; teraz zaś urzeczywistnił wszelkie moje marzenia i nadzieje, dozwalając mi połączyć się z Władysławem. Znaliśmy się prawie od dzieciństwa, od dwóch lat daliśmy sobie wzajemne słowo, trzeba jednakże było połączenie nasze do dalszego odłożyć czasu. Posag mój skromny, złożony zaledwie z kilkunastu tysięcy złotych, nie mógł wystarczyć na utrzymanie. Władysław mniej miał jeszcze. Ukończywszy przed kilku laty szkoły, pracował przy jednym z warszawskich mecenasów, ale to wystarczało zaledwie na jego własne potrzeby. Ojciec jego, dawny wojskowy, za cały majątek miał tylko małą emeryturę; uczynił więc dla syna bardzo wiele, wychowawszy go starannie i postawiwszy go w możności dorobienia się kiedyś chleba uczciwą pracą. Od kilku miesięcy dopiero Władysław został obrońcą przy Sądzie Pokoju, natychmiast więc umyślił przywieść do skutku dawne zamiary. Skłoniłam się chętnie do jego woli. Ciotka moja i opiekunka, nie miała nic przeciwko temu; ojciec Władysława zdawał się być zadowolonym ze skłonności syna; poszliśmy więc do ołtarza pełni szczęścia i nadziei, ufni w przyszłość, bogaci wiarą i wzajemnem uczuciem!

Ślub nasz odbył się właśnie przed dwoma dniami, w Radomiu u ciotki, która dzień cały zatrzymała nas u siebie. Chcieliśmy prosto z kościoła puścić się w drogę do Warszawy, ale dobra ciotka przystać na to w żaden sposób nie chciała.

— Dalibyście pokój moje dzieci nowomodnym zwyczajom, rzekła całując mnie w czoło; zostawcie panom wymysły, sami zaś żyjcie tak, jak żyli ojcowie wasi. Potrzebne to rzeczy, w dzień tak ważny jak dzień ślubu, gonić wiatr po świecie? Nie lepiejże strawić go przy tych, co was całem sercem kochają?

Ojciec Władysława był także zdania ciotki; nie mogliśmy się zatem oprzeć wzajemnej ich woli i pozostaliśmy do dnia następnego w Radomiu. Nazajutrz z rana ciotka z ojcem odprowadzili nas na pocztę. Po serdecznem pożegnaniu i błogosławieństwie, wsiedliśmy do dyliżansu. Nie mogłam bez uronienia łez kilku patrzeć na dobrą ciotkę, która stała smutna i milcząca przed pocztowym domem i także ukradkiem ocierała łzę z oka. Wtem pocztyljon zatrąbił, konie ruszyły z miejsca, powóz potoczył się szybko, wychyliłam głowę aby ostatniem spojrzeniem pożegnać tę, która przez lat tyle była mi drugą matką. Ona skreśliła krzyżyk w powietrzu. Zapłakałam rzewnie. Ale niebawem znikła mi z oka, przysłonięta cieniem drzew, wysadzonych po obu stronach drogi. Powóz sunął śpiesznie, okryty tumanem pyłu; z obu stron zieleniały obszerne łany Sandomierskiej pszenicy, wiatr poranny nachylał ku ziemi drobne listki trawy; ptastwo świegotało w górze; powietrze czyste, wiosenne, krzepiło pierś, i chłodziło płonące czoło; a promień słońca przedzierał się przez gałęzie nadwiślańskich topoli. Spojrzałam na Władysława, który siedział obok mnie paląc cygaro; uśmiechnął się do mnie z wyrazem niewymownej radości. I ja uśmiechnęłam się z po za łez, otarłam niebawem oczy, a w sercu mem znów było jasno jak przed chwilą.

Wieczorem przybyliśmy do Warszawy. Władysław zawiózł mnie do skromnego mieszkania, na ulicy Solnej.

Rzuciłam okiem na sprzęty, jakże wszystko wydało mi się pięknem! i owe krzesła z jesionu, wybite morą zieloną i bieluchne jak śnieg firanki i kobierzec w kwiaty rozłożony przed kanapą. Dobry Władysław! ileż to pracy kosztował go najdrobniejszy szczegół, uścisnęłam go serdecznie, dziękując mu ze łzami.

— Zosiu droga — rzekł z uczuciem — stokroć jestem wynagrodzony, skoro ci się podoba w moim domu.

— Mogłoż by być inaczej — odpowiedziałam — ale mój drogi po co te wszystkie zbytki, my byśmy i tak byli szczęśliwi.

— Dziecko z ciebie — rzekł z uśmiechem i cóż tu widzisz zbytkownego? Wszystko wydaje ci się pięknem, bo patrzysz okiem szczęścia i swobody. O! wierz mi! prawdziwe nasze bogactwo leży we własnej duszy; pielęgnujmy ten skarb oboje, a znajdziemy w niem nieprzebrane źródło pociechy.

Łzy szczęścia były całą moją odpowiedzią.

Nazajutrz z rana rozpatrując się w pośród ścian mi nieznanych, po modlitwie, poczęłam dumać nad nowem stanowiskiem, jakie zajęłam w życiu. A więc skończyły się dla mnie chwile płochej i niebacznej młodości! Nowe pasmo obowiązków otwiera się przedemną. Już mi nie wolno jak dotychczas żyć wyłącznie dla siebie. Odtąd odpowiedzialną jestem przed Bogiem za szczęście Władysława; odtąd wszystko wspólne ma być między nami, każda myśl, każde życzenie! Z jakąż radością poddam wolę moją jego woli, jakże chętnie gotowam przyjąć wszelkie trudy codziennego życia, byleby tylko widzieć swobodę na jego czole, a uśmiech na ustach! Piękne to zaprawdę powołanie kobiety; jakże to miło być aniołem opiekuńczym tego, który ma być naszą radą i wsparciem,—

potrząsać kwiatem ścieżki jego życia, zganiać z jego czoła cień, który zewnętrzne przygody i stosunki z ludźmi i światem rzucić nie raz muszą! słowem, uczynić dla niego przy domowem ognisku miłą ostoję, gdzie będzie mógł rad spocząć po całodziennych trudach!

Długo, długo zajmowały mnie tego rodzaju myśli, wtem dzwonek ozwał się w przedpokoju. Władysław wracał z miasta. Usłyszałam jego głos, i wybiegłam śpiesznie przeciw niemu.

Powitawszy go zakrzątnęłam się około kawy. Katarzyna nakryła nam stolik w jadalnym pokoju białą serwetą, i niebawem zasiedliśmy oboje do śniadania. Po kawie Władysław zapalił cygaro, rozmawialiśmy długo, snując we dwoje pasmo najrozliczniejszych marzeń i zamiarów.

— Zosiu, nie rozpatrzyłaś się jeszcze w twoim domu — rzekł powstając Władysław. Urządziłem go tymczasowo; możesz wszystko zmienić według upodobania.

To mówiąc, wziął mnie pod rękę i oprowadzał po wszystkich kątach. Skromne mieszkanie nasze składało się z trzech pokoików, przedpokoju i maleńkiej kuchenki. Gdzie rzucić okiem, wszędzie było świeżo i składnie, sprzęty jakkolwiek niewykwintne, kształtne były i połyskujące, ściany pomalowane gładko, rozjaśnione wschodnim promieniem słońca, harmonijnie odpowiadały barwie sprzętów. Główną ozdobą saloniku był mój portret naturalnej wielkości. Przed miesiącem ciotka kazała go wymalować tajemnie. przejeżdżającemu przez Radom malarzowi, w upominku dla Władysława. Nigdy nie zapomnę jego radości, gdy go porankiem w dzień ślubu wniesiono do pokoju. Byłam wymalowana w białej sukience, z zielonym wiankiem na głowie, w ubraniu, które miałam w dzień zaręczyn. Trzymałam w ręku małą książkę, był to „Wiesław“ Bro-

dzińskiego, właśnie niedawno dostałam go od Władysława w darze. W oczach znawcy, portret mój nie miałby zapewne wielkiej wartości; pędzel nie był może dosyć delikatny i wprawny, jednak w twarzy wiele było wyrazu, oko jaśniało szczęściem. Ilekroć spojrzałam na ten obraz, zdało mi się, że na nim nierównie piękniejszą jestem niż w rzeczywistości. Ślicznie więc odbijał oprawny w złocone ramy na perłowem tle ściany, i niemniej wdzięcznie powtarzał się, w zawieszonem naprzeciw zwierciadle. Salonik więc nie pozostawiał nic a nic do życzenia. Był w nim nawet i fortepian, nie nowy wprawdzie, ale jeszcze w dobrym stanie, a na półeczkach obok, znaczny zbiór muzycznych najnowszych utworów, wybranych staraniem Władysława.

Obok saloniku pokoik mój pomalowany zielono — wesoły był nad wyraz. Sprzęty jesionowe, stoliczek jeden do pisania drugi do ubierania ze stojącem zwierciadłem,— mały zegar ścienny; wszystko to skromne było, ale ładne. W oknie kwitły przepyszne różowe i pąsowe kaktusy, róże miesięczne i geranje; słowem było to istne cacko, zwłaszcza gdym się zabrała śpiesznie do wydobycia z kufrów i pudełek rozlicznych drobnostek moich dziewiczych skarbów i zaczęła przyozdabiać niemi stoliki i ściany. Po nad wezgłowiem zawiesiłam nasamprzód obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej, który niegdyś zdobił pokój drogiej matki. Obok niego, umieściłam obraz Chrystusa na krzyżu, otrzymany w darze od ciotki, wraz z jej błogosławieństwem. W mgnieniu oka pokoik mój zajaśniał życiem, a ja przechodziłam się po niem dumna i szczęśliwa jak królowa, zwracając uwagę Władysława na każdy przedmiot z osobna, skacząc z radości i klaszcząc w ręce, gdy mi się udało zręcznie umieścić jaki sprzęcik.

Następnie przeszliśmy do jadalnej salki. Był to pokój długi, o dwóch oknach wychodzących na ogródek. Szerokie gałęzie rozwijającego się właśnie kasztanu, zaglądały w okno, i umajały je prześliczną zielonością; mieszkanie bowiem nasze było na dole w bezpiętrowym domku.

— Patrz Władziu — rzekłam prowadząc go ku oknu — niech tylko będzie trochę cieplej, możemy pijać kawę pod kasztanem: jest tam nawet jak widzę brzozowa ławeczka i stolik! O! jak to dobrze, co za prześliczny ogródek!

Spojrzałam na Władysława i dostrzegłam nieznaczny cień na jego czole — nie odrzekł mi ani słowa.

— Co tobie jest mój drogi? — zagadnęłam pomięszana.

— Nic Zosiu — odrzekł — przykro mi tylko, że cię muszę wyprowadzić z błędu. To nie nasz ogródek kochanie. Myślałem już o nim, chciałem go nająć koniecznie, ale byłoby to o paręset złotych blisko podwyższyło cenę naszego mieszkania.

— O mój Władziu — odparłam — niechże cię to bynajmniej nie troszczy, czyż my nie możemy być szczęśliwi i bez ogródka.

— Czekaj aniołku, rozmówię się dziś jeszcze z gospodarzem — rzekł Władysław. Coby to była za uciecha na lato! zasadziłbym zaraz altankę z dzikiego wina.

— Jak mnie kochasz, nie czyń tego — zawołałam stanowczo. Nie darowałabym sobie nigdy, gdybym miała być powodem wydatków na położenie nasze! ja cobym w każdej chwili rada uprzyjemnić i osłodzić ci życie.

Po krótkim sporze, w którym okazałam niezłomną wolę, stanęło na tem, że zaczekamy z najęciem ogródka do pomyślniejszych nieco czasów. Tymczasem zajęliśmy

się oboje uporządkowaniem jadalnego pokoju. Wszystkie mniej pozorne sprzęty, przy pomocy Katarzyny i stróża powynosiliśmy do kuchni. Zostawiliśmy tylko w jadalni stół okrągły na środku, kilkanaście wyplatanych trzciną krzeseł, biórko Władysława z papierami i książkami i jesionową szafę. Daremnie Katarzyna usiłowała przekonać mnie, że kuchenka nie pomieści tylu rzeczy, że sobie nie da rady z gotowaniem, nie mając się prawie gdzie obrócić. Niepodobna było zapobiedz temu; jakże zaprzątać gratami nasz ładny jadalny pokój? Przykro mi było, gdy Kasia smutna i niezadowolona wyszła do kuchni. Jabym tak chciała widzieć dokoła siebie same szczęśliwe i wesołe twarze! ja sama tak szczęśliwa, mnie tak na duszy lekko i swobodnie! Zresztą Kasia dobra dziewczyna, moja rówiennica wiekiem, równie jak ja wychowana staraniem dobrej ciotki! Bolało mnie więc widocznie, gdym spostrzegła jej oczy zarumienione od łez i nabrzękłe policzki, ale to przejdzie, pomyślałam, tęskni zapewne za Radomiem, zkąd się pierwszy raz w życiu oddaliła.

Pierwszy tydzień po ślubie zbiegł jak sen; wprawdzie godziny w których Władysław musiał się oddawać obowiązkowej pracy, wydawały mi się nieco za długie. Przyzwyczajona jednak przez ciotkę do ustawicznego zajęcia, umiałam je skracać ile możności robotą i czytaniem. Słońce tymczasem przyświecało coraz jaśniej, coraz cieplej; drzewa coraz hojniejszą okrywały się zielenią; fijołki świeżo rozkwitłe pod oknami, miłą wonią napełniały powietrze. W nieobecności Władysława otwierałam okno, patrzałam w ogródek i myślą przyswajałam go sobie na własność; siałam w nim kwiaty, zakreślałam ścieżki, urządzałam altanki i z żalem odchodziłam od okna, prze-

widując, że wiele wody upłynie nim się spełnią nareście życzenia moje. Poprzestałam tymczasem na pielęgnowaniu kwiatów w doniczkach, których przykupiłam znaczną liczbę u Ulricha, chcąc przybrać niemi wszystkie okna mieszkania.

Codzień po obiedzie, gdy Władysław był nieco wolniejszym, wychodziliśmy oboje do miasta za drobnymi sprawunkami. Miałam jeszcze kilkaset złotych, pozostałych z pieniędzy, które dostałam od ciotki na wyprawę. Kupiłam za nie ładny słomkowy kapelusz z zieloną wstążką, płaszczyk sukienny, suknię jedwabną, drugą letnią, resztę zaś przeznaczyłam na różne drobnostki, pragnąc o ile można było przystroić moje mieszkanko, które coraz powabniejszą przybierało postać. Pokoik zwłaszcza zielony zyskał wiele gdym go ozdobiła kilkoma pięknemi rycinami, które zawiesiłam na ścianie i dwoma popiersiami z gipsu, przedstawiającemi moich ukochanych bohaterów.

Przebiegł więc tydzień i nie spotrzegliśmy oboje z Władysławem, jak nadeszła sobota, dzień przeznaczony na przybycie ciotki i ojca. Ciotka moja mieszkała oddawna w Radomiu, gdzie niegdyś mąż jej był urzędnikiem w sądownictwie. Owdowiawszy przed kilkoma laty, nie chciała oddalać się z miejsca kędy przeżyła lat nie mało i szczęśliwie; żal jej było porzucać licznych przyjaciół i znajomych, do których nawykła, i od których szczerze była kochaną, jako kobieta dobra pożyteczna, i więcej zawsze myśląca o drugich niż o sobie. — Gdy jednak małżeństwo moje z Władysławem stanowczo ułożonem zostało, dobra ciotka, przywiązana do mnie serdecznie, umyśliła przenieść się do Warszawy. Tymczasem zaś miała przyjechać na tydzień chcąc mnie odwiedzić na nowosiedlinach, i zarazem zająć się wynalezieniem sobie stosownego mieszkania.

Ojciec męża mego, od lat dawnych mieszkał już w Warszawie. Zajmował on dwie maleńkie izdebki, niedaleko Wolskich rogatek, z których okna wychodziły na obszerny ogród. Korzystając z wyjazdu do Radomia na dzień naszego ślubu, umyślił za jedną drogą odwiedzić krewnych w Sandomierskiem. Ułożył się więc z ciotką, że wróci w piątek z zamierzonej objażdżki i wraz z nią przybędzie do Warszawy.

W sobotę z rana, wstałam wcześniej niż zazwyczaj, a po kawie poszłam z Kasią za żelazną bramę. Chciałam wystąpić z wieczerzą, którą po raz pierwszy ojciec i ciotka pożywać mieli w moim domu. Pragnęłam nadewszystko popisać się w obec ciotki, która w całym Radomiu za najpierwszą uchodziła gospodynię. Nakupiłam więc ryb, wiedząc, że ciotka za nic w świecie nie jadłaby mięsa w sobotę, wybrałam najlepsze ciastka do kawy i obładowana rozlicznemi pakiecikami wracałam do domu z Katarzyną, która nudziła mnie nieznośnie, utyskując, że nie będzie miała w czem sporządzić należycie tak obfitej wieczery. Chciałam wprawdzie zadosyć uczynić jej woli, zajrzałam do woreczka, ale przekonałam się, że już prawie zupełnie jest wyczerpany. Trzeba więc było zostawić do dalszego czasu kupno garnuszków, rynek i innych kuchennych sprzętów, których nie miałam w domu dostatecznej ilości. Przemyślna Kasia pożyczała tymczasem co mogła od sąsiadek, i zajęła się zawczasu przygotowaniem sutej wieczerzy, która miała na zawsze zapewnić mi sławę gospodarską.

Gdy Władysław wrócił około południa z miasta, pobiegłam przeciw niemu, chwaląc się porobionemi sprawunkami.

— I ja też mam dla ciebie pomyślną bardzo wiadomość, rzekł: Wchodząc do domu, spostrzegłem świeżo

wywieszoną na ścianie kartę, oznajmującą że dwa pokoiki od ogródka są właśnie do wynajęcia od świętego Jana. — Wstąpiłem z umysłu do gospodarza, i wraz obejrzałem mieszkanko, które mi się wcale podobało, zdaje się, że ciotka powinna być z niego zadowolona.

Klasnęłam w ręce z ukontentowania; ale w tej chwili przypomniało mi się, że ciotka wspomniała, iż chce koniecznie mieszkać blisko kościoła, aby mogła czy to w deszcz czy w słotę, być co dzień na Mszy Świętej do czego od dawna nawykła w Radomiu.

— Nie będzie nic z tego — rzekłam smutno. — Do Karmelitów trochę ztąd za daleko, a bliższego kościoła nie ma także w tej stronie. Ale wiesz co, Władziu, namówimy ojca, żeby chciał zamieszkać obok nas. Możemy się stołować razem, będzie mu więc i dogodniej i przyjemniej.

— Masz słuszność — odpowiedział Władysław, całując mnie tkliwie; wdzięczny był mi bowiem, za szczere przywiązanie jakie okazywałam dla jego ojca.

Władysław zasiadł do pracy, ja z mej strony krzątałam się koło domu, ustawiałam i przestawiałam sprzęty, chcąc wszystko, w jak najkorzystniejszem okazać świetle; zaglądałam raz po raz do biednej Kasi, która także zwijała się jak mogła, narzekając prawie ze łzami na brak miejsca w kuchni. Poprzestaliśmy w dniu tym na lekkim obiedzie, aby dać więcej czasu Kasi, do przygotowania wieczerzy. Dzień zbiegł jak mgnienie oka, i z radością ujrzałam nakoniec z okien jadalnego pokoju, słońce spuszczające się różowo po za rozłożyste konary kasztanów. Przypatrywałam się jeszcze ostatnim jego promieniom, które tak wdzięcznie igrać się zdały rozstrzelone po trawniku, gdy w tem turkot dał się słyszeć na ulicy. W tejże

chwili Władysław wbiegł do pokoju z rozjaśnioną twarzą, oznajmiając mi przybycie ojca i ciotki; wybiegliśmy oboje przed sień na ich powitanie. Kochana ciotka ledwie wysiadła z dorożki, tak była obładowana rozlicznemi koszyczkami, woreczkami i innemi pakiecikami, po większej części przeznaczonemi do zapomożenia mojego nowego gospodarstwa. Pomogliśmy jej znieść wszystko do jadalnego pokoju, któryśmy dla niej przeznaczyli czasowo. Powitanie nasze tkliwe było i serdeczne. Kasia z radością wybiegła także na powitanie dawnej swej pani.

Po kawie, którą natychmiast podano z wybornem ciastem, chcieliśmy oprowadzić dobrą ciotkę i ojca po mieszkaniu i pokazać im nasze bogactwa. Ojciec zdawał się być ze wszystkiego nadzwyczaj zadowolonym; chwalił dobry smak jaki okazałam w urządzeniu mego pokoiku.

— Dobrze, moje dzieci — mówił zacierając ręce z ukontentowaniem — starajcie się o to żeby wam było dobrze i przyjemnie w własnym domku, bo to wasz mały światek. Komu swój kąt nie zasmakuje, ten go też rad opuszcza, istnie jak ptak wędrowny, a z tego zawsze złe w końcu wyniknie. Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej: tak mówili ojcowie; starajmyż się o to usilnie żeby sobie o ile można uprzyjemnić własne ognisko.

— Byleby tylko nie wpaść w zbytki — przerwała ciotka. — Oj, toć przed laty nie znali ich, zaprawdę, ojcowie nasi, a jednakże każdemu dobrze było za swym progiem.

— Inne czasy, inne obyczaje — przerwał ojciec. — Z resztą prawdziwy rozum polega na tem, żeby się zawsze umieć trzymać średniej miary i nie wpadać w żadnego rodzaju ostateczności.

— Wszystko bez czego człowiek obejść się może, już jest zbytkiem — rzekła ciotka, ruszając ramionami, przypatrując się z uśmiechem statuetkom gipsowym, z których ja tak byłam dumną bo ślicznie odbijały na tle zielonej ściany.

— Przecież nie samym ciałem człowiek żyje—rzekł ojciec, który spostrzegł moje zapłonienie — i duch nasz ma swoje wymagania, i jemu potrzeba wspomnień i pamiątek, jak ciału powszedniego chleba.

— Tere fere kuku!—przerwała, śmiejąc się ciotka.— Mój szanowny kapitanie, schudłbyś podobno nie długo, żeby ci na obiad dano wspomnenia zamiast rosołu i żeby ci kazano podziwiać arcydzieła sztuki, zamiast posilenia cię kawałkiem sztuki mięsa.

Wszyscy rozśmieli się głośno, i ja z niemi, choć mnie dreszcz przechodził na myśl, że ciotka niewątpliwie zajrzy do kuchni, i za jednym rzutem oka dostrzeże czego w niej nie dostaje. Zatrzymywałam ją więc jak mogłam w moim pokoju i salonie, pragnąc szczerze odwlec jej kuchenne odwiedziny, aż do dnia następnego; umyśliłam zaś nazajutrz z rana posłać Kasię do miasta, za kupnem nieodbicie potrzebnych sprzętów. Nie dokazałam jednakże swego; podczas gdy ojciec przyglądał się rycinom przedstawiającym sceny z Mazepy, a ja mu przyświecałam, ciotka wysunęła mi się nieznacznie.

Jakiś cień przebiegł mi przed oczyma, gniewałam się sama na siebie, żem nie przewidziała wcześniej tego co nastąpiło. Znałam przecież ciotkę doskonale, wiedziałam, jak wiele wagi przywięzuje do praktycznej strony życia; wstyd mi jej było okropnie, a zresztą kochałam ją tak serdecznie, nie chciałam więc zasłużyć na jej naganę.

Jeszcześmy przeglądali ryciny z ojcem, który opowiadał nam szczegóły Bajronowskiego poematu, znanego mu w przekładzie, gdy ciotka wbiegła żywo do pokoju.

— Oj, Zosiu! Zosiu! — rzekła z uśmiechem — prawda, że masz swój pokoik urządzony jak cacko, ależ zgroza co się dzieje w kuchni! a toż to Kasia rozbija jajka w porcelanową salaterkę, bo jej zabrakło garnka, a srebrnym nożem sieka cebulę.

Ojciec uśmiechnął się nieznacznie. Władysław zagryzł usta, ja zapłoniłam się cała.

— Moja ciociu — rzekłam nieśmiało — nie miałam jeszcze dosyć czasu pomyśleć o wszystkiem.

— Nie tłomacz się, moje dziecko — odparła — usprawiedliwianie nic tu nie pomoże. Miałaś czas kupować niepotrzebne skorupy, byłby się znalazł i na kupienie garków. Pamiętaj tylko Zosiu że rządem stoją domy; nierząd pochłania i największe majątki.

— Przyjdzie to z czasem — przerwał ojciec. — Nie od razu Kraków zbudowany; trudno od młodych żądać rozwagi, bo ta bywa zwykle owocem doświadczenia.

— I ja przecież byłam młoda — rzekła ciotka, podnosząc w górę ramiona — a jednak wiedziałam zawsze o tem, że pożytek przedewszystkiem. Po co te romanse? — dodała, wskazując na rozstawione po stolikach graciki, to żal się Boże tracić czas, na pielęgnowanie i okurzanie tego, bo jużciż każdy przyzna, że pierwsza rzecz karmić żołądek, niżeli bawić oko.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu — odparł ojciec, zobaczysz pani z jaką Zosia wystąpi wieczerzą, już mnie w sieni zaleciał zapach doskonałej jakiejś potrawki.

— Widziałam ci ja — mówiła ciotka — jak się zwija Kasia nieboraczka, istnie mucha w ukropie, a nie ma się biedactwo gdzie rozłożyć, kuchnia cała zapchana gratami.

— Moja ciociu — rzekłam — trzeba przyjąć jak można, jużciż my nie mamy tyle dochodu żebyśmy mogli opłacać wielkie mieszkanie.

— Zapewne że nie — odparła ciotka — przecież nie dosyć myśleć o swoich wygodach, ale też trzeba wejść i w potrzeby drugich. Co do mnie wolałabym sama mieć mniej jednym salonem, a dać każdemu należyte pomieszczenie.

— Czyż ja mam aby jeden zbywający pokoik? — rzekłam — ot i Władysław potrzebowałby także oddzielnego kącika, a jednak pracuje chętnie w pokoju jadalnym.

— Bądź spokojna, moja Zoziu — rzekł ojciec, już się to wszystko ułoży, czekajmy tylko cierpliwie do jutra. Przy dniu rozpatrzę się lepiej w mieszkaniu, na wszystko musi być rada.

Dostrzegłam mały cień na czole Władysława; nie mieszał się wcale do rozmowy, ale był widocznie niezadowolony. Odgadłam że cierpi nad mojem upokorzeniem: zbliżyłam się więc do niego, uśmiechając się, i udając humor swobodny.

Ojciec tymczasem wprowadził ciotkę do drugiego pokoju i słyszałam z daleka, jak mówił do niej, że należy przedewszystkiem, mieć dla młodych pobłażanie i wyrozumienie.

— Ja tam nie umiem nic obwijać w bawełnę — odparła żywo ciotka — u mnie co w myśli to i w słowie;

takem nawykła od młodości, a teraz za stara jestem żeby się uczyć politykować.

Wybiegłam do kuchni, i wnet z lepszą miną wróciłam do jadalnej salki; a zamną Katarzyna wniosła ogromnego karpia, przyprawionego z szarym sosem, doskonale wysadzonym. Ustawiłyśmy obiedwie na stole całą wieczerzę: i makaron z parmezanem ulubioną ojca potrawę; i jabłka osmażane, i butelkę węgierskiego wina, i piwo owsiane; słowem zdało mi się że nic już nie pozostało do życzenia. Pobiegłam do saloniku, gdzie ciotka rozmawiała jeszcze z ojcem; z tryumfem wprowadziłam ich do jadalni i posadziłam przy stole. Ciotka rzuciła okiem do koła, uśmiechając się nieznacznie.

— Zosiu! zapomniałaś kochanko o chlebie — rzekła, dobywając tabakierkę z kieszeni.

— Zapłoniona pobiegłam do kuchni, ale niestety! chleba nie było w domu. Posłałam spiesznie stróża do miasta, który niebawem powrócił z bułkami; chleba bowiem nie mógł już dostać u najbliższego piekarza.

Ciotka jednak wstrzymała się na ten raz od wszelkich uwag, znać pokonana słowy ojca; chcąc mi nawet wynagrodzić zrządzoną poprzednio przykrość chwaliła wieczerzę, a co lepsza zajadała ją z wielkim smakiem. Wkrótce wesołość powróciła na czoła wszystkich; po wieczerzy ojciec zapalił fajkę, Władysław cygaro; pomimo strudzenia podróżą, gawędka trwała do północy.

Powiedzieliśmy ojcu o dwóch pokoikach do wynajęcia, obok nas; oboje z Władysławem przedstawiliśmy wymownie korzyści, jakieby, wyniknąć mogły ze wspólnego zamieszkania.

— Moje dzieci — rzekł na to ojciec — kocham was z całego serca, o czem pewien jestem że nie wątpicie; ale mieszkać z wami pod jednym dachem nie mogę. Mam przekonanie, że wzajemne przywiązanie nasze nic na oddaleniu nie straci. Możemy się i tak widywać prawie co dzień. Zdrów jestem Bogu dzięki, słota i niepogoda nie ustraszą mnie także, bom do nich nawykł od młodu. Każdy wiek ma swoje prawa, swoje odmienne przyjemności. Młodość i starość nie pogodzą się pospołu jak ogień z wodą, jeżeli będą ustawicznie obok siebie. Młody rad marzy o przyszłości, bo ta do niego należy; stary pociesza umysł rozważaniem przeszłości, która jest jedyną jego własnością! Człowiek słabym jest zaprawdę, mimo całej potęgi woli, kto wie, czybym niekiedy z uśmiechem politowania, nie patrzał na wasze zamki na lodzie; bo wiem z doświadczenia jak te na słabej posadzie budowane bywają; kto wie, czybyście i wy nie spojrzeli kiedy z litością na starego marudę, który dla tego, że sam wielokrotnie doznał w życiu zawodu, nie wszystkiemu dowierza, i mógłby snadno rzucić nie raz cień na waszą młodzieńczą wiarę w przyszłość i ślepe w niej zaufanie.

Daremnie dowodziliśmy oboje, że ojciec dalekim jest jeszcze od zgrzybiałości ducha, że niejeden młody mógłby od niego zaczerpnąć życia i energji, słowa nasze były daremne.

— Nie, drogie dzieci — odrzekł ojciec stanowczo. Biada małżonkom, gdy w pierwszych chwilach pożycia wmięsza się między nich ktoś trzeci, choćby i najbliższy krwią i sercem. Poznajcie się wprzód dokładnie, zbadajcie wasze usposobienia, zespolcie myśli, stańcie się jednym duchem, według słów Pisma świętego. Nim to nastąpi, obecność trzeciego drażniłaby was nieraz; maleńkie spo-

ry, bez których się i w najlepszem nie obejdzie małżeństwie, przy świadku nabierałyby znaczenia; obrażona miłość własna, równoważyłaby uczucie, które powinno być jedynym waszym przewodnikiem. Kiedyś, jak mnie wiek pochyli, a zgrzybiałe siły nie zdołają już sobie wystarczyć, przyjdę do was, usiądę u waszego ogniska, ale teraz jeszcze zawcześnie.

Gdy to mówił, zegar wybił godzinę dwunastą; ojciec powstał, pożegnał nas serdecznie — i odszedł do siebie, przyrzekając przyjść nazajutrz na kawę.

W dniu następnym zaspałam nieco dłużej. Zbudziwszy się ze snu powstałam śpiesznie, chcąc ciotce przyrządzić śniadanie; ale jakież było moje zdziwienie, gdy zajrzawszy ostrożnie do jadalnego pokoju, aby nie zbudzić śpiącej, ujrzałam mnóstwo garnków, garnuszków, rynek, misek i innych kuchennych sprzętów, rozstawionych na stole. Ciotka ubrana zupełnie, przyglądała się wszystkiemu szczegółowo. Wstała już bowiem od dwóch godzin, była na mszy świętej w kościele, potem zaś wraz z Katarzyną poszła na targ i zakupiła wszystkie niezbędne przedmioty, których brakło w moim domu.

Niezadługo przybył i ojciec; po śniadaniu obszedł do koła całe nasze mieszkanie, pomyślał chwilę — nareszcie zwołał ogólną radę i podał do roztrząśnienia wniosek, czyby nie można przedzielić przedpokoju, który był dosyć długi, szafami i parawanem. a połowę dotykającą kuchni, oddać Kasi na użytek. Z jadalnym pokojem radził też uczynić to samo, a część jego przeznaczyć wyłącznie dla Władysława na jego książki i papiery. Rada okazała się wyborną; ciotka przyklasnęła jej pierwsza, my oboje z Władysławem zabraliśmy się natychmiast do urzeczywistnienia pomysłu. W parę godzin potem, wszystko już

stało na miejscu, a każdy z nas, niewyłączając Katarzyny, rad był i zadowolony.

Reszta dnia zbiegła w najzupełniejszej zgodzie; ciotka nawet nie przyganiała niczemu; około południa poszliśmy wszyscy razem na nabożeństwo do Karmelitów, po obiedzie zaś pojechaliśmy do botanicznego ogrodu.

W poniedziałek, jako w dzień powszedni, każdy z nas zajął się właściwą sobie pracą. Co do mnie, wzięłam się naprzód do przeliczenia pozostałych pieniędzy, tak tych, które miałam od ciotki, jak i tych, które mi Władysław dał na wydatki domowe. Zadziwiłam się spostrzegłszy, że mi zaledwie kilkanaście złotych pozostało. Próżno łamałam sobie głowę, przypominając, na co je wydać mogłam — daremnie brałam się i do pióra, niepodobna było wyrachować dokładnie wszystkiego. Już nawet w myśli posądziłam Katarzynę. Ciotka spostrzegła mój kłopot, wypytała o przyczynę, a dowiedziawszy się o co idzie, nie rzekła ani słowa, ale zabrała się śpiesznie, poszła do miasta i wróciła przed obiadem z dosyć dużą paczką w ręku.

— Zgadnij Zosiu com ci przyniosła najpotrzebniejszego na nowe gospodarstwo — zapytała mnie, ukazując z daleka pakiecik.

— Nie wiem moja ciociu — odpowiedziałam. Z twojej łaski mam już wszystkiego aż do zbytku.

— To jakaś książka — rzekł ojciec, który siedział z fajką pod oknem — tak wnoszę po formie i wielkości paczki.

— Zgadłeś kapitanie, ale jaka? — rzecze ciotka:

Wyliczaliśmy z ojcem po kolei nowe dzieła, za wymienieniem każdego, ciotka wznosiła w górę ramiona.

— Romanse! —odparła—romanse! ja się tam w takie rzeczy nie wdaję, po co młodym zawracać głowę do

reszty. Oto masz książkę do rachunków, moja Zosiu, pamiętaj zapisywać w niej każdy grosz wydany, i to najściślej, — a nie jedna korzyść wypłynie ztąd dla ciebie. Najprzód nie będziesz obwiniać drugich bez powodu, i samą nieufnością naprowadzać ich na złą drogę, a potem przejrzawszy co sobota tygodniowe rachunki, zastanowisz się nie raz, że bez nie jednej kupionej rzeczy, można się było zupełnie obejść. W waszem zwłaszcza położeniu, oszczędność jest ważną zaletą, z niej to wypływa niezależność! Zresztą miło człowiekowi, gdy czuje, że jest panem siebie, że nie potrzebuje koniecznie ulegać chwilowym chęciom, ale potrafi je rządzić i ograniczać rozumem. Rachuj więc moja Zosiu; rachunek jest główną podstawą, na której się opiera rzeczywiste życie nasze.

Z wdzięcznością odebrałam książkę z rąk ciotki, lubo jeśli mam prawdę wyznać, nie przywiązywałam tak wiele do rachunków znaczenia; przyrzekłam jednak, że ściśle będę się stosować do jej rad i napomnień.

Przed wieczorem ojciec przyniósł mi taką samą książkę, tylko większej jeszcze objętości.

— Moje dziecię — rzekł — ciotka zaleciła ci i słusznie potrzebę rachowania się z wydawanych pieniędzy. W twoim wieku trudno zaprawdę pojąć całą ważność rachunków, z czasem ocenisz ją lepiej.

Co do mnie dodam tylko, że jeżeli jest obowiązkiem obliczać potrzeby nasze i wydatki, służące wyłącznie do utrzymania ciała; niemniej jest pożytecznie, zdawać sobie nieustannie sprawę z wrażeń naszych i uczuć. Każdy niemal dzień ubiegły, dorzuca kłos do bogatego plonu doświadczenia, który człowiek zbiera w ciągu życia. Ileż to jednak wrażeń przesunie się bez żadnego dla nas pożytku; gdy tym czasem inaczejby było, gdybyśmy sobie z nich

zdać musieli rachunek. Zapisuj więc moje dziecię w tej książce nie tylko ważne wypadki; tych mało jest w życiu; ale każdą myśl, każde doznane uczucie, wszystko co silniej dotknie twą duszę, co obudzi wyobraźnię, co ogrzeje serce, słowem co pamiętać warto. Przeglądając często ów pamiętnik, unikniesz nie raz błędu, którego gorzkie owoce znane ci już będą z doświadczenia; a kiedyś będzie to droga pamiątka dla twych dzieci, jeżeli je mieć będziesz z łaski Boga.

Ucałowałam z uczuciem rękę ojca, bo słowa jego, trafiły głęboko do mej duszy i postanowiłam trzymać się ściśle jego rady. Jemu to więc winna jestem myśl prowadzenia „Pamiętnika rodzinnego.“

Ciotka moja przyzwyczajona do systematycznego i jednostajnego układu życia, wreszcie nawykła objawiać zawsze własną myśl, znajdowała co chwila powód do nowych strofowań i uwag, nudnych cokolwiek, bo zbyt często powtarzanych. Co do mnie, znałam ją dobrze; umiałam więc przebaczać maleńkie słabości, przez wzgląd na złote jej serce, zupełne o sobie zapomnienie w każdej chwili życia, a gotowość poświęcenia się zawsze dla drugich. Władysław jednak nie miał tego wyrozumienia. Unikał on wprawdzie wszelkich sporów, ale uważałam zawsze, cień przebiegający po jego czole, ilekroć ciotka znalazła w czemkolwiek powód do nagany. Stał się w końcu milczący i pochmurzony, co mi było nadzwyczaj bolesnem. Ciotka też instynktowo odgadła powód złego humoru Władysława, stała się więc bardziej niż kiedy cierpką, a nawet przebąknęła parę razy, że woli nadal pozostać w Radomiu, aniżeli przeprowadzać się do Warszawy. Ciężko mi było na sercu; pamiętałam bowiem, ile trudów i zabiegów kosztowało biedną ciotkę wycho-

wanie moje od kolebki; wspominałam w duszy niezliczone dowody jej głębokiego do mnie przywiązania. Kto ją dojrzy w chorobie? pomyślałam, kto pocieszy w zmartwieniu? kto osłodzi przykrości nieodłączne od późnego wieku, gdy mnie przy niej nie będzie? Nie wyrzekłam wprawdzie ani słowa, ale znać było widocznie niepokój i troskę na mem czole.

Jednego dnia, gdy te domowe kwasy do wyższego niż zwykle doszły stopnia, zeszedł nas z nienacka ojciec, zachmurzonych i milczących, ciotka siedziała w oknie z pończochą w ręku, przebierając szybko palcami druty i dobywając co chwila z kieszeni tabakę, co było u niej zwykłym dowodem złego humoru, ja szyłam przy stoliku; Władysław chodził szybkim krokiem po przyległym pokoju i wypuszczał z ust grubemi kłębami dym cygara, ktore palił. Nieukontentowanie wzajemne nie uszło bystrego wzroku ojca; po chwili namysłu nakłonił Władysława aby z nim poszedł na przechadzkę. Ja z ciotką poszłyśmy także z odwiedzinami, do jednej z dalekich jej krewnych; późno wieczorem dopiero zeszliśmy się w domu na herbatę.

Zdziwienie moje było wielkie, gdym spostrzegła zmianę humoru Władysława. Czoło jego było rozjaśnione, mówił więcej niż zazwyczaj, dla ciotki szczególniej okazywał się bacznym i względnym, przyniósł jej sam stołeczek pod nogi, podczas gdyśmy siedzieli przy herbacie, nakarmił mlekiem jej ulubionego mopsa Fidlusia, słowem, odmiana była widoczna. Spostrzegła to ciotka, to też uważałam jak udając się na spoczynek, pocałowała z uczuciem Władysława w czoło, a potem zażywając niby tabakę, otarła nieznacznie łzę z oka.

Nazajutrz najdoskonalsza panowała harmonja, ciotka nie gderała bynajmniej, Władysław ze swej strony był dla niej uprzedzającym. Przed wieczorem, stosownie do woli ciotki, poszliśmy wszyscy wraz z ojcem na Leszno, przepatrzeć porozwieszane karty i wynaleźć właściwe mieszkanie. Wybornie się powiodło; znaleźliśmy bowiem dwa pokoiki na dole, obok kościoła Karmelitów, na które daliśmy zadatek bez namysłu.

Gdyśmy się wieczorem rozeszli wszyscy, podziękowałam z uczuciem Władysławowi za jego dobroć i wyrozumienie.

— Nie moja w tem zasługa Zosiu — odparł mąż całując mnie w rękę — podziękuj raczej ojcu. On mi otworzył oczy, on mnie przekonał jak wiele wyrozumienia i pobłażania mieć winniśmy dla podeszłego wieku.

— Niech cię nie dziwi mój kochany—rzekł ojciec— że starość bywa samowolną i chciwą panowania. Człowiek stary ocenia niekiedy nad miarę bogaty zasób doświadczenia, jaki zdobył nie małym kosztem, w codziennych trudach i walce, a jeżeli niekiedy chmura zasępi mu czoło, jeżeli w wyrazach jego przebija cierpkość, trudnoż mu się i dziwić! nie zawsze można zachować swobodę, gdy krew krzepnie zwolna w żyłach naszych, gdy przyszłość nic już nie wskazuje nam na ziemi, a w przeszłości spostrzegamy tylko długie pasmo cierpień i zawodów. Nie przeczę, że obowiązkiem starych jest pobłażać błędom młodości, ale z drugiej strony i młodzi winni przebaczać wady tym, którzy ich poprzedzili na ciężkiej drodze życia.

— I cóż mam czynić ojcze? — odparłem — toć ja unikam wszelkiego sporu, ale czyż można panować wiecznie nad każdem poruszeniem twarzy, i okazywać zadowolenie gdym zmęczony i znudzony.

— Można i trzeba — odparł ojciec — życie ciągłą jest walką, ciągłem poświęceniem, pokonaj się raz synu, złam pierwsze lody, a wnet wszelki przymus snadniejszym ci się wyda. Zresztą wiesz ty, jakim najpewniejszym sposobem zmienisz nieprzychylnych, w najgorliwszych przyjaciół? Oto, wyrządź im z serca jaką taką przysługę. Miej ku drugim dobrą wolę, strzeż się zbytecznej drażliwości, poskramiaj miłość własną, kochaj drugich tak jak siebie, a będziesz w zgodzie nie tylko z wszystkiemi, ale co większa z samym sobą, i zdobędziesz w duszy własnej spokój, który jest niewątpliwie najwyższym darem Boga.

— Słuchajmy ojca — zawołałam biorąc rękę Władysława — to nasza widoczna Opatrzność. Przy takim przewodniku, bylibyśmy ciężko odpowiedzialni, za każdy fałszywy krok postawiony na drodze życia.

W kilka dni potem odjechała ciotka do Radomia. Odprowadziliśmy ją wszyscy na pocztę, pożegnanie było serdeczne, i nie obyło się bez wspólnych łez, lubo przyrzekła nam uroczyście, przybyć za dwa miesiące na stałe mieszkanie do Warszawy.

Przez ciąg pobytu ciotki, mało kiedy byliśmy sami z Władysławem. Poranki schodziły mu na obowiązkowej pracy. Na obiad przychodził zwykle ojciec i bawił do wieczora. Chcąc poświęcić kilka godzin swobodnej pogadance, ułożyliśmy sobie z mężem, że w pierwszą niedzielę po wyjeździe ciotki, udamy się na daleką przechadzkę za miasto. Obraliśmy Wierzbno jako miejsce wolne od miejskiego gwaru. Ojciec wiedział o naszym zamiarze; nie miał nam jednak towarzyszyć.

Nadeszła owa upragniona niedziela. Poszliśmy do kościoła wcześniej niż zazwyczaj, a potem wróciliśmy na chwilę do domu, aby zabrać z sobą jaką małą przekąskę.

Już byliśmy ubrani do drogi, gdy wtem dzwonek odezwał się w przedpokoju. Spojrzeliśmy na siebie oboje, nie radzi z natrętnego gościa, który nam przerywał zamierzoną uciechę.

Wtem ojciec ukazał się we drzwiach pokoju. Rada nie rada chciałam już zdjąć kapelusz; ale ojciec zapewnił, że przyszedł tylko prosić mnie o pożyczenie poezyj Brodzińskiego, które odczytać pragnął. Miałam jednak podejrzenie, że widząc gromadzące się na niebie obłoki, ojciec przyszedł do nas na cały dzień, w przekonaniu, że zaniechamy powziętego zamiaru. Władysław przewidywał toż samo, aleśmy oboje zachowali dla siebie wspólne wnioski. Ojciec odszedł i my też puściliśmy się w drogę. Dojechawszy dorożką do rogatek, poszliśmy dalej piechotą. Czas z posępnego stał się prześliczny. Słońce wyjrzawszy z po za chmur ozłociło obszerne pola zasłane majowym kobiercem; powiew ranny kołysał gałęzie lip rozsadzonych po obu stronach drogi, i rzeźwił powietrze przejęte wiosennem ciepłem. Jednak, rzecz dziwna! w duszy naszej nie było wcale swobody o jakiej marzyliśmy od dni kilku. Przyszedłszy na miejsce, zasiedliśmy w cieniu, pragnąc rozpocząć kilkakrotnie rozmowę. Ale ta urywała się co chwila; znać, że każde z nas żywiło w duszy myśl tajemną, do której trudno się przyznać było. Obeszliśmy ogród do koła, ale ani piękność miejsca, ani majowa pogoda, nie zdołały nas rozerwać. Wszystko to, o czem zaczynaliśmy mówić, wydawało nam się znane i już do dna wyczerpane. Jeszcze słońce było wysoko na niebie, gdyśmy powstali z miejsca, wyszli z ogrodu i udali się drogą ku miastu, smutni i wcale niezadowoleni z siebie.

— I cóż Zosiu, czy cię nogi bolą? — zapytał Władysław, gdyśmy dochodzili, do Aleksandryjskiego kościoła.

— Nie, nie bolą — odparłam — ale mi ciężko na sercu.

— A to czemu? — rzekł z współczuciem.

— Bo dla własnej przyjemności poświęciliśmy przyjemność drugich — i, rzekłam ściskając jego rękę — nie uczynimy już tego nigdy, nieprawdaż?

— Nigdy, nigdy moja Zosiu — rzekł Władysław. Człowiek wtedy tylko jest zdolnym do serdecznej radości, gdy ma przekonanie, że spełnił co do niego należy; inaczej sama zabawa staje mu się nieznośną.

Po wzajemnem wyznaniu, z lżejszem już sercem, przyśpieszyliśmy kroku i w pół godziny potem zaszliśmy na ulicę Solną. Ojciec oczekiwał nas w domu. Wyznaliśmy mu dobrowolnie naszą winę i bolesne ztąd wyrzuty. Dobry ojciec śmiał się z nas, nazywając dziecinnemi nasze zbytnie skrupuły i na pół z żalem, na pół z radością widziałam jak ocierał nieznacznie łzę z oka, tuląc nas oboje do piersi z głębokiem i serdecznem uczuciem. Dobroć jego, silniej nas jeszcze utrzymywała w powziętem postanowieniu.

ROZDZIAŁ II.

Ogródek. — Znajomi. — Przyjaciel.

Nadszedł czerwiec, pod oknem jadalnego pokoju w ogródku, rozwinęło się mnóstwo róż, powietrze pełne było miłej ich woni. Z żalem patrzałam na brzozową ławeczkę pod kasztanem, na której siedziała niekiedy z robotą w ręku, właścicielka domu. Na trzech niewielkich drzewkach płoniły się dojrzewające wiśnie, utulone wśród zielonych gałęzi. Kwitnące akacye spuszczały wdzięcznie wonne kiście ku ziemi, rumiane truskawki nęciły oko, słowem, ogródek stawał się coraz bardziej celem najmilszych moich marzeń. Domyślał się tego Władysław i więcej zapewne odemnie cierpiał, iż nie może sprawić mi uciechy.

Jednego wieczoru oczekując na męża, siedziałam z robotą przy otwartem oknie, i raz po raz zwracałam oko na różowe chmurki, przebiegające po nad zielonemi gałęziami rozłożystych kasztanów. Władysław wszedł do pokoju i spostrzegł moje zadumanie. Książka z rachunkami leżała przy mnie na stoliku, wziął ją w rękę, długo przeglądał ją i obliczał coś w myśli.

— Zosiu! droga Zosiu!— zawołał wreszcie klaszcząc w ręce z wyrazem zadowolenia — ciesz się kochanie, powiem ci dobrą nowinę.

— I cóż takiego? — zapytałam ciekawie.

— Będziemy mieli ogródek.

— Prosiłam cię już mój Władziu — odparłam stanowczo — żebyś teraz o tem nie myślał daremnie, wszakżeś mi to sam przyrzekł.

— Będziemy mieli ogródek, bez nadwerężenia w niczem naszych potrzeb — dodał — jak cię kocham Zosiu, ogródek nasz od jutra.

— A toż jakim sposobem?

— Patrz oto, moje życie, w przeciągu czerwca wypaliłem cygar i tytuniu za dwadzieścia złotych, zdaje mi się przecie, że wspólna przyjemność nasza warta, aby dla niej poświęcić niepotrzebne nawyknienia.

— Ależ mój drogi, tyś się do tego tak przyzwyczaił.

— To się i odzwyczaję, także to ty mało oceniasz siłę mojej woli, żeby nawyknienie miało brać nad nią górę.

To mówiąc Władysław uścisnął mnie, wziął za kapelusz i wyszedł z pokoju. W parę minut potem, widziałam przez okno, jak go nasza gospodyni oprowadzała po ogródku i wskazywała pojedyńczo znane dobrze skarby, na które tak chciwem poglądałam nieraz okiem.

Za chwilę Władysław powrócił.

— Zosiu, zabieraj się — rzekł — wypijemy herbatę w ogródku. Właścicielka tak grzeczna, że go nam natychmiast oddaje w posiadanie, nie czekając Świętego Jana.

Wybiegłam śpiesznie, obeszłam kilkakrotnie ogródek, zwracając uwagę na każdy szczegół z osobna. Zerwałam kilka róż, przypięłam je do włosów, a uszczęśliwiona pomagałam Katarzynie przenosić po jednemu przy-

rządy do herbaty, chcąc zadziwić niespodzianie ojca, który miał nadejść jak zwykle.

Już wszystko było przygotowane na stoliku przed kasztanem, gdy się odezwał dzwonek; pobiegłam naprzeciw ojca i w tryumfie przyprowadziłam go pod kasztan i posadziłam na ławeczce, opowiadając o poświęceniu Władysława.

Ojciec słuchał mnie z uśmiechem szczerego zadowolenia.

— Dobrze Władysławie — rzekł — ucz się zawsze przekładać przyjemność drugich nad własną, a wewnętrzna pociecha jakiej ztąd doznasz, wynagrodzi ci stokrotnie to małe poświęcenie.

Po herbacie oprowadziliśmy ojca po ogródku, podając mu nasze plany, co do nowych ulepszeń.

— Moje dzieci — rzekł na to ojciec — cieszę się zarówno z wami, raz z waszej przyjemności, a potem z korzyści, jaka ztąd na was spłynie. Wierzcie mi, żadna praca tak nie uszlachetnia człowieka, jak praca około ziemi. Zetknięcie bezpośrednie z przyrodą podnosi umysł i serce ku Bogu, jako ku Stwórcy wszystkiego. Samo nawet utrudzenie nadaje zdrowie ciału i uspokaja ducha. Dla człowieka zastanawiającego się, co za uciecha widzieć na wiosnę drzewa, kwiaty i zioła, budzące się zwolna z zimowego uśpienia i wznoszące jakby na dziękczynienie, zielone łodygi ku niebu! A potem jakaż tu co chwila nauka? jaka zachęta? Zaledwie rzucisz w ziemię drobne ziarnko, a Pan Bóg błyśnie słońcem i ześle z nieba rosę, zaraz i ziarnko kiełkuje i wnet rozrasta się w liście i kwiaty, a ty cieszysz się patrząc na owoc twojej pracy i mimowoli korzysz się przed Bogiem, dziękując za współudział, bo bez rosy i słońca w niweczby poszły twoje trudy.

Słuchaliśmy ojca z pochyloną głową w milczeniu, trzymając się oboje za ręce. W duszy naszej coraz było jaśniej, czuliśmy jakąś dziwną, nieznaną dotąd pociechę, jakby nowa strona życia otworzyła się przed nami. Oczy nasze mimowoli zwróciły się ku niebu, na którem nie było żadnej chmurki. Słońce tymczasem zachodziło w całym majestacie za pobliskie dachy, rzucając na nas odblask różowy. Spojrzeliśmy na ojca: oko jego wlepione w niebo jaśniało słodyczą, wiatr rozwiewał posiwiałe i rzadkie jego włosy, a w znaczących rysach oblicza, na których czas wypiętnował liczne ślady, niezrównany odbijał spokój. Ukorzyliśmy się przed człowiekiem, który przetrwawszy burze życia, zawijał swobodnie ku przystani, którego duch wzniósł się już stanowczo ku niebiosom, podczas gdy ciało spełniało jeszcze warunki bytu swego na ziemi.

Słońce tymczasem zaszło zwolna, wkrótce i ostatnie zorze zagasły, a księżyc w pełni wypłynął na niebo, otoczony miljonem gwiazd. Gwar miasta ucichł, słowik odezwał się ukryty w krzaku czeremchy, a pokój i swoboda panujące w przestrzeni, spłynęły i w dusze nasze i napełniły je niepojętem szczęściem i miłością.

Nazajutrz wstałam równo ze dniem, pobiegłam do ogródka, powyrywałam zielsko, które go zarastać poczynało. Władysław ułatwiwszy się ze zwykłą pracą, poszedł do Ulrycha, przyniósł mi flanców kwiatowych i rozlicznych nasion. W parę dni potem, ogródek obsiany, oczyszczony, nową przybrał postać. Dnie całe trawiłam pod kasztanem i czas schodził mi śpieszniej jeszcze i milej niż poprzednio.

Mało dotąd mieliśmy stosunków z ludźmi. Szczęśliwi z sobą, nie szukaliśmy wcale obcych. Mimo to jednak

niepodobna było zerwać zupełnie związków ze światem. Jakkolwiek mało wychodziliśmy z domu, zmuszeni jednak byliśmy przyjmować od czasu do czasu nudne odwiedziny pewnych osób. Między innemi, najczęściej przychodzili do nas wieczorem trzej dawni znajomi ojca na wista lub pogawędkę. Byli to ludzie, którzy całe życie przeżyli przykuci do wyłącznego zawodu; to też zdawało się, że dusza ich jedyny tylko wydać umie oddźwięk, nastrajana będąc przez pół wieku do jednego tonu. Jeden z nich był dymissyonowanym majorem. Służył niegdyś w wojsku wraz z ojcem, i z nim przebiegł Europę wzdłuż i w poprzek. Napoleon był jego bożyszczem, trudy obozowe całą przeszłością jaką zapamiętał z ciągu długiego życia. Lubił opowiadać rozliczne przygody burzliwego swego zawodu, a o czemkolwiek rozpocząć było rozmowę, musiał nieznacznie dojść do Saragossy, Somo-Sierra, Lipska lub Waterloo. Zrazu bawiły nas jego opowieści, wkrótce jednak opowiadane bez końca, znudziły mnie serdecznie. Całem obecnie zajęciem majora było czytanie rozlicznych pamiętników z napoleońskiej epoki. Ilekroć przeczytał jakąś sprzeczność lub nieprawdę, przybiegał do ojca z gniewem, rzucał na obecnych Francuzów najdobitniejsze klątwy, które dobywał z obozowego słownika zachowanego wiernie w pamięci, oburzał się na powszechną niewdzięczność ku temu, który szeroko po świecie rozniósł chwałę Francyi. Oprócz czytania, major zajmował się hodowaniem kanarków, które uczył na pozytywce śpiewać znaną piosnkę: *Partant pour la Syrie.*

Drugim z naszych znajomych był stary emeryt, niegdyś urzędnik, którego tytułowano powszechnie radcą. Przywykły od młodości do jednostajnych biurowych zatrudnień, w każdej chwili życia radził się zegarka, nieod-

stępnego swego towarzysza. Nie czuł on nigdy potrzeby snu ani posiłku, dopóki mu skazówka nie naznaczyła przeznaczonej na to godziny. Wdowiec od lat młodych, nie ożenił się powtórnie dla tego tylko, aby nie być zmuszonym do odstąpienia niekiedy od przyjętego trybu życia. Wstawał codziennie o tejże samej godzinie, chodził na kawę do jednej kawiarni od lat przynajmniej trzydziestu. Przechadzał się około południa po Saskim ogrodzie, w deszcz czy pogodę zarówno jadł obiad u Rozengarta, siadając wiecznie na temże samem miejscu przy stole. Po obiedzie pijał zazwyczaj czarną kawę i czytywał francuzkie gazety u Juwenowej, zkąd wychodził w lecie na przechadzkę, zimą zaś na codziennego wista i herbatę do znajomych domów i to pilnując się nieodmiennej kolei. Raz w tydzień przyjmował znajomych u siebie. Słowem radca, był uosobionym zegarkiem.

Trzecim nakoniec z naszych zwykłych gości był stary profesor historyi naturalnej, także emeryt. Jego wyłącznem zajęciem było hodowanie kwiatów i roślin, w ogródku obejmującym dwadzieścia łokci kwadratowych. Zbierał nadto z upodobaniem muszki, pająki, chrząszcze i motyle, których najciekawsze egzemplarze osadzał na szpilkach i ubierał niemi wszystkie ściany swego mieszkania. Lubił grać w wista, jednak porzucał karty odkrywając grę, jeżeli przypadkiem dostrzegł ćmę krążącą około świecy. Tym sposobem stracił przed kilku laty szlema, czego mu nigdy radca przebaczyć nie mógł; przypominając ową okoliczność, ile razy po temu zdarzyła się pora.

W takiem to kółku spędzaliśmy najczęściej wieczory. W miarę jak się Warszawa za nadejściem lata wyludniać poczęła, znajomi nasi odwiedzali nas częściej. Ze strachem nie raz patrzałam na skazówkę od zegarka zbliża-

jącą się do siódmej, bo o tej godzinie odzywał się co parę dni dzwonek w przedpokoju i ukazywała się we drzwiach pargaminowa twarz radcy, a niebawem za nim schodzili się i dwaj inni wistowi koledzy.

Raz wieczorem siedzieliśmy w ogródku przy herbacie. Nie było nikogo oprócz ojca. Dzięki Bogu — odezwał się Władysław — że dziś przynajmniej jesteśmy sami. Nieznośne rzeczy słuchać wiecznie i wiecznie oklepanych dykteryjek, których już oddawna nauczyłem się na pamięć. Ledwie który z tych panów otworzy usta, już wiem naprzód co dalej ma powiedzieć, a to istna męczarnia pożycie z ludźmi, którzy nie sięgną okiem nad koniec swego nosa. Z ich towarzystwa nie przyjdzie nic ani dla serca, ani dla rozumu.

— Mylisz się mój synu — odpowiedział ojciec. Byleby człowiek chciał, od każdego może zaczerpnąć coś na własny pożytek. Nasz profesor udzielił Zosi nie jednej pożytecznej rady co do hodowania kwiatów. Major obznajomił was z wypadkami ostatnich czasów, od radcy można uczyć się akuratności, która w pewnym względzie jest koniecznie potrzebną w układzie codziennego życia.

— Prawda ojcze — przerwał Władysław — ale to wszystko jużeśmy do dna wyczerpnęli, i pewien jestem, że z towarzystwa tych panów nic więcej nie skorzystamy nad to, co nam się dotąd wydobyć z nich udało.

— Chcesz-że więc mój synu — odparł ojciec — uważać człowieka jak cytrynę, którą wyciskasz dotąd, póki w niej zostaje odrobina soku, a potem wyrzucasz jako rzecz nieużyteczną. Nie, mój kochany, jeżeliśmy cokolwiek skorzystali od ludzi, a od kogóż się człowiek nie uczy? winni jesteśmy im wdzięczność i pobłażanie ich ma-

łym błędom i słabościom. Nie znajdziemy zapewne w towarzystwie zwyczajnych znajomych, owego zadowolenia serca i pokrzepienia ducha, które nam tylko prawdziwy przyjaciel dać może, ale i ci uprzyjemnią nam życie jeżeli tylko zachowamy dobrą wolę we wzajemnych z niemi stosunkach. Zresztą, nie jest-że obowiązkiem naszym oceniać zasługi, jakie każdy z tych położył w ciągu życia na ołtarzu powszechnego dobra? Zacny profesor uczył z zapałem młodzież jak wielbić Boga w drobnych tworach jego ręki. Major krwią swoją oblał dalekie pola i rozniósł po świecie sławę własnego narodu. Radca, czuwał z niezmordowaną gorliwością nad powszechnym porządkiem i bezpieczeństwem; mają więc wszyscy trzej niezaprzeczone prawa do naszej wdzięczności, a przez wzgląd na ich rzeczywiste zasługi, powinniśmy przez szpary patrzeć na maleńkie wady, pochodzące z ich jednostronnego na świat poglądu. Nie każdego Pan Bóg stworzył orłem, nie każdemu dał skrzydła, aby krążąc w przestrzeni, objąć mógł jednym oka rzutem rozliczne ścieżki żywota. Zachowujmy więc cześć i uwielbienie dla orłów, ale szanujmy niemniej pracowite mrówki, które snując się w cieniu własnego mrowiska, pracują przecież bez przerwy na ogólną korzyść.

Uznaliśmy oboje z Władysławem słuszność słów ojcowskich, i przyrzekliśmy sobie w milczeniu korzystać z jego napomnień. Nazajutrz po owej rozmowie, przyszli jak zwykle nasi znajomi na herbatę; przyjęliśmy ich z uśmiechem zadowolenia. Władysław wypytywał majora o wypadki odbytych kampanij, i jak sam potem wyznał, słuchając go z uwagą i badając ciekawie, dowiedział się od niego wielu ważnych szczegółów. Ja z mej strony ukazałam profesorowi wschodzące kwiatki; on zaś oświe-

cił mnie dokładnie, które z nich więcej, które mniej potrzebują wilgoci, które zasłaniać należy od słońca, które wystawiać na większe jego działanie. Słowem, wszyscy byliśmy radzi z siebie, a ojciec paląc fajkę, uśmiechał się, patrząc na nas z dziwnem zadowoleniem.

Dzięki ojcu, widnokrąg życia naszego rozjaśniał się coraz bardziej, lekkie chmurki, które go zrazu kiedyniekiedy ćmiły, ustępowały zwolna, lub też ozłocone, że tak powiem, promykiem wewnętrznego naszego szczęścia, nabierały coraz wdzięczniejsze barwy.

— Teraz nic nam już nie braknie — rzekł raz Władysław wobec ojca — nie pojmuję nawet czy może być wyższe na ziemi szczęście nad to, jakiego używamy obecnie.

— Brakuje ci jeszcze — rzecze ojciec — przyjaciela, któremubyś mógł wynurzyć myśl swoją, który potrafiłby podzielić z tobę młodzieńcze marzenia i nadzieje, w którym mógłbyś znaleźć radę i pomoc tak w dobrej, jak i złej doli.

— Ojcze! — rzekł Władysław — czyliż nie jesteś najlepszym przewodnikiem moim, czyliż słuchając cię bezwarunkowo, mogę postawić stopę na błędnej drodze? Czyliż w twojem sercu nie znajduję niewyczerpanego źródła dobroci i pobłażania?

— Tak mój kochany — rzekł ojciec — ależ ja mogę tylko czuwać nad tobą i chronić cię od szkody. mogę powściągać zbyteczny niekiedy twój zapał, i miarkować go wpływem chłodnej rozwagi, zdobytej doświadczeniem. Przyjaciel tylko i to przyjaciel w sile męzkiego wieku, może rozniecić w szlachetny płomień iskrę tlejącą w twej piersi. On tylko może cię pobudzić do chlubnego współzawodnictwa, on tylko wprowadzi myśl twoją w świat no-

wy, nieznany ci dotąd, do którego ja wznieść się już nie zdołam, bo ciężar lat gniecie mnie już ku ziemi.

— I gdzież szukać takiego przyjaciela? — zagadnął Władysław z promieniejącem okiem.

— Czekaj mój kochany, Bóg ci go sam zeszle, nie szukaj go usilnie, bo byś mógł doznać zawodu, ale Opatrzność, która czuwa nad tobą jak i nad każdym, da ci go nieomylnie. Ufaj zatem i bądź cierpliwy.

Władysław poprzestał na tem zaspokojony słowy ojca, którego przepowiednia spełniła się też niebawem.

W tymże samym domu co i my, mieszkała młoda jeszcze rodzina, złożona z męża, żony i małej, dwuletniej córeczki. Zajmowali oni parę pokoików po drugiej stronie sieni. Spotykaliśmy się niekiedy, ale tak oni jak i my, nie byliśmy skorzy do zawierania wzajemnej znajomości. Zastanawiało mnie to, że w ich mieszkaniu zawsze nadzwyczajna panowała cichość. Rzadko kiedy kto ich odwiedził, oni sami nie opuszczali nigdy domu bez przyczyny. W poranku tylko mąż wychodził do biura, żona na targ z kucharką. Zresztą nigdy ich prawie ujrzeć nie było można, chyba w pogodny dzień młoda matka wyprowadzała córeczkę na przechadzkę i niezadługo wracała z nią do domu. Nie była ona piękną, przecież w rysach jej miły panował wyraz. Oko błękitne jaśniało niezmąconym spokojem, na ustach spoczywał łagodny uśmiech. Każde jej poruszenie pełne było wrodzonego wdzięku, który zwykł zapowiadać piękną duszę. Mąż niemniej znaczącą miał powierzchowność. Twarz jego blada i ogorzała, czoło przedwcześnie porysowane zmarszczkami, nacechowane się zdały niepospolitem piętnem; plecy okrągłe i pochylone dowodziły nawyknienia do piśmiennej pracy, wzrok roztargniony zapowiadał wyraźnie, że

myśl jego mało zwracając się na zewnętrzne przedmioty, ścigała nieustannie własny swój wątek. Byli zapewne ubodzy, znać to było z ich skromnej nadzwyczaj odzieży; nie wstydzili się jednak ubóstwa, ale znosili je z godnością i powagą. Nigdy nie dostrzegłam w ubiorze młodej kobiety żadnego przypstrzenia bijącego w oczy, wszystko na niej, zacząwszy od kapelusza aż do obuwia, proste było lecz chędogie i zręczne. Słowem powierzchowność obojga mile wpadała w oko, nie znaliśmy ich jednak, i nie było sposobności do rychłego między nami zbliżenia.

Traf jednakże zrządził inaczej. Raz porankiem siedziałam jak zwykle pod kasztanem, zajęta robotą, miałam właśnie w dniu tym miłą niespodziankę; przyszedłszy bowiem do ogródka, zastałam rozwinięte białe lilje, które należą do najulubieńszych moich kwiatów. Patrzałam z rozkoszą siedząc opodal, jak powiew ranny kołysał je na długich łodygach, a za każdem poruszeniem woń cudowną roznosił w około. Wtem dosłyszałam odgłos dzwonka w przedpokoju, domyśliłam się, że to Władysław, pobiegłam więc śpiesznie ku niemu, chcąc go sprowadzić do ogródka, aby wraz ze mną podzielił radość z rozwinięcia się pięknych lilij. Władysław tymczasem miał coś ważnego do napisania w swoim pokoju, udałam się więc za nim; a za chwilę, oboje prowadząc się pod ręce poszliśmy do ogródka, którego furtkę zostawiłam uchyloną. Ale jakież było nasze zadziwienie i żal, gdyśmy spostrzegli zdaleka małą Joasię, córeczkę naszych sąsiadów, trzymającą w rączce oberwane świeżo lilije. Wysokie łodygi sterczały nagie i ogołocone z kwiatów. Zaledwie żem się nie rozpłakała, wstyd jedynie wstrzymywał mnie od tego.

W tejże chwili ukazała się w furtce młoda matka Joasi. Na twarzy jej dziwne widać było pomięszanie; za-

łamała ręce z boleścią, spostrzegłszy wyrządzoną mi szkodę. Przeprosiła mnie serdecznie za córkę, a w każdem jej słowie tyle było wdzięku i godności, w obejściu taka uprzejmość i prostota, że mnie prawdziwie ujęła za serce. Wzięłam na ręce dziewczynkę, ucałowałam ją z uczuciem.

— Już tego nigdy nie zrobię — mówiła dziecina tuląc nieśmiało główkę do mego ramienia.

— Dobrze aniołku — rzekłam — a za to poproszę mamy to ci częściej pozwoli bawić się w ogródku? Nieprawdaż — rzekłam z uśmiechem zwracając się do matki.

Ona za całą odpowiedź, uścisnęła mi rękę z głębokiem współczuciem.

Uprosiliśmy oboje z Władysławem naszą miłą sąsiadkę, że usiadła z nami na ławeczce pod kasztanem. Rozmawialiśmy o potocznych rzeczach; młoda kobieta mimo skromności i prostoty, nie mogła utaić prawdziwie wyższego ukształcenia, które ulatało, że tak powiem, od niej, jak woń ukrytego i niepozornego kwiatka. Nie było w jej słowach najmniejszej chęci zwrócenia na siebie uwagi, lecz obok nieśmiałości, znać było pewność siebie i uczucie godności własnej. Dziwna sympatya połączyła nas od razu; uczułyśmy obiedwie ku sobie pociąg niewysłowiony. Podczas gdyśmy siedziały pod kasztanem, pan Karol, mąż młodej kobiety, który właśnie powrócił z biura, spostrzegłszy żonę w ogrodzie, zbliżył się ku nam, przedstawił się sam Władysławowi, a dowiedziawszy się, co spowodowało nasze poznanie, przeprosił nas szczerze w imieniu swawolnej dziewczynki.

— Aż nadto jesteśmy wynagrodzeni za małą szkodę — przydał uprzejmie Władysław — i jeżeli państwo pozwolą, z prawdziwą przyjemnością korzystać będziemy z miłego ich sąsiedztwa.

— I my oboje dawnośmy tego pragnęli — rzekł Karol.

I na wezwanie Władysława, usiadł wraz z nami pod kasztanem, a po krótkiej rozmowie powstali oboje z żoną, i pożegnawszy nas, odeszli do domu.

Nazajutrz przed wieczorem oddaliśmy wizytę naszym sąsiadom. Mieszkanie ich złożone z dwóch pokoików, nadzwyczaj było skromne ale czyste i składne. Zdawało się, że atmosfera szczęścia i spokoju powiewa za ich progiem.

Radzi byliśmy nad wyraz z nowej znajomości, bardziej jeszcze, gdy po bliższem poznaniu wniknęliśmy głębiej w ich domowe pożycie.

Państwo Karolowie byli z sobą daleko spokrewnieni. znali się od dzieciństwa, kochali od pierwszych lat młodości, ale z powodu zupełnego ubóstwa, długi czas nie podobna im było pomyśleć o wzajemnem połączeniu. Młoda Aniela wychowana bezpłatnie na pensyi, u zacnej pani Wilczyńskiej, ukończywszy nauki z prawdziwą korzyścią, przyjęła obowiązek nauczycielski, pragnąc tym sposobem odpłacić łożone około siebie starania. Tak przeszło jej kilka lat. Karol tymczasem, aplikował w sądownictwie. Pozyskawszy maleńką posadę, ufny w przyszłość, nie lękając się ubóstwa, zapragnął urzeczywistnić dawne marzenia i połączyć się z Anielą. Ona oddała mu rękę bez wahania. Od trzech lat żyli razem, szczęśliwi i zadowoleni, pomimo ubóstwa, bogaci uczuciem, nie żądając nic od świata, nie wybiegając chęcią po za obręb domowych progów. Ale jeżeli umieli ograniczyć się zupełnie w zwyczajnych życia potrzebach, za to duchem wznosili się wysoko. Z dziwną pociechą ścigali postęp świata, kształcili własny umysł, wyrabiali własną duszę,

słowem szczebel po szczeblu z niezmordowaną usilnością i wytrwaniem, wznosili się w górę, ku udoskonaleniu, ku prawdzie, ku Bogu.

W parę tygodni po naszem poznaniu, pan Karol siedząc wraz z nami na ławeczce pod kasztanem opowiedział nam szczegóły połączenia swego z Anielą, wbrew woli krewnych, którzy dla obojga z osobna, przewidywali świetniejszą nierównie przyszłość. Są ludzie—mówił Karol—którzy pojmują szczęście, wyłącznie w dobrym bycie. Co do mnie, inaczej je sobie wyobrażam. Czyliż ten nie jest największym panem, kto się najlepiej umie ograniczyć w potrzebach, kto pracując z dnia na dzień, na kawałek powszedniego chleba, nie tworzy sobie sztucznych nawyknień, nie szuka czczego blasku, ale poprzestaje na cichem domowem szczęściu?

— O! wierzcie mi — dodał z zapałem—można zamknąć w najmniejszem kółku własne istnienie, uważając je za podrzędne i nie znaczące, tymczasem poglądać z rozkoszą na świat Boży, ścigać go w jego powolnym postępie, cieszyć się w ukryciu z każdego pożytecznego czynu lub wynalazku, który wpływa na ogólne dobro. Wszakże pole myśli, jest wspólną wszystkich własnością! Tam wolno każdemu zbierać plony, każdemu wolno zapanować duchem! i dorzucić daninę do ogólnego skarbu. I czyjeż jest, powiedzcie mi, rzeczywistsze bogactwo, czy tego co skrzętnie gromadzi złoto, chowając je na własny pożytek, czyli tego, kto z rozkoszą przyswaja sobie na duchową własność rozsiane w koło bogactwa, w których wszyscy czerpać mogą sowicie? Z czego bardziej należy nam się cieszyć; czy z polepszenia własnego bytu, czyli z dośledzenia pożytecznej myśli nowo wcielonej w życie ogółu, która staje się własnością wszystkich? Cóżby nas bardziej

zadawalniać powinno, czy otrzymany spadek, któryby zaspokoił urojone nasze potrzeby, czyli szczęśliwe odkrycie, dające chleb zgłodniałym? O tak zaprawdę, życie nasze osobiste, niknie w wyższym poglądzie na świat Boży. Uważając się, jako drobne ogniwa w wielkiej społecznej budowie, obowiązani jesteśmy baczyć na nasze codzienne potrzeby, ale niech to będzie tylko spełnieniem konieczności. Życie ogółu powinno być wyłącznym celem naszej myśli.

Władysław na te słowa, uścisnął w milczeniu rękę Karola. Oko jego zabłysło zapałem, na czole myśl zbudzona, odbijała wydatnie.

Nazajutrz powtórzyliśmy ojcu słowa Karola.

— Władysławie, znalazłeś przyjaciela—rzekł ojciec z powagą. Zaufaj Karolowi, podaj mu rękę, wspierajcie się pospołu, i w imię Boże idźcie śmiało trudną ścieżką żywota.

ROZDZIAŁ III.

Rodzina.—Wpływ kobiety.—Uwagi o dobroczynności.—Rocznica ślubu.

Z końcem Czerwca ciotka przybyła do Warszawy, z razu jej tęskno było trochę bez Radomia, ale staraliśmy się szczerze oboje z Władysławem wynagrodzić jej poświęcenie i zastąpić tych wszystkich, których dla nas opuściła. Odtąd między Władysławem a ciotką niezmącona panowała zgoda, ktoby sądził z pozoru, mógłby mniemać, że go więcej odemnie kocha, co jednak być nie mogło.

Poznanie Karola i Anieli, było dla nas prawdziwym skarbem, codziennie dostrzegaliśmy w młodych małżonkach nowe zalety, tak wewnętrzne, jak i powierzchowne. O ile inni usiłują zwykle okazać na jaw lepszą i piękniejszą swoją stronę, o tyle oni ukrywali ją ze szczególnem staraniem. Władysław powziął szczerą przyjaźń dla Karola, wspartą na rzeczywistym szacunku, ja z mojej strony pokochałam z całego serca Anielę. Życie nasze, jeżeli nie mogło stać się szczęśliwszem niżeli było poprzednio, to przynajmniej nabrało nowego wdzięku i powabu. Ciotka tylko bądź skutkiem właściwej późniejszemu wiekowi

podejrzliwości, bądź z obawy, aby przyjaźń moja dla Anieli, nie przyniosła uszczerbku memu ku niej przywiązaniu, niechętnem zrazu okiem patrzała na coraz ściślejsze między nami związki. Ale Aniela pokonała ją w końcu, niezmordowaną cierpliwością i dobrocią; im ciotka chłodniejszą się dla niej okazywała, tem ona bardziej stała się uprzedzającą i względną, aż w końcu pozyskała zupełne jej łaski.

Dłużej nierównie ciotka okazywała nieufność względem Karola. Podnosiła nie raz ramiona w górę i skłaniała głowę, słysząc jego teoretyczne dowodzenia.

— Nie wierzę ja tam w książkowy rozum tych panów — mówiła nie raz do mnie. Czego się człowiek życiem nie nauczy, tego do śmierci wiedzieć nie będzie, choćby nie wiem ile foljałów przeczytał. Zwolna jednak mijało uprzedzenie, widziałam to jasno, lubo ciotka nigdy nie lubiła się przyznać do błędu.

Lato mijało, ogródek nasz posmutniał, liście na drzewach i krzewach żółknąć poczynały, kwiatki schyliły się ku ziemi spalone słońcem, zbite nie jedną burzą i słotą. Trudno już było siadać pod kasztanem z robotą, w chłodne poranki i wieczory. Praca jednak w ogródku rozpoczęła się w najlepsze. Znajomy nasz profesor udzielił mi nie mało zimotrwałych kwiatów, które porozsadzałam starannie na grządkach. Władysław wolne od pracy godziny trawił na kopaniu i uprawianiu ziemi. Czyniąc zadość usilnym przedstawieniom ciotki, musieliśmy lubo niechętnie, zostawić kilka zagonów na warzywa i włoszczyznę, zasłoniwszy je od oka krzakami róż i jaśminu.

Wraz z przedłużającemi się coraz bardziej wieczorami, musieliśmy zmienić tryb życia, Zbieraliśmy się codzień na herbatę to u nas, to u ciotki lub u Karolów. Ojciec zwykłym naszym był gościem. Nasi trzej znajomi przychodzili także na wista raz w tygodniu. Stosownie do wspólnego porozumienia, przyjmowaliśmy gości skromnie bez żadnych wymysłów, nie chcąc aby to, co miało być źródłem wspólnej przyjemności, stało się dla wszystkich uciążliwem nad siły. My, kobiety, przynosiłyśmy z sobą robotę na nasze posiedzenia, panowie zajmowali się rozmową w rozlicznych przedmiotach. Zrazu mieli zwyczaj zasiadać w oddzielnym pokoju dla swobodniejszej pogawędki, ale zdarzyło się kilkakrotnie, że ich rozprawy przybierały charakter uproczywych sporów. Raz, nakoniec, obiedwie z Anielą, słysząc podnoszący się silniej głos mężów naszych, za radą ciotki weszłyśmy do ich pokoju. Spór toczył się o jakiś dziejowy wypadek, wmięszałyśmy się zwolna do rozmowy i dorzuciły nieznacznie nasze własne uwagi. Ojciec uznał je za słuszne, podniół ich wartość, Karol i Władysław ostygli powoli z zapału; po chłodniejszem zastanowieniu okazało się, że obadwaj byli prawie jednego zdania w głównym przedmiocie, cały spór toczył się o słowa.

Widząc przywrócony pokój, chciałyśmy się oddalić obiedwie z Anielą, ale ojciec oparł się temu.

— Zostańcie tu — rzekł — albo raczej my pójdziemy za wami. Przeznaczeniem jest kobiety, aby była opiekuńczym aniołem mężczyzny, aby wdziękiem i łagodnością zasiewała pokój i zgodę. Zbłądziliście obadwaj — dodał, zwracając się do Karola i Władysława, żeście dotąd wyłączali żony od wzajemnych rozpraw waszych. Kobiety bowiem sercem i uczuciem zgadują to od razu, do czego my po długiem przychodzimy rozumowaniu. Zresztą, cze-

muż bronić przystępu światła tym, które są pierwszemi towarzyszkami i przyjaciołkami waszemi, które mają być pierwszymi mistrzyniami synów waszych! Odtąd nie rozłączajmy się nigdy, a rozprawy nasze nie stracą bynajmniej na znaczeniu, choć się pozbędą zwykłej szorstkości i rubaszności w wyrażeniach.

Władysław i Karol uznali słuszność słów ojcowskich, odtąd trawiliśmy wieczory wspólnie, siedząc do koła jednego stołu, co było z niemałą dla obudwu stron korzyścią. Rozmowy nasze coraz więcej nabierały życia, coraz bardziej stawały się różnostronnemi. Ojciec dawny legionista, z zajęciem opowiadał nam nie raz wypadki burzliwej swej młodości, tak ściśle połączone z ówczesnem życiem ogółu. Ciotka obdarzona z natury przewyborną pamięcią, powtarzała z swej strony szczegóły zasłyszane niegdyś od matki, o dworze Stanisława Augusta. Ojciec ciotki był kapitanem koronnej gwardyi, mieszkał więc w Warszawie i ocierał się nieustannie o wyższe społeczeństwo. Ztąd ciotka wiedziała i pamiętała wybornie wiele dawnych rzeczy, ale wierna przeszłości, nie chciała w żaden sposób przyznać, żeby obecnie mogło być pod względem obyczajów lepiej niż przed laty. Uniewinniała jak mogła znane powszechnie błędy, zaprzeczała innym, składała wszystko na potwarz i trzeba ją było dobrze wciągnąć w pogawędkę, żeby się kiedy niekiedy wymówiła z jakim szczegółem, których nazbyt wiele zachowały skandaliczne ówczesne kroniki.

— Jeżeli było złe — rzekła raz ciotka, gdyśmy ją złapali na gorącem słowie — za to nie było przynajmniej takiego jak dzisiaj egoizmu. Dziś każdy myśli o sobie, żyje dla siebie, jeżeli nie czyni źle, to dla tego tylko, iż sobie wyrozumował, żeby mu z tego nic nie przyszło! A wielkie

pytanie co u Pana Boga będzie w większej wadze: czy dawniejsze zdrożności, czyli dzisiejsze cnoty.

— Zgadzam się na to w pewnym względzie — rzekł Karol. — Nie ma dziś, zaprawdę, takiego jak dawniej zgorszenia, życie rodzinne bardziej jest uszanowane i ocenione, częściej zdarza się napotkać szczęście w obrębie domowych progów; ależ i tu można zgrzeszyć przesadą i z pięknego zasiewu, zgubne zbierać żniwo! Człowiek nie powinien zamykać się w osobistem szczęściu jak robak w głębi owocu i w własnem zadowoleniu zapominać o świecie! Człowiek może wyjść nawet ze skażenia czysty i uniewinniony, samolubstwo tymczasem doprowadzi go do zgnilizny i spruchnienia, studząc w nim żywotne ciepło, które jest głównym warunkiem powszechnego bytu.

Obiedwie z Anielą, wychodząc ze stanowiska kobiecego, stanęłyśmy w obronie cichych domowych progów. Władysław utrzymywał, że należy koniecznie sięgnąć okiem po za ich szczupły obręb i działać z równą gorliwością dla tych, którzy od lat dawnych jednę z nami zamieszkują ziemię, którzy oddychają jednem powietrzem, żywią się jednem ziarnem, wyrabiają ducha wpływem tychże samych co i my wypadków. Karol szerzej jeszcze rozprzestrzeniał swój pogląd, wystawiając na wzór Chrystusa, który pracował i umarł za zbawienie wszystkich ludzi! Długo trwał spór zawzięty, zdawało się, że każdy z nas ma słuszność. Ojciec dopiero pogodził nas stanowczo.

— Dzieci moje — rzekł on — każde z was opiera słowa swoje, na stałej i niezaprzeczonej zasadzie! Wy, kokiety, bronicie domowego ogniska i słusznie, bo z niego rozchodzi się płomień na zewnątrz. Władysław szerzej rozciąga zakres powinności człowieka. Karol dalej idzie nierównie. Ja wam zaś powiadam, moje dzieci, niech każdy

z was z miłością i dobrą wolą działa w właściwem sobie kółku a Bóg całość ułoży! niech każdy z was tylko pamięta, że jest członkiem wielkiej ludzkiej rodziny, na której korzyść wprzód zawsze, niż dla siebie samego, żyć i pracować powinien!

Uznaliśmy słuszność, jak zwykle, i spór w mgnieniu, oka zakończonym został.

W kilka dni potem, siedząc do koła stołu przy herbacie usłyszeliśmy hałas na ulicy, Władysław z Karolem wyszli się dowiedzieć powodu wrzawy, i wrócili z oznajmieniem, że małżeństwo jakieś pobiło się w przyległym szynku, zkąd żona chciała gwałtem wyprowadzić męża. Był nim ubogi szewc, przywiedziony do pijaństwa nędzą i rozpaczą. Okoliczność ta otworzyła pole, do uwag o możności polepszenia bytu pomiędzy biednym ludem Karol stawiał za wzór rozliczne instytucye zaprowadzone przed niedawnym czasem w różnych krajach; przytaczał słowa najsłynniejszych ekonomistów politycznych bieżącego wieku, w którym dola ubogich, tak powszechną obudziła uwagę. Mówił długo i płynnie znał bowiem ów przedmiot gruntownie, a czując się w właściwym sobie żywiole, w pięknych słowach wylewał myśl własną.

— Gońcie wy wasze teorye, jak wiatr po polu — rzekła ciotka, zażywając tabakę — wolę ja robić pończochy dla biednych. Zobaczemy co im więcej przyniesie pożytku!

Ogólny śmiech był odpowiedzią na trafne słowa ciotki, którym wszyscy bez wyjątku przyznaliśmy słuszność zupełną.

— Należy i tu pogodzić jedno z drugiem — rzekł ojciec po chwili. — Nie można lekceważyć pracy tych, którzy z niezmordowanem trudem, tworzą nowe w tym względzie na przyszłość pomysły, ale przyklaskując ich dobrym chęciom, ścigając ich myśl, czyńmy tymczasem co

możemy aby zaradzić choć chwilowo *obecnemu złemu.* Dziś snadniej nam to przyjdzie niż kiedy, mamy bowiem ludzi, którzy z taką gorliwością pracują nad zapobieżeniem szerzącej się nędzy i niedoli. Najmniejsza ofiara nasza, która w innym czasie, wystarczyłaby zaledwie na jednodniowe wyżywienie rodziny, dołączona dziś do wspólnej składki, będzie cząstką owej wielkiej tamy, która z czasem nie dozwoli rozlać się złemu! *Ukorzmy się dzieci* przed owemi ludźmi dobrej woli, którzy przejęci głęboką miłością bliźniego, znosząc w pocie czoła cegielkę po cegiełce. budują gmach niepożyty wiekami, którzy na wzór Chrystusa, nie ustraszeni złą wolą wielu, niezrażeni bezowocnym nieraz trudem, idą coraz wyżej, nie pragnąc za ciche poświęcenia próżnej chwały, ani głośnego poklasku! Przyszłość uczci ich jednak, bo na tej bożej ziemi, żaden czyn, żadna cnota, nie przeszły nigdy marnie, a oprócz plonu, co ma nakarmić ogół, znajdzie się jeszcze dosyć kłosów, na *wieniec* dla ochoczych i uznojonych pracowników! Z waszej znów strony dzieci, wspierajcie czynnie ich gorliwe usiłowania, dopomagajcie czem możecie, tak pracą jak oszczędzonym groszem. Najmniejszy datek, dołączony do drugich, nie będzie bez znaczenia, strzeżcie się tylko fałszywego wstydu, niech przekonanie, że wiele dać nie możecie, nie uchyla was od obowiązku złożenia maleńkiej cząsteczki waszego dochodu, na ołtarzu powszechnego dobra. Pan Bóg milej przyjął grosz wdowi niżeli hojną jałmużne bogacza. Wiele ten uczyni kto uczyni co może!

Zachęcone słowy ojca, uradziłyśmy obiedwie z Anielą, że odtąd co wieczór poświęcimy parę godzin czasu po herbacie, na robienie pończoch i kaftaników, które w ciągu zimy składać będziemy cząstkowo w Dobroczynności, aby ubodzy prędzej z nich korzystać mogli.

Wkrótce potem, zdarzyła nam się z Władysławem sposobność podania ręki nieszczęśliwej rodzinie. Uboga wdowa zapozwana przed sąd pokoju niesłusznie, udała się do męża mego z prośbą o prowadzenie jej sprawy. Była to matka kilkorga drobnych dzieci. Władysław wydźwignął ją wkrótce z przykrego położenia, nie żądając żadnej nagrody. Ja z mej strony poznawszy ją bliżej przekonałam się, że biedna kobieta ma niezaprzeczone zasługi. Niezwalczona nieszczęściem, umiała zachować w niem całą godność, a starania około drobnych dzieci były wyłącznym jej celem. Prosiłam ją żeby codzień na parę godzin przyprowadzała do mnie dwie starsze dziewczynki, które postanowiłam uczyć nauk właściwych ich położeniu. Aniela chcąc mieć udział w dobrym czynie, zajmowała się niemi wraz ze mną. Wdzięczność matki, wreszcie wewnętrzne zadowolenie, było dla nas sowitą za trudy zapłatą.

Coraz to więcej zalet odkrywałam w kochanej mojej Anieli. Dnia jednego o szarej godzinie, gdyśmy były same usiadła z niechcenia przed otwartym fortepianem, uderzyła zlekka klawisze, wreszcie, ośmielając się zwolna, zagrała prześliczną melodyę z Cyrulika, z głębokiem uczuciem i prawdziwą znajomością muzyki. Odkrywszy jej zdolność, skłoniłam ją, żeśmy odtąd codziennie grywały ne cztery ręce, co się nie mało przyczyniło do uprzyjemnienia wieczorów naszych.

Niebawem zbiegła zima. Podczas gdy Warszawa szalała w zapusty, my z Anielą w cichym naszym kółku, stokroć bawiłyśmy się lepiej od owych kobiet, które z ukwieconemi głowami, w przejrzystem jak mgła odzieniu, snuły się w karetach po ulicy. Żadna z nich może nie dziękowała Bogu tak szczerze za swą dolę, jak my obiedwie, klęcząc

co niedziela przed wielkim ołtarzem w kościele Karmelitów!

Nadeszła Wielkanoc a z nią pole popisu dla kochanej ciotki. Tryumfowała też nie żartem, bo niepodobna było zaprzeczyć, że ani u mnie ani u Anieli, placki i baby, nie były tak jak u niej podarzone i ubrane, a baranek z masła tak zręcznie wyrobiony.

Dziwiłyśmy się, że będąc sama jedna, takie znaczne czyni do świąt przygotowania. Ciotka kiwała na to głową. Jakoż w rzeczy samej nic się u niej nie zmarnowało. Co dzień bowiem przez trzy dni świąteczne, ubogie dziatki z całego domu gdzie mieszkała, schodziły się do niej, jako jej dobre znajome, a każde z nich odchodziło hojnem obdarzone święconem.

W kilka dni po Wielkiej Nocy wypadła właśnie rocznica ślubu naszego. Oboje z Władysławem, przyrzekliśmy sobie oddawna, że dopóki żyć będziemy, dzień ten zostanie u nas w wielkiem poszanowaniu.

Mieszkanie nasze przybrało w owym dniu prawdziwie świąteczną postać. Aniela przyniosła mi bowiem w darze, prześliczną różę miesięczną, pełną rozkwitłych bladoróżowych kwiatów, w ogródku też jakby naumyślnie rozwinęło się mnóstwo fijołków. Napełniałam właśnie niemi czarki i miseczki, gdy przyszedł dobry nasz ojciec, pragnąc powinszować nam pierwszy tak ważnej uroczystości.

— Dobrze czynicie, dzieci — rzekł, uścisnąwszy nas oboje — że święcicie rodzinne pamiątki. Strzeżcie się zacierać ów urok, jaki otacza pewne dni w pasmie powszedniego życia. Później, gdy wiek stłumi cokolwiek młodzieńczy wasz zapał, miło wam będzie w owe dni, ogrzać wspomnieniem serca ostudzone wśród zwykłych życia kolei!

Po chwilowych odwiedzinach odszedł, przyrzekając, że przybędzie na obiad na który zaprosiliśmy również ciotkę i Karolów.

Pozostawszy sama z Władysławem, podałam mu książkę z całorocznemi rachunkami, które prowadziłam bez przerwy.

— Dajże mi pokój, Zosiu — rzekł z uśmiechem — wiem, że z ciebie wyborna gospodyni, nie wydajesz więcej nad dochód, a i to przecie nie mało znaczy.

— Niewdzięczny z ciebie człowiek—odrzekłam—nie chcesz nawet rzucić okiem na moją mozolną pracę, widzisz w niej tylko zimne cyfry! Gdy tymczasem księga ta zawiera nie jedno moje poświęcenie, nie jedną chęć nieurzeczywistnioną, nie jedno rozwiane marzenie.

— I czemuż nie mówiłaś mi tego — odparł Władysław, patrząc na mnie z uczuciem — byłbym się starał pracować szczerzej i usilniej, byleby ci nigdy na niczem nie zbywało.

— Mój Władziu, czyniłeś i tak nad możność, nie twoja w tem wina, że mi się podobało poświęcić niekiedy chwilową przyjemność, dla tego aby z czasem pozwolić sobie większej.

— Jakto? wytłómacz się jaśniej — zapytał Władysław.

— Przejrzyj rachunki, a zrozumiesz mnie dokładnie —odparłam.

— No powiedz, powiedz, moja Zosiu — mówił z przymileniem, całując mnie w rękę.

— Oto widzisz sześćset złotych oszczędności — rzekłam z tryumfem, ukazując mu sześć biletów bankowych.

— To niepodobna! — zawołał zdziwiony.

— Tak jest, nie inaczej — rzekłam. — Otóż dziś,

aby godnie uczcić rocznicę ślubu, zabierajmy się co żywo i idźmy oboje po sprawunkach do miasta.

— Miałaś oddawna ochotę na wygodną kanapkę do salonu — rzekł Władysław — możemy ją kupić.

— Zapewne — przerwałam — ale tobie potrzebniejsza jeszcze szafka ze szkłem, na książki. Dobrze by to było, mieć w domu wygodny fotel dla ojca, który cierpi czasami na reumatyzm w nodze.

— Niezapomnijmy też i o ciotce — rzekł Władysław — kupmy jej u Hartmana skórzany worek na robotę.

— Dajmy pokój słowom a dalej do rzeczy — odparłam z uśmiechem, kładąc słomiany kapelusz na głowę; o trzeciej goście się zejdą, trzeba mi też wrócić do domu, na parę godzin przed obiadem. Biedna Kasia nie da sobie sama rady. Muszę też i dla niej przynieść jaki ładny upominek z miasta.

Władysław ubierał się także na prędce, i w kilka minut potem, szczęśliwi, weseli, prowadząc się pod ręce, szliśmy spiesznym krokiem, wzdłuż Solnej ulicy ku Lesznu.

Na zakręcie ulicy Rymarskiej spotkaliśmy ciotkę.

— Gdzieżto Pan Bóg prowadzi tak rano? — zagadnęła z uśmiechem.

— Idziemy po sprawunkach — odpowiedziałam — a ciotka zkądże powraca bo widzę po zmęczeniu, że z dalekiej strony?

— Z ulicy Chmielnej, moje dzieci. Byłam właśnie u mojej krewnej, u tej niebogi Michałowej; nie uwierzycie co tam za nędza, ledwo mi serce nie pękło, jakem patrzyła na biedaczkę; a jeszcze wspomniawszy, że nie tak przedtem bywało. Jedna z dziewcząt zachorowała właśnie na gorączkę. Matka jak wam wiadomo przeszło rok jak z łóżka

nie wstaje. Młodsze dziewczynki krzątają się jak mogą, ale trudnoż im wszystkiemu poradzić. One to nieboraczki, utrzymywały cały dom swoją pracą, a teraz ani weź za igłę. A tu potrzeba na wszystko, i na doktora i na aptekę, i na lepsze pożywienie, jak to zwyczajnie przy chorych, to też ja śpieszę co siły do domu, żeby im biedakom cośkolwiek zasłać, ale to wszystko nie wiele im pomoże. Co większa, gospodarz chce ich wyrugować z izdebki, bo już od pół roku nie zapłaciły komornego.

To mówiąc ciotka zażyła tabaki, i otarła nieznacznie łzę z oka.

Przypomnieliśmy ciotce, że ją czekamy z obiadem i rozeszliśmy się w odmienne strony.

Oboje z Władysławem nie mówiąc do siebie słowa, postępowaliśmy śpiesznie, jednakiem wiedzeni popędem. przebiegliśmy ogród Saski, nie zwracając nawet uwagi na przechadzające się piękne panie, które przybyły powitać jasny promyk wiosennego słońca. Nie wiem nawet kiedy, przeszliśmy ulicę Marszałkowską i zwrócili na Chmielną.

Władysław wprowadził mnie ostrożnie po niewygodnych schodach na poddasze, gdzie w nędznej izdebce na twardej pościeli leżała biedna pani Michałowa, moja daleka krewna, a tuż obok niej, starsza córka Zofja, z policzkami wypieczonemi od gorączki, z pałającem okiem i stłumionym w piersi oddechem.

Zbliżyłam się do chorej matki, a powitawszy ją, wsunęłam jej w rękę, zaoszczędzone w ciągu roku pieniądze.

Trudno opisać radość biednej rodziny; łzy pociechy zabłysły jednocześnie w każdem oku, słowa błogosławieństwa, płynęły z ust wszystkich. Wyrwaliśmy się z ich

uścisków i dziękczynień, zalecając im najściślejszą tajemnicę i z lżejszem jeszcze sercem, z radośniejszą niż poprzednio twarzą, puściliśmy się ku domowi.

Resztę dnia spędziliśmy w kółku rodziny i przyjaciół. Nikt oprócz nas dwojga nie wiedział o mojej oszczędności, o naszych zamiarach i poświęceniu. Nikt nie uczcił czynu naszego pochwałą, a jednak dzień ten był niewątpliwie jednym z najjaśniejszych w ciągu naszego życia. Niezwykła pogoda świeciła na naszem czole. głęboki pokój opanował serca nasze. Świat Boży wydawał nam się tak piękny! ludzie tak dobrzy, kochaliśmy wszystkich i wszystko, jakby sam Bóg nawiedził duszę naszą.

ROZDZIAŁ IV.

Jadwisia. — Zasady wychowania.

Podobało się Bogu, ubłogosławić domowe progi nasze, zsyłając nam dziecinę. Z przybyciem malutkiej istotki wszystko u nas inną przybrało postać, nabrało nowego życia, uśmiechnęło się niby dziwną pociechą i nadzieją. Ściślejszy węzeł połączył nas z Władysławem; zdawało się, że się więcej jeszcze niż dawniej kochamy. Szczęście nasze było zupełniejsze, jak gdyby anioł stróż, który czuwał nad kołyską dziecięcia, i nas otoczył niewidzialnem swem skrzydłem!

Ciotka, rada z wnuczki, zaopatrzyła ją we wszelkie pierwsze potrzeby. Porzuciła nawet na czas jakiś nieodstępną pończochę, a za to tkała na drutach i szydełkiem powijaczki, kaftaniki, czepeczki i inne tym podobne przedmioty. Przyzwyczajona żyć zawsze dla drugich, miała tu obszerne pole, do zadosyć uczynienia właściwej sobie szczodrobliwości. Aniela także przyniosła w darze maleńkiej dzieweczce całe ubranie do chrztu, wyhaftowane własną ręką.

Chrzciny odbyły się uroczyście w zwykłym naszem kółku. Ojciec i ciotka byli rodzicami chrzestnemi. Dzieweczkę nazwano Jadwigą.

Ogródek, jakkolwiek prześliczny jak zazwyczaj w Czerwcu, został chwilowo zaniedbany. Oboje z Władysławem, przesiadywaliśmy w wolne godziny przy kołysce dziecięcia, marząc o przyszłości Jadwisi, udzielając sobie nawzajem uwag i myśli co do jej wychowania.

— Patrz Władziu jaka ona ładna — rzekłam raz do męża — wprawdzie rysy jeszcze nie wykształcone, cera nie dosyć biała, ale to się wyrobi.

— Niechby była przynajmniej taka jak Joasia — przerwał Władysław.

— Co też ty mówisz kochanie? — odparłam — Joasia za małe ma oczy, kolor ich za blady, nosek nie zbyt kształtny; Jadwisia będzie nierównie piękniejsza.

I przebiegałam koleją wszystkie znane mi dziewczynki, ale w żadnej nie znalazłam zalet i powabów dostatecznych dla mojej dzieciny. Władysław przywtarzał z razu.

— Zosiu — rzakł zastanawiając się nagle — a wiesz ty kochanie, że szczęście budzi w nas mimowoli samolubne uczucie. Chcielibyśmy widzieć naszą Jadwisię piękniejszą, lepszą, doskonalszą od wszystkich dzieci; radzibyśmy niemal poniżyć inne, aby ją przyozdobić w wdzięki i przymioty, których tamtym braknie. Strzeżmy się tego Zosiu, snadno złe znajdzie przystęp do serca, gdy się ozdobi w piękny pozór rodzicielskiej miłości.

— Prawda Władziu — odparłam zawstydzona—szczęście własne powinno raczej budzić w nas pobłażanie i miłość ku drugim. Gdyby tylko Bóg nie ukarał nas w naszej dumie—dodałam—przerażona nagłą myślą. O! niech Jadwisia będzie taka jak inne. Byle ją nam Bóg zachował, niech jej nawet odmówi powierzchownego wdzięku, jeśli taka jego wola! I tak może być szczęśliwą, i tak ko-

chać ją będziemy, niech aby dusza jej będzie piękną, choć bez zewnętrznych powabów!

— Tak — rzekł Władysław — piękność jej duszy od nas prawie zależy; to też powinniśmy skierować wszelkie usiłowania i naginać płonkę do kształtów jakie jej nadać chcemy. Najprzód, trzeba ją od kołyski hartować na wszelkie złe, jakie ją w ciągu życia spotkać może. Pieszczotą nie dokażemy nic, nie wyrobimy jej ducha. Minęły już czasy, gdy kobiecie wolno było dzieckiem pozostać do śmierci. Dziś potrzeba jej siły i męztwa, bo życie nie będzie miało dla niej rodzicielskich względów, ale włoży jej krzyż na barki, cierń na czoło, pokrwawi jej stopy o kamienie, których tak pełne jego ścieżki. Od pieluch więc usiłujmy przygotować ją na wszystko. Oswójmy ją z bólem który jest niezbędnym warunkiem życia; ukształćmy jej rozum i wolę, aby poznawszy kiedyś gorzką czarę, nie ulękła jej się daremnie, ale spełniła ją do dna z odwagą i rezygnacyą.

— Kształćmy jej serce—odrzekłam, przerażona słowami Władysława — nauczmy ją kochać. a wszelkie poświęcenie snadnem jej się wyda. Wlejmy w jej serce miłość i dobrą wolę, a sam ból jaki ją spotkać może nie będzie jej strasznym. Nie jest przeznaczeniem kobiety, aby z bohaterską odwagą zdołała odpierać ciosy, ale raczej, aby z wiarą i poddaniem, umiała złożyć je u stóp krzyża, a w modlitwie zaczerpnąć pokrzepienie i siłę. Nie jest jej powołaniem, aby jak meteor olśniła świat blaskiem nadziemskiej cnoty, ale aby jak cichy anioł, przeszła wśród ludzi, niosąc im pociechę i miłość.

Prawda, prawda — rzekł Władysław — ale trzeba jej podać broń przeciw tysiącznym zawodom, jakie jej

świat gotuje, a na które serce tkliwe i kochające tym snadniej narażonem bywa.

— Kiedy dusza jej bogatą będzie własnem uczuciem, kiedy prawda zasadą będzie każdej jej myśli, każdego słowa, wówczas, znajdzie w nich dostateczne oparcie i nie ulęknie się zawiedzenia, jakie ją spotkać może od ludzi — odparłam przyglądając się dziecinie, na której usteczkach błądził niby uśmiech, jakby we śnie ujrzała anioła.

— Biedne! biedne ty dziecię! — rzekł Władysław, wysnuwając dalej wątek własnej myśli, bez względu na moje zaprzeczenie — jakżebym pragnął otoczyć stalą twoje młodziuchne serce, aby broń świata, nie znalazła doń przystępu, i nie zraniła go boleśnie w przyszłości!

— Biedne dziecię! — rzekłam — z jakąż rozkoszą potrząsnę kwiatem pierwsze ścieżki twego życia, aby gdy poznasz ból i zawody, wspomnienie owych porannych chwil, spędzonych na łonie matki, pozostało w twej pamięci jak promień cichej gwiazdy, wśród mrocznego cienia.

Spór nasz, co do przyszłego wychowania dzieciny, nie został rozstrzygniętym. Żadne z nas odstąpić nie chciało od własnego poglądu. Czuliśmy oboje, że mamy słuszność, przecież wzajemne zarzuty, rzucały mimowoli cień na nasze mniemania, ztąd w myśli naszej powstał obłęd, z którego wyjść było trudno.

Nazajutrz po owej rozprawie, Władysław przyszedł z miasta, obładowany rozmaitemi książkami, traktującemi wyłącznie o wychowaniu tak fizycznem, jak i moralnem dzieci. Wszystkie odtąd wolne chwile poświęcał czytaniu owych dzieł i zapisywaniu wyprowadzonych z nich wniosków. Co do mnie, chwyciwszy się dziełka o hygienicznem hodowaniu dziecięcia, zmieniłam zupełnie dotych-

czasowy porządek karmienia, kąpieli i innych podobnych jego potrzeb, trzymając się ściśle litery. Nie uszło to bacznego oka ciotki.

— Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu — bąknęła raz pod nosem, zażywając tabakę. Moja Zosiu! na co się to zdały te wszystkie książkowe teorye, dawniej ich nie znano, a przecież wychowywały się dziatki zdrowe i hoże. Ile dzieci na świecie, tyleby trzeba oddzielnych zasad, bo przecie co dobre dla jednego, nie może się stosować do wszystkich.

Słowa ciotki trafiły mi do przekonania. Stosowałam się jeszcze w wielu względach do skreślonych w książce prawideł, ale baczniejszą niż dotąd zwracałem uwagę, na wyłączne usposobienie dzieciny. Radziłam się często doświadczeńszej odemnie Anieli, a cera małej Jadwisi i rozwijające się jej siły, przekonały mnie, że zasada wychowania jaką przyjęłam, lubo prosta i niewymyślna, dobra była i pożyteczna.

Podczas gdy Władysław zagłębiał się w porównywaniu sprzecznych prawideł najzawołańszych pedagogów, tak Francuzkich, jako i Niemieckich, których zdania krzyżowały się co chwila i nawzajem, podczas gdy z owego odmętu usiłował koniecznie wysnuć myśl logiczną i wydobyć samodzielne zdanie, ja z mej strony zachęcona dobremi i praktycznemi radami Anieli, co do fizycznego chowania dziecięcia; umyśliłam zwracać baczniejszą niż dotąd uwagę, na jej postępowanie z małą Joasią. Wkrótce zdarzyła się właściwa pora po temu.

Jednej niedzieli po południu przyszli do nas Karolowie z córeczką. Mała Joasia naparła się koniecznie kawy, której jej właśnie doktór pić zabronił. Wszelkie przedstawienia matki były daremne, dziewczynka wpadła

w gniew, krzyczała co siły, biła nóżkami o ziemię. Żal mi było dzieciny. Namawiałam Anielę aby przyrzekła zadosyć uczynić jej woli, skoro się uspokoi, ale Aniela oparła się temu stanowczo. Przez czas grymasów dziecka zachowała zimną krew i moc duszy niezłomną. Joasia widząc, że nie pokona woli matki, uspakajać się zwolna zaczęła, przeprosiła ją w końcu, a ze złej i uporczywej, stała się cichą i potulną.

— Czy zawsze tak z nią postępujesz? — zapytałam Anielę.

— Zawsze i niezmiennie odparła. Niech bym się raz dała przekonać, wszystko byłoby stracone. Dzieci mają instynktową logikę i umieją sądzić postępowanie nasze z niemi. W niwecz by się obróciła cała powaga matki, gdybym raz tylko uległa. Dziecię winno uważać matkę za wyższą istotę, jeśli ma słuchać jej bezwarunkowo. Niechajże więc nie dostrzeże w jej postępowaniu żadnej słabości, żadnego błędu, a nadewszystko żadnej sprzeczności, inaczej pierzchnie cały urok, jaki ją otacza w oczach dziecka.

— Przykład pierwszą jest zasadą wychowania — rzekł Karol — ktokolwiek chce rozkazywać drugim, i być słuchanym jak należy, niechaj się sam udoskonala i uświęca, inaczej słowa jego będą pustym dźwiękiem i odpadną od serc, jak groch od ściany.

Władysław z głęboką uwagą słuchał przyjaciela.

— A więc — rzekł po chwili — tym sposobem upadłyby wszelkie teorye o wychowaniu i pozostała by jedyna tylko zasada: stań się sam takim, jakim chcesz aby było dziecię twoje.

— Tak, nie inaczej — przydał ojciec, który dotąd nie mięszał się do rozmowy. Tem najwięcej błądzą rodzi-

ce i nauczyciele, że inaczej przekonywają słowy, inaczej zaś nauczają przykładem. Ztąd zaszczepiają kłamstwo, w giętkiem jak wosk umyśle dziecięcia. Zachęcają je wprawdzie do pracy, mówią, że ta pierwszym jest obowiązkiem człowieka, sami zaś trwonią czas bez potrzeby, na rozrywki i uczty; co więcej, uchylają w obec dziecka głowę przed uprzywilejowanemi świata próżniakami, a nie podadzą ręki pracowitemu kmiotkowi, który w znoju czoła uprawia zagon na pożytek wszystkich. Mówią, że należy kochać każdego; uczą pielęgnować w sercu dobrą ku ludziom wolę, sami zaś szarpią niebacznie sławę bliźniego, cieszą się niemal jawnie z jego niepowodzenia, zwalają na niego winę z dotykających go przygód. Mówią, że nie należy nigdy zmazać ust fałszem, a sami pochlebiają drugim bez potrzeby, z boku zaś wyszydzają tych, którym w oczy sypali kadzidła. Wskazują wreszcie dziecku potrzebę poświęcenia się dla drugich, podczas gdy zamykają się w obrzydłem samolubstwie, jak ślimaki we własnych skorupach, i nie umieją odmawiać sobie samym urojonych potrzeb, choć drudzy pod ich okiem umierają z nędzy i niedostatku. Nie tak nauczał Chrystus! jego żywot był stwierdzeniem owej prawdy, którą ogłaszał słowy, a śmierć krzyżowa, była położoną na niej pieczęcią. To też słowo Boże rozłosło się bujnie, i przez wieki zasila głodnych i spragnionych. Tak, dzieci moje! uprawiajcie naprzód własne serca, wyrywajcie z nich chwasty, doskonalcie i uświęcajcie wolę waszą, panujcie jej siłą nad szkodliwemi skłonnościami jakie dostrzeżecie w samych sobie, aby ich jad nie skaził niewinnej a giętkiej istoty, którą Bóg złożył w ręce wasze, czyniąc was odpowiedzialnemi za jej przyszłość! Słabi rodzice wychowują niekiedy, występne potomstwo; bo któż odgadnie jak dalece błędy rodzicielskie,

zaszczepione niebacznie w serca dzieci, mogą się rozrość i spotęgować, jeżeli okoliczności posłużą ich rozwinięciu? Pamiętajcie zwłaszcza, że macie działać na istotę bierną, której cnoty lub wady, staną się z czasem waszą nagrodą lub karą.

Słuchaliśmy oboje słów ojca z głębokiem przejęciem, uznając zupełną ich prawdę.

Od następnego dnia, Władysław zamknął pod klucz książki traktujące o wychowaniu, spalił powyciągane własną ręką wypisy, zaniechaliśmy nawet rozpraw o przyszłości naszej Jadwisi, baczniej zaś jęliśmy wglądać w nasze myśli i czyny. Przekonaliśmy się, że działając w sposób wskazany przez ojca, możemy oboje wpływać pożytecznie na dziecię nasze, jakkolwiek każde z nas z właściwego działać będzie stanowiska. Niech Władysław rozwija władze budzące się w jej myśli, ja z mej strony, pielęgnować będę jej uczucie, składać jej drobne rączęta do modlitwy, a Bóg dopełni reszty, bo on zwykł wspierać chęci i usiłowania człowieka, byleby człowiek nie ufał nazbyt w własny rozum, a działał z dobrą wolą w Jego imię!

Dalszy ciąg w tomie III-im „Rozrywek.“

KRZYŻ I WOJAK.

BALLADA

przypisana K. Wł. Wójcickiemu.

W grodzie Warszawskim nad Wisłą białą,
Wojownik mieszkał przed laty;
Modre mu oko niebem błyszczało,
Błyszczał pas Słucki bogaty.

Nie tylko w oku, lecz w sercu cichem,
Nosił on niebios odbicie;
Nie tylko w strojach jaśniał przepychem:
Ubogich wspierał obficie.

A gdy król głośne rozesłał wici
Na chrześcian nieprzyjaciela,
Gdy jadą dzielni, stalą okryci,
I jego lśni karabela!

Zamek minęli — most przejechali;
Po kępach brzmią hasła wojny...

A lud Warszawski żałuje z dali,
Że poszedł i wojak hojny.

Trąbią i tętnią... i lecą roty,
Przez lasy, rzeki, urwiska;
Aż i ujrzeli białe namioty,
Z których pół-księżyc połyska...

Choć drga w zachodzie szkarłatna smuga,
Choć hyżą znużeni drogą,
Rycerze nasi czekać nie mogą,
Bo noc dla mężnych za długa.

Więc już namiotów nie rozwinęli,
Nie rozpalili ogniska;
Zamiast namiotu chorągiew strzeli...
Ogień już w oczach im błyska!

Nakształt cichego podchodzą węża,
Ku szańcom muzułmanina;
Ten przebudzony, szuka oręża,
Szuka... i ciemność przeklina!

A gdy świt wejrzał na krwawe pole,
Lach wznosił sztandar zwycięztwa;
Ale nasz wojak, po cudach męztwa,
O Boże! poszedł w niewolę!...

Cudnie gdy Bosfor patrzy z głębiny,
W minaretowym lśniąc wianku;
Gdy Odaliska rzuca jaśminy,
Z za kraty złotego ganku:

Ale dla jeńca Bosfor jest siny,
Bo dusza jego w żałobie;
Dlań jakby martwe lica dziewczyny,
Bo serce jego już w grobie.

Jeniec usiadłszy pod sykomorem
Dumał o lubej Warszawie,
Gdy, niosąc buńczuk z kraśnym kędziorem,
Sam sułtan, w groźnej postawie
Przystąpił, mówiąc: „Czuwaj dzień cały,
„Nadzór nad końmi ci daję,“
Wskazał dziedziniec co ozdabiały
Śnieżne kolumny i gaje.

Jakież tam pyszne wschodnie rumaki,
Białe i kare i siwe!
I purpurowe z srebrem czapraki,
I siatki co pieszczą grzywę!

Aż zadrżał jeniec, bo dla wojaka
Zawsze to dziwna pociecha,
Choćby nie swego kochać rumaka,
Choć obcych walk słyszeć echa!

Pan mu dał w pomoc pacholąt grono,
I klucz od koni poddasza,
Odszedł, a jeńca, gaj, pod zieloną
Kotarę, z szumem zaprasza.

A gaj ten rósł tam, aby w południe
Osłaniał palmowem piórem,
Dającą napój dla koni, studnię,
Ocembrowaną marmurem.

Wojak wśród rajskiej spoczął ponęty;
Lecz z jakimż wstaje podziwem,
Widząc przy studni, w ziemię wetknięty,
Krzyż z licem Boga płaczliwem,

„O święte — woła — boleści godło!
„Któż cię w tej stawił ustroni?
„Jakież sumienie obcą tu modłą,
„Tajemnie do Ciebie dzwoni?.."

Kończył, gdy z gwarem, do Bożej męki
Poczet sług z końmi się zbliża;
Gwiaździste cugle, z srebrnemi brzęki,
O zgrozo! wiążą do krzyża.

Wojak źrenice dłonią zasłania...
Lecz słyszy śmiechy... łoskoty...
Ach! cóż on słyszy? naigrawania
Z zbawczego drzewa Golgoty!

Już chciał wystąpić w krzyża obronie,
Lecz przemógł się... dał rozkazy:
Wnet wiadro stokroć nurza się w tonie,
I skrzypiąc, wraca sto razy.

Piją rumaki; a napojone
Hasają iskr sypiąc smugi...
I już pod cichą sklepień osłonę,
Odprowadziły je sługi.

Samotny wojak po gaju chodzi;
A gdy wejrzała noc blada,
I zcichły śmiechy swawolnej młodzi,
Na twarz przed krzyżem upada.

„Wybacz im Ojcze te nowe rany!“
Woła... a łza mu wytryska...
„Tyś nie czci celem, znaku świetlany,
„Lecz celem ich pośmiewiska!

„Ach! obym mógł Cię unieść w obłoki,
„Lub ukryć w ziemię przed niemi!
„Lecz nie mam skrzydeł... a dość głęboki
„Gdzież znajdę przybytek w ziemi?...

„Już myśl mi błyska.... wybacz o Panie!
„Może ci ona ubliża...
„Lecz lepiej tobie skryć się w otchłanie,
„Niż jaśnieć wśród wrogów krzyża!

„Oprócz tej studni, nie mam w tym grodzie
„Świątyni dla Ciebie innej;
„Lecz może błogo spoczniesz na wodzie,
„Bo wszak to żywioł niewinny?

„Ona skropiła Twe czoło Boże
„Gdyś chrzest odbierał w Jordanie;
„Ona Twe stopy niosła w pokorze
„Gdyś z Piotrem szedł po bałwanie.“

Rzekł, patrzy z trwogą... lecz cicho w koło;
Więc choć dreszcz serce mu ziębi,
Krzyż dźwignął z ziemi, i chyląc czoło
Do wodnej spuścił go głębi...

I chwilę jeszcze stał nieruchomy,
Sądzi, że pan już wśród dworu
Nadchodzi... gniewu ciska nań gromy!
Lecz nic — prócz szumów Bosforu...

Noc przeminęła — lecz serce boli
Gdy przyszłość jeńca odsłania...
Ileż lat tęsknych pędził w niewoli
Wzorem mężnego wytrwania!

Jednak już tracił ufność nieśmiałą
By mogła ujrzyć go Wisła;
— Niebo inaczej wyrokowało:
Chwila ucieczki wybłysła.

Wojak, w noc, pędem, mija zdaleka
Twierdze i pałac seraju:
Nawet nie spojrzy... on z tego raju
Jakoby z czyśca ucieka...

Po jakich krajach smutnie się tuła,
W jak ciężkich przygodach działa,
Trudno wam śpiewać; dusza by czuła
Śpiewając się wypłakała.

Jednak w lat wiele, w grodzie nad Wisłą,
Stanął mąż niegdyś bogaty.
Zamiast klejnotów, oko łzą błysło...
Cierń w sercu, zdarte miał szaty.

Ale wspomnienie jego hojności
Trwało w Nadwiślan pamięci;
Więc szczęsny każden kto mu dar święci,
Kto go w swych progach ugości.

Gdzie dziś kamienny król Zygmunt stoi
Obrał on dworek drewniany;

W święte obrazki, w odłamy zbroi
Wspomnieniem ustroił ściany.

A ledwo wieczór — siadł u komina, —
Rzesza się ciśnie do progu,
On o zamorskich dziwach wspomina,
A zawsze najpierw o Bogu!

Gdy w cichy ranek wielbiąc niebiosy,
Przeszłość swą wskrzeszał w umyśle,
Usłyszał w koło wielkie odgłosy:
„Cud! cud! pod zamkiem na Wiśle!“

Ku oknu zwraca zdumione oczy;
W grodzie zgiełk. radość i gwary;
Tłum się z orszakiem kapłanów toczy,
Cechy rozwiły sztandary.

— Poszedł i wojak, stanął z zachwytem
Widząc wód brzegi szumiące
Gdzie w głośnych modłach, z czołem odkrytem,
Uklękło ludzi tysiące.

Bo środkiem rzeki, tam na głębinie,
Stojąc, jakoby na ziemi,
Przeciw prądowi krzyż cicho płynie
Z ramiony rozwiniętemi.

Wojownik poznał krzyż z licem Boga,
Co jego przed laty ręką
W studni ocalon od zniewag wroga,
Dziś zda się wracać z podzięką!

Czy przynosili go aniołowie?
Czy wodne pod ziemią żyły
Z Bosforu w Wisłę go wprowadziły?
Nie wiem — to cudem się zowie.

Grono kapłanów do czółna wchodzi,
Chcąc spotkać znak święty w biegu;
Lecz choć wiatr żaden nie cofa łodzi,
Moc tajna trzyma przy brzegu.

Próżne modlitwy — bezsilne wiosło;
— Jakby na kogo czekało
Tak dziwne czółno w głębinę wrosło.
Aż kiedy stopą nieśmiałą
Wojak wszedł w łódkę, jak uskrzydlona
Wybiegła na wód zwierciadło...
Krzyż się pochylił w jego ramiona —
I wielkie milczenie padło.

Po chwili okrzyk wzbił się w zachwycie;
Hymn ludu i złote dzwony
Jak w jubileusz drgnęły w błękicie...
A wojak błogosławiony
Przed Święto-Jańską zdążył świątynię,
I złożył w niej godło wiary.

— Ten sam krzyż dotąd błyszczy u fary,
I dotąd cudami słynie.

Deotyma.

ŻYCIE DOMOWE W AMERYCE

PRZEZ

FRYDERYKĘ BREMER.

Ciąg dalszy.

W czasie kiedy autorka zamieszczonych listów z podróży po Ameryce zwiedzała Stany Południowe, niewola Murzynów znajdowała się tam w stanie kwitnącym, a namiętność nieludzka, która czyniła z człowieka rzecz, przedmiot posiadania i martwe narzędzie do pracy — dopuszczała się nadużyć, które niewygasłej zasługi p. Beecher-Stowe (Biczer-Stau) przekazała potomności w *Chatce Wuja Tom*. Właściciele Murzynów, żyjąc ich potem i krwią znajdowali i usłużne pióra, które broniły konieczności niewoli, i sędziów bez sumienia, którzy słuszność panom nieszczęśliwych istot zawsze przyznawali.

Największe przestępstwa uchodziły plantatorom bezkarnie. Niewola miała stronników swoich nawet na Północy, zkąd była wyraźnie wyłączona i gdzie też nie istniała; ale walki polityczne wyrobiły i tam całe zastępy plantatorów z ducha.

We dwa lata po podróży pani Bremerowej roznamiętnienie pomiędzy obu wielkiemi stronnictwami *demokratów*, obrońców niewoli, i *republikanów*, jej przeciwników rozpaliło już pożar nienawiści.

W obronie Murzynów powstał niejaki Brown (Braun) w Charlestonie, a gdy go schwytano i powieszono (w Grudniu 1859 r.) Wojna domowa dojrzała już w umysłach.

Powód do wybuchu dał wybór Lincolna, dzielnego człowieka, który z biednego stanu własną pracą i zdolnościami doszedł do najwyższej godności w swym narodzie, w Listopadzie 1860. Na wiosnę r. 1861 Południowcy zaczynali już kroki wojenne. Wojna trwała 4 lata wśród bardzo zmiennych kolei, przy niesłychanych wysileniach i zdumiewającej energii Stanów Północnych. Pół miliona wojska wystawiono do boju, choć go przed wojną nie było więcej nad 25 tysięcy. Miliardy dolarów, setki tysięcy ludzi kosztowała ta wojna, na wskroś cywilizacyjna, w imię cywilizacyi, w obronie jej najświętszych interesów przez Stany Północne prowadzona, ale bratobójczo podjęta przez Stany Południowe.

Po czterech latach walki dnia 3-go Kwietnia 1865 r. wojska Związkowe weszły do stolicy Południowców Richmondu (Ryczmondu) w Wirginii i odtąd dobra sprawa miała już zapewnione zwycięztwo. Zwyciężeni przez nikczemną zemstę, zamordowali Lincolna (d. 14 Kwietnia 1864 r.).

Niewola na zawsze znikła ze Stanów Zjednoczonych. Dnia 1-go Stycznia 1863 r. wydał Lincoln pamiętny akt znoszący niewolnictwo. Dnia 1-go Lutego 1865 r. obie Izby kongresu (najwyższej władzy prawodawczej) wygnały niewolnictwo na wieki z instytucyi wolnej Rzeczypospolitej amerykańskiej, a w dniu 28-go Listopada 1868 r. już po uspokojeniu Stanów Południowych nadano wszystkim Murzynom nieograniczone prawa obywatelstwa, porównano ich zupełnie z Białymi i zapewniono im wszystkie prawne do życia społecznego warunki.

Odtąd podniesienie ekonomiczne, umysłowe i moralne Murzynów weszło już na drogę niezawodnego urzeczywistnienia się, które tylko czasu dla siebie potrzebuje, aby się dokonać. Pozakładano mnóstwo szkółek i szkół, i oddano się z poświęceniem kształceniu i wychowaniu na ludzi tych samych istot, które przed r. 1861 uważane były za zwierzęta robocze.

List XIII.

Charleston 12 Kwietnia 1850 roku.

Zdaje mi się, że widzę piękność południową, jak spoczywa na miękkiem łożu z kwiatów, orszak niewolników znosi jej na każde skinienie, pyszne klejnoty i owoce. Ale blask jej oczu, krasa rumieńca, przepych otaczający ją w koło, nie zdołają pokryć wewnętrznego raka, który pożera ją i toczy. Tą pięknością miękką i okazałą, jest *Karolina Południowa.*

Jestem w Charleston od dwóch tygodni, a lubo czas po większej części dżdżysty, były jednak dni prawdziwe urocze; ziemia i niebo jaśniały nieznanym mi blaskiem, a powietrze balsamiczną tchnęło wonią. W te dni odbyłam kilka małych przejażdżek z panią Howland. Jeździliśmy do lasu, po drewnianej kolei, ułożonej na piaszczystej drodze. Las tutejszy, pełen drzew nieznanych, prawdziwie zachwycający przedstawia obraz. Rośliny poplątane bez ładu, niepojętych dochodzą rozmiarów. Mirt i jodła magnolia i cyprys, dąb i wiąz obejmują się wzajem liściastemi konary. Nic pyszniejszego nad tutejsze dęby. Z olbrzymich ich szczytów, spadają długie zwoje szarozielonych bluszczy. Pod cieniem owych brodatych patryarchów, kwitnie moc niezliczona pomniejszych drzew, krzewów i wijących roślin, mianowicie wina dzikiego, jaśminu i róży. Pożyteczne rośliny oplatają wszystkie niemal drzewa, niektóre z nich mają własności jadowite. Magnolia stanowi prawdziwą ozdobę tych lasów; tudzież wy-

soki ciemno-zielony wawrzyn z białym kwiatem, który zakwita z końcem maja.

Ogrody w mieście kwitną uroczo w tej chwili. Oprócz róż i pomarańcz, widzę w ogrodzie pani Howland, mnóstwo fig i miodników. Roje kolibrów ulata nad różowym kwiatem kapryfolii, i wysysa słodycz jej kielicha. Słowiki najcudniejsze wyśpiewują pieśni.

Otrzymałam mnóstwo zaprosin i odwiedzin. Między innemi, pani Hollbrook (Holbruk), żona naturalisty tego nazwiska, niewiasta prawdziwie znakomita, wezwała mnie na obiad, do wytwornego domu swego, położonego nad morzem. Po obiedzie odbyłyśmy przejażdżkę za miasto, w miejsce arystokratycznego zebrania całego Charlestonu. Mieszkańcy Południowych Stanów, lubią zgiełk i głośne zabawy. Oprócz tego dnia, który spędziłam wraz z panią Hollbrook w pięknym świecie Charlestonu, spędziłam z nią inny milszy nierównie na wsi, o parę mil od miasta, w jej posiadłości zwanej Belmont.

Zabrała mnie porankiem z sobą: cały dzień błądziłyśmy razem pod cieniem myrtowych gajów, zbierając kwiaty, czytając i rozmawiając na przemiany. Czas upłynął istotnie jakby sen złoty. Wiesz jak mnie zwykle trudzi zbyt przedłużona rozmowa, tego dnia jednak mówiłam ciągle i to bez najmniejszego wysilenia. Pogoda była prześliczna, słowa pani Hollbrook płynęły jak zdrój nieustający; o czem bądź rzecz się toczyła, wszystko nabierało życia i znaczenia, przechodząc przez jej usta. Bujałyśmy po świecie jakby na skrzydłach, myślą nie zawsze spotykając się z sobą, co bardziej jeszcze urozmaicało nasze rozprawy. Słowem, dzień ten spędzony w wonnych gajach Belmontu, miłą w sercu mojem pozostawił pamięć. Poznałam wiele nieznanych mi roślin, a między innymi słynną Ambrę.

Pani Hollbrook bada chętnie przyrodę. Nauka rozszerza ziemski widnokręg przed jej oczyma, nie odwracając ich od nieba. Dla niej ziemia jest poematem, który w najrozmaitszych objawach oddaje świadectwo swemu Twórcy. Pani Hollbrook jest filozofką ze szkoły Platona, zastanawia się nad życiem głęboko i umie śledzić rozliczne jego przejawy. Mówiłyśmy wiele o wychowaniu kobiet, tak w tym kraju, jak w innych i zgodziliśmy się zupełnie na jedno. Pobierają one wiele nauk specialnych, brak im tylko systemu do połączenia ich w jedną całość. Za wiele uczą ich łaciny, matematyki, fizyki, nie dość jednak silnie opierają te wiadomości, na potrzebach praktycznego życia. To też nauka więdnie im w duszy, jak gałązka uszczkniona z drzewa wiedzy i nie zakorzeniona dokładnie; pamięć wzbogaca się, ale życie samo żadnego nie odnosi plonu.

O zachodzie słońca wróciłyśmy do miasta, przyrzekłam pani Hollbrook, że jeszcze powtórnie pojadę z nią do Belmont i to na czas dłuższy.

Wczoraj wieczór byłam na weselnym obrzędzie. Przyjaciele tylko i krewni, składali orszak narzeczonych. Panna młoda, śliczna jak pączek białej róży, na pół rozwinięty! Pan młody, bardzo bogaty i szczerze przywiązany do narzeczonej. Wybierają się w podróż do Europy. Po odbytej ceremonii w kościele, obecni wyszli z ławek i składali życzenia zaślubionej parze. Stara murzynka, jakby duch milczący i tajemniczy, siedziała obok ołtarza. Była to mamka i piastunka panny młodej, nie mogła się biedna pogodzić z myślą rychłego rozłączenia.

Często rozmowa zwraca się tu do murzynów. Mało kto jednak, pojmuje dokładnie to ważne społeczne zagadnienie. Jedni unikają stanowczo tego przedmiotu; drudzy usiłują dowieść, że murzyni najszczęśliwsi są ludzie

w świecie, że nie pragną nawet żadnej zmiany w położeniu swojem. Są wprawdzie i tacy między niemi, ale nie brak i przeciwnych przykładów. Poznałam w Charlestonie człowieka wzniosłych uczuć, który dzieli zupełnie moje zdanie w tym względzie. Pragnie on przygotować swobodę murzynów, wtajemniczając ich w zasady chrześcijańskiej wiary. Dawniej umysłowa i moralna ich strona, zupełnie była zaniedbana; ustawy miejscowe nie pozwalają uczyć ich czytać ani pisać, długo nawet tamowały im religijną oświatę. Dziś zabłysła dla nich pomyślniejsza nieco gwiazda.

Dobrowolne zaślepienie społeczeństwie w Charlestonie zdziwiło mnie i zasmuciło nie pomału. Kobiety zwłaszcza, mimo wrodzonego popędu do wszystkiego co piękne i dobre, drażliwsze są i zaciętsze od mężczyzn w tym przedmiocie. Kobieta jednak powinnaby najsilniej uczuć, o ile bezbożną jest instytucya, która targa najświętszy węzeł rodziny, dzieląc żonę od męża, odrywając niemowlęta od matek. Ilekroć spojrzę na dzieci murzyńskie, tyle razy pomyślę z bólem serca: „Biedne sieroty, na wieczne skazane sieroctwo! Matka, która własną wykarmiła je piersią, nie ma prawa nad niemi! Nie dla nich szczęście i pokój domowego ogniska, nie dla nich święte rodzinne związki!“

Murzyni w wielu domach, doznają bardzo względnego obejścia. Mają własne domki lub izdebki, wcale ładne niekiedy. Stosunki wzajemne między panem a sługą, bywają serdeczne i przyjacielskie. Starzy murzyni mianowicie, stanowią niejako część rodziny.

Rzecz niewątpliwa, że plemie murzyńskie w ogólności, ma wrodzone poszanowanie dla białego plemienia. W ich oczach odbija uczucie wierności i przywiązania, jakie widzimy w oczach psa domowego. Ulegają oni mimo-

woli wpływowi wyższej inteligencyi. Niewiasty murzyńskie, przywiązują się całą duszą do białych niemowląt, które karmią mlekiem własnej piersi. Z nadzwyczajną troskliwością umieją pielęgnować chorych. Dobroć panów odpłacają niezrównaną wdzięcznością. Ale i przeciwnych przykładów nie brakuje w tych stronach. Trybunały miejscowe zachowały dowody okrucieństw, popełnianych względem murzynów. Zbrodnie to godne czasów pogańskich; wielu z nich dopuściły się kobiety, a do tego kobiety z najwyższego społeczeństwa Charlestonu! Niedawno, bogaty właściciel plantacyi, w Karolinie południowej, osądzony został na dwa lata więzienia w domu poprawy, za okrutne obejście się z murzynem. Ileż to jednak nadużyć przejdzie potajemnie, nie zwróciwszy oka zwierzchności!

Okropna rzecz pomyśleć, że klątwa, spoczywa tu nad głowami wszystkich, tak białych, jak i murzynów. Położenie tych ostatnich polepsza się wprawdzie, od roku do roku; w cywilizacyi białych, nie widać tymczasem żadnego prawie postępu. Nie darmo też zowią Charleston, gniazdem puszczyków.“

Powiem ci teraz słówko, o domu pani Howland, u której mi dobrze. Dom z ogrodem leży na przedmieściu i wiejski ma pozór zupełnie. Okna wyglądają na rzekę i szerokie pola. Pnące rośliny, róże i kapryfolie, tworzą przepyszną werandę przed domem; tu ja przechadzam się zwykle, w ciepłe wieczory i ranki. Mam na górze ładny wygodny pokoik, wieczorem zbieramy się wszyscy na terasie, a niekiedy odbywamy dalekie przejażdżki.

Znasz już cokolwiek panią Howland, ale chcąc ją prawdziwie ocenić, trzeba koniecznie poznać ją w codziennem domowem pożyciu. Przypomina mi zupełnie nasze szwedzkie matrony, porządkiem, ustawiczną czynnością

i dziwnie spokojnem ułożeniem. Pani Howland (mimo upowszechnionego tu próżnowania), sama do wszystkiego chętnie przykłada rękę. Zajęta od rana do wieczora, to dziećmi, to robotą, to utrzymaniem domowego ładu, to nareście nauką murzyńskiej dziatwy. W ogrodzie sadzi i pielęgnuje kwiaty, przyjmuje odwiedziny, rozsyła posłańców, a wszystko czyni z powagą i spokojem, tak właściwym pani domu; lekko jak widać znosi brzemie domowego ogniska, którego jest filarem i ozdobą. Chcesz, opowiem ci porządek tutejszego mego życia.

Co dzień bardzo rano, murzynka imieniem Lettis, z hebanową cerą, przynosi mi do pokoju filiżankę kawy; w godzinę potem, mały Wilis, syn pani domu, puka do drzwi i woła mnie na śniadanie. W jadalnej sali na dole, znajduję zgromadzoną rodzinę. Pani Howland rozlewa kawę, herbatę, częstuje mnóstwem dobrych rzeczy, bo i tu jak w stanach północnych, śniadania grzeszą zbytkiem. Ryż gotowany w wodzie stanowi konieczną potrawę, oprócz tego dają jeszcze smażoną słoninę, rybę i pataty, kamonny, chleb z kukurydzy, jaja, mleko i naleśniki z tatarczanej mąki. Podczas śniadania, murzynek lub biała murzynka stoi za stołem i ogania od much miotełką z pawich piórek. Po śniadaniu, schodzimy na taras; dzieci gonią się w ogrodzie, dwie małe murzynki Georgia i Atilla, córki Lettis, biegają po wschodach, to na górę to na dół. Potem idę do siebie i pracuję cały ranek. W południe pani Howland przysyła mi drugie śniadanie, złożone z chleba, masła, mleka zamrożonego, pomarańcz i bananów. Widzisz zatem, że nie ma obawy abym umarła z głodu. Obiad bywa o godzinie trzeciej, często bardzo są goście zaproszeni. Po obiedzie robimy wycieczki. Wieczór możnaby nazwać kwiatem dnia całego w tym domu. Zapalają

lampy w salonach i podają herbatę. Dobra i miła pani Howland, zasiada na kanapie, przed stołem zastawionym przysmakami, rozstawiają maleńkie stoliczki do koła, a mały i dowcipny murzynek Sam, wielki faworyt pani domu, roznosi w koło chłodniki. Zbiera się zazwyczaj, kilka dobrze znajomych rodzin i młodzież tańcuje po fortepianie. Dzieci domowe uprzejme są dla gości, bawią się przewybornie, ja zazwyczaj gram im do tańca kontredanse i walce; potem późno w noc przechadzamy się po tarasie. Najlepiej jednak lubię chodzić sama i dumać, pojąc pierś balsamicznem nocy powietrzem i poglądając z dala przez otwarte okna salonu, na ochocze pląsy dobrej dziatwy.

13-go Kwietnia.

Mieliśmy wczoraj wielką burzę z grzmotami i błyskawicami; nigdy nic tak okropnego nie widziałam w Europie. Tu błyskawice podobne do potoków rozpalonej lawy, grzmoty mocniejsze także niż u nas. Po raz pierwszy w życiu bałam się pioruna, a jednak obraz tej strasznej burzy miał dla mnie pewien dziki urok. Za parę dni pojadę do pana Poinsett, niegdyś ministra wojny w Stanach Zjednoczonych, tudzież posła do Meksyku. Mieszka teraz swobodnie w swoich obszernych plantacyach. Ma to być człowiek nadzwyczaj zajmujący i miły, zna świat i życie, z przyjemnością też przyjęłam jego zaproszenie, które zawdzięczam Dowingowi. Zabawię kilka dni w domu pana Poinsett, po czem powrócę i udam się do Georgii. Muszę korzystać z czasu; od pierwszego bowiem Maja, upały wielkie panują w południowych stronach, a uporczywe febry dręczą tutejszych mieszkańców.

Maluję właśnie z olejnego obrazu portret sławnego wodza Indyan, zwanego Ozekonehola, który na czele pokolenia *Seminolów*, walczył dzielnie przez pięć lat, przeciwko Amerykanom; gdy ci usiłowali wypędzić Indyan z Florydy i zagnać ich na zachód ku *Arkansas*. Część południowa Florydy, zajęta przez dzikie dwa pokolenia *Seminolów* i *Kryków (Creeks)*, ma ogromne lasy sosnowe, (*Pinus australis*). Drzewo to jest nie wielkie, mocno przesiąkłe żywicą, zatem nadzwyczaj palne. Prowincya *Arkansas*, położona na zachodnim brzegu Missisipi, ma także ogromne lasy dębowe i dotyka do stepów, gdzie obecnie schronili się Indyanie wygnani z północnej Ameryki. Klimat nadzwyczaj tam ostry. Dla tego to *Ozekonehola*, wódz pokolenia Seminolów tak odpowiadał na pogróżki, jakie mu czynił rząd Stanów Zjednoczonych: „Mój naród przywykł do ciepłego klimatu, do jezior i rzek Florydy, do palnych i łatwych do zrąbania sosen; nie zdoła więc wyżyć w kraju zimnym, gdzie same rosną dęby, a nie będąc w możności poradzić sobie z tak wielkiemi drzewami, nie przeniesie mroźnej zimy, panującej w tych stronach.“ Gdy mu nakoniec dano do wyboru, otwartą wojnę przeciw Stanom Zjednoczonym, lub też dobrowolne ustąpienie z Florydy, Ozekonehola wbił sztylet po samą rękojeść w akt, który mu podano do podpisu i wyrzekł: „Wyzywam Stany Ameryki, na pięcioletnią walkę.“ I rozpoczął się zawzięty bój, pomiędzy Indyanami z Florydy, a wojskiem amerykańskiem. Z obu stron popłynęły krwi strugi. Indyanie zostali w posiadaniu kraju i mieliby go do tej pory, gdyby nie to, że wbrew prawa narodów, ujęto Ozekonehola i zdradą wtrącono go do więzienia. Przybył on pod strażą białej chorągwi, znieść się z hiszpańskim jenerałem Hernandez. Hiszpanie dopuścili się zdrady, ale i Amerykanie wiedzieli

o niej dobrze. Zaprowadzono Ozekonehola do St. Augustine, następnie do Charlestonu, do fortecy Multrie na wyspę Sullivan. Odtąd opuściła go odwaga. Wzrok jego stał się smutny i ponury. Mówił z goryczą o zdradzie jakiej padł ofiarą, niesprawiedliwem wymaganiu względem Indyan, których zmuszono aby opuścili kraj rodzinny i łatwo płonące sosny.

Piękność jego, dźwięk uroczy głosu, oko czarne pełne zapału, dzielność ramienia, tudzież dziwne koleje, powszechne ku niemu obudziły współczucie. Kobiety zwłaszcza odwiedzały go i obsypywały darami. On jednak obojętny na wszystko, odkąd dostał się do więzienia, stracił zdrowie, mało używał posiłku i nie chciał lekarskiej zasięgać rady. Bystry orzeł, nie mógł żyć zdala rodzinnych lasów.

Dwie jego żony, jedna młoda i ładna, druga stara i szpetna, poszły z nim do więzienia. Ostatnia służyła mu i pielęgnowała go troskliwie. Jej też najwięcej okazywał przywiązania. Zajęty myślą o niedoli swego ludu, umarł w miesiąc po przybyciu do twierdzy. Wierzba płacząca ocienia grób jego nad brzegiem morza i spuszcza gałęzie na marmurową płytę, która pokrywa jego zwłoki. Umarł parę lat temu. Jego życie i walka, jest historyą skróconą całego narodu Indyan, w owej części świata, dla tego to pragnęłam przerysować jego wizerunek. Wiele osób mówiło mi tu o nim. W ogóle jednak nie mam słabości do Indyan, pomimo pojedynczych przykładów cnót i poświęcenia, jakie im przyznają w dzisiejszych powieściach. Okrutni są w wzajemnych walkach, srodzy dla żon, które uważają za bydlęta raczej, a nie za równe sobie istoty.

Casa Bianka, 16-go Kwietnia.

Piszę do ciebie z letniego domu położonego nad brzegami małej rzeczki Peedree (Pidi) miejsce to odludne, spokojne ciche i samotne. Państwo Poinsett, para poważna i sędziwa, mieszkają tu wśród murzynów i plantacyi ryżu, między dzikiemi i piasczystemi lasami. W całym domu nie ma ani jednego białego sługi. Mimo to jednak, zupełne bezpieczeństwo panuje pod ich dachem, i nikt nie pyta, czyli drzwi w nocy zamknięte. Mieszkanie całe, sprzęty i pokoje, stare stosunkowo do młodości kraju, mają pozór prawdziwie arystokratyczny. W wielkim ogrodzie przy domu, są najpiękniejsze drzewa, krzewy i kwiaty, które pan Poinsett sadził według planu Downinga. Przed sa mym dworem, dwa ogromne dęby stanowią wspaniałą bramę, przez którą widać rzekę i przeciwległe jej brzegi, zarosłe w pyszne ciemno-zielone magnolie.

Pod moim oknem rośnie piękny *Cornus Florydy*, korona jego okryta mnóstwem śnieżnych kwiatów. Kos pogwizduje wśród gałęzi. Słowik tymczasem odzywa się z pomiędzy dębowych liści, a rój ptastwa odpowiada mu świegotaniem. Co dzień po śniadaniu, pani Poinsett posypuje garstkę ryżu na taras, a móstwo czerwonych wróbli, zwanych kardynałami, zbiega się na to hasło.

Pan Poinsett pochodzi z szlachetnej francuzkiej rodziny, łączy on w sobie rodowitą dworskość wraz z rzetelnością amerykańską. Wiele widział w życiu, wiele dokonał; serce ma prawdziwie obywatelskie i pełne szlachetnego zapału. Wiele też rzeczy dowiedziałam się od niego, w poufnych gawędkach wieczornych, które prowadziłam z nim co dzień po herbacie. On jeden z pomiędzy obywateli Po-

łudniowych Stanów, mówił o niewolnictwie murzynów szczerze i bezstronnie. Pragnie, jak widać, gorąco, aby kraj mógł być najrychlej oswobodzony od tej plagi, ale stosunki obecne tak są powikłane, że ostateczne rzeczy rozwiązanie należy do przyszłości. Pan Poinsett należy do mędrców Nowego Świata; usunąwszy się od spraw zewnętrznych, spokojnie na nie pogląda ze swej pustelni, gdzie żyje szczęśliwy wraz małżonką, zajęty pracą koło roli.

Rano, posiliwszy się ryżem, jajami i orzechem kokosowym, pomagam pani Poinsett w sypaniu ziarna wróblom. Pan Poinsett prowadzi mnie potem do ogrodu i ukazuje świeżo rozkwitłe róże, które dostał od pana Downing, oraz inne nieznane mi rośliny; zawołany z niego botanik. Niekiedy wychodzę z nim w pole, które nie długo mają obsiać ryżem, a potem zalać wodą, dla lepszego plonu.

Pan Poinsett nie wielką posiada plantacyą, sześćdziesięciu murzynów, składa całą jej ludność. Nie są większe i inne plantacye w okolicy. Niekiedy sama jedna chodzę po murzyńskich osadach, taka przechadzka nadzwyczaj mnie zajmuje.

Wioski te składają się z małych drewnianych domków, pobielanych w około. Zbudowane dwoma rzędami na dwóch liniach równoległych, tworzą pośrodkiem ulicę. Każdy domek stoi osobno; otoczony małym ogródkiem i ocieniony jednem lub dwoma drzewami. Taka wioska czysta i kwitnąca jak w tej chwili, miły przedstawia widok. Czas jest prawdziwie rozkoszny, powietrze świeże i napełnione wonią.

Wczoraj rano (w Niedzielę) było nabożeństwo dla murzynów, w wyprzątniętej na ten cel wozowni. Murzyni przybrani świątecznie, zebrali się w wielkiej liczbie. Ka-

znodzieja (missyonarz) nie osobliwie mówił, uważałam jednak jak słuchacze z radością chwytali piękne słowa ewangelii. Gdy mówca przytoczył słowa Joba: „Bóg dał, Bóg wziął, niechaj Imie Jego będzie błogosławione;“ znać było ogólne poruszenie u obecnych. Kilku Murzynów zawołało: Amen, Amen! a iskry sypały się z ich oczu. Po obiedzie wyszłam sama na daleką przechadzkę. Słyszałam nie raz, jak na dowód pomyślnego stanu murzynów, mówiono że lubią śpiew i taniec.“ Zobaczę może ich pląsy, pomyślałam, dochodząc do murzyńskiej osady. Małe białe domki, ocienione zielonemi gałęźmi drzew, kwitnących czerwono, mile wpadały w oko. Dzieci czarne i tłuste, biegały żwawo, jedząc kartofle. Ale w wiosce spokojnie było i milcząco. W progu niektórych chat, stali murzyni i murzynki i patrzali na mnie z przyjaznem współczuciem. Usłyszałam głośną wrzawę w jednym domu, weszłam i ujrzałam nie małe zebranie ludu. Murzyn miał mowę do zgromadzonych: Mówił z wielkim zapałem, i od czasu, do czasu, uderzył w stół zaciśniętą pięścią. Oto treść jego kazania: „Czyńmy co Chrystus nam rozkazał, idźmy za jego wolą, miłujmy jedni drugich; a On przystąpi ku nam, przystąpi do łoża boleści naszej, stanie u łoża śmierci, i rozwiąże nas i powoła ku sobie i zasiądziemy przy nim w wiekuistej chwale!“ Ta mowa pomimo całej przesady i częstych powtarzań, wybornie była zastosowaną. Słyszałam potem, że missyonarze metodyści, pracują usilnie nad murzynami, chcą wykorzenić ich wrodzone zamiłowanie w tańcu i muzyce i dowodzą im, że te niewinne uciechy są grzechem. W miarę jak murzyni przyjmują chrześciańską wiarę, porzucają taniec, a zamiast zwyczajnych swoich pieśni nucą religijne hymny. Co do mnie, widzę w tem przesadę. Wszystkie dary Boże dobre są za prawdę,

wszystkie mogą służyć ku Jego chwale. I czemuż nie pozwalać tym dziatkom natury chwalić Pana w radości serca swego?

Minęłam wioskę i poszłam do pobliskiego lasu. O zachodzie słońca, wracałam do domu przez ową murzyńską osadę. Światło jaśniało w oknach, ale chaty bardziej jeszcze głuche były i milczące. Pod brzoskwiniowem drzewem stało kilku murzynów, wdałam się z niemi w rozmowę. Narzekali wszyscy na ciężką pracę i smutną swoją dolę. Pan Poinsett zapewnił mnie jednak, że te skargi były niesłuszne. Właściciel bowiem tych murzynów, pan M., człowiek sumienny, nie czyni im krzywdy, ale obchodzi się z nimi po ludzku, dba o ich potrzeby i wygody.

20 Kwietnia.

Zmienne tu nadzwyczaj powietrze. Wczoraj temperatura spadła w ciągu dnia o dwadzieścia cztery stopnie: aż mi palce posztywniały od chłodu. Dziś znowu upał nieznośny.

Przez parę dni mieliśmy wielkie obiady w sąsiedztwie, ale wielkie uczty nudzą mnie i męczą, postanowiłam znowu uczynić z niemi rozbrat na czas jakiś. Wczoraj przejeżdżając piaszczystą drogą, stanęliśmy w lesie, dla wytchnienia koniom. Dostrzegłam nieco opodal osadę murzyńską bardzo nędzną. Wysiedliśmy z powozu, pan Poinsett towarzyszył mi i puściliśmy się w stronę wioski. Chaty w opłakanym były stanie, weszłam do jednej i zastałam kilkoro chorych murzynów. Wiatr świstał po izbie, a dziurawy dach źle zasłaniał o deszczu. Na ognisku nie widać było śladu ognia, choć zimny wicher szumiał na dwo-

rze. W innej chacie stara kobieta leżała, jak pies na garści barłogu. Znać było wyraźne niedbalstwo właściciela. Nigdy litościwe oko nie zwróciło się na tych nieszczęśliwych, prócz oka Boskiej Opatrzności.

Kraj w około płaski, piaszczysty i leśny. Lasy składają się po większej części z żółtych sosen (Pinus Australis). W pośród nich rosną śliczne różowe azalie i lupinusy. Wracaliśmy późną nocą. Jadąc uważałam krążące tu i owdzie światełka, które uciekały ustawicznie przed nami. Pan Poinsett mówił mi, że to świecące robaczki. Muszę bliżej zapoznać się z temi promienistemi żyjątkami.

21 Kwietnia.

Biegałam dziś wiele po polu i lesie, przybyłam nareście nad brzeg wody, zwanej Czarną Rzeką. Murzyni pracowali w polu pod dozorem białego. Na prośbę moją, dozorca dał mi starego murzyna, który mnie przewiózł na przeciwny brzeg rzeki. Dobry starzec rozmowniejszy był od wielu murzynów, a poruszając wiosłem wodę, podczas gdym siedziała w łódce wydrążonej w pniu starego drzewa, opowiadał mi o kilku właścicielach plantacyi, któreśmy właśnie mijali, jak niektórzy z nich zębami gryzą niewolników i chłoszczą ich bez litości.

Po drugim brzegu rzeki, spotkałam właściciela plantacyi, był nim pastor. Zaprowadził mnie do wioski i nie mógł się wypowiedzieć jak szczęśliwym jest los murzynów.

Pracujący w polu murzyni, smutny przedstawiają widok. Ciemna odzież, szlafmyce szare, robione na drutach w czerwone lub niebieskie prążki, wszystko to razem, na-

daje im postać ponurą. Pochyleni ku ziemi, wyglądają jakby bryły z gliny ulepione. Nasi włościanie nierównie pozorniejsi. Wieś murzyńska za to, jak już mówiłam, wcale ładna. Rzadko kiedy jednak dostrzegłam w oknach szyby. Otwór kwadratowy zamykają na noc okiennicą. Obok chat są zazwyczaj chlewki na trzodę. Kury i kurczęta roją się po ogródkach. Murzyni przedają kurczęta, jaja i upasione wieprze. Za otrzymane pieniądze kupują zazwyczaj łakocie. Niektórzy jednak, zaokrąglają pomału sumki. Czasami oddają je na procent panom swoim w których mai ją zaufanie.

Murzyni zostają pod władzą pana i dwóch dozorców. Ci mają jeszcze do pomocy tak zwanego doganiacza. Bywa nim zwykle murzyn. Obowiązkiem jego jest zwoływać rano lud do pracy i poganiać go przy robocie. Owi czarni dozorcy, najmniej mają litości i wyrozumienia. Murzyn-wolni, którzy posiadają swoich niewolników, są zazwyczaj okrutnemi dla nich panami. Mówiły mi to wiarogodne osoby.

Charleston, 26-go Kwietnia.

Otóż jestem z powrotem u pani Howland. Przybywszy wieczorem do Charlestonu, zastałam w porcie brata jej, który czekał już na mnie. Gdyśmy wchodzili do salonu, brzmiała w nim muzyka, dzieci pląsały swobodnie. I my też weszliśmy tańcując, co było powodem wielkiej uciechy dla wszystkich. Jestem tu zupełnie jak u siebie. Dom pani Howland przypomina mi szczęśliwą szwedzką rodzinę.

Wczoraj widziałam pogrzeb senatora Karoliny, Kalhunal (Calhouna), ciało jego przewożono przez Charles-

ton. Przeszło trzy tysiące osób składało orszak pogrzebowy. Wóz żałobny pyszny był, a taki wysoki, że ledwie się zmieścił pod łuki tryumfalne, które na tę uroczystość umyślnie zbudowano. Wojsko maszerowało w paradzie, przed trumną zaś niesiono mnóstwo chorągwi zdobnych w napisy i symboliczne godła. Stany Południowe, uważają śmierć tę za niepowetowaną klęskę. Kalhoun przez długie lata, bronił na kongresie sprawy niewolnictwa. Do końca życia wierny swej zasadzie, walczył za nią zapalczywie. Widziałam jego portret i dziwne sprawił na mnie wrażenie. Iskry sypały się z jego oczu, na zaklęsłej twarzy znać było ślady choroby i niepokoju ducha. Duma polityczna i duch stronniczy, spowodowały śmierć jego przedwczesną, mimo to wielkie miał domowe cnoty, dobrym był ojcem, mężem i przyjacielem, a dla sług i niewolników prawdziwie ojcowską miał miłość.

W Stanach Karoliny południowej, takiem uwielbieniem otaczano Calhouna, iż przeszło w przysłowie, iż skoro Calhoun zażyje tabakę, cała prowincya kicha. Teraz jeszcze piszą o nim i mówią jak o półbogu.

Jutro, moja Agato, puszczam się w drogę do Sawanah i Mâcon, stolicy Georgii. Potem, jadę do Montpellier, gdzie mnie zaprosił biskup Elliot, abym była obecną na egzaminie szkoły żeńskiej, którą się wyłącznie opiekuje.

XIV.

Mâcon, 7-go Maja 1850 r.

Śliczną miałam podróż do Savanah, puściłam się w drogę z koszyczkiem dojrzałych bananów w ręku i bukietem w drugiej. Dzień był cudownie piękny. Płynąc pod wodę rzeki Savanah, która tworzy tysiące zakrętów, mijaliśmy nizkie zielone wybrzeża, na których rozciągają się lasy, plantacye i murzyńskie osady. Służbę całą na parowym statku pełnili murzyni i mulaty. Kapitan nie mógł dość nachwalić ich wierności i wyższego pojęcia. — Ten oto — rzekł, wskazując mi starego mulata dziwnie pięknej postawy — to mój poczciwy i zaufany sługa, nie pragnął bym mieć przy łożu śmierci, tkliwszego przyjaciela i opiekuna.

Było na statku kilka znajomych mi osób, między innemi panna Marya Plumb, pełna życia i miła osoba; mieszka w Nowym Jorku, ale dla słabości piersi, zimę przepędza zwykle w Savanah. Powietrze południowe utrzymuje ją przy życiu. Usuwałam się jak mogłam od towarzystwa, chcąc w milczeniu nacieszyć się widokiem cudnie pięknej przyrody. Gdy słońce zaszło, a noc rozpostarła się w koło, ujrzałam nagle, jak białe światło wypływało z południa ku zenitowi. Mówiono mi że to światło zwrotnikowe. Nie było jaskrawe i różnobarwne jak nasza zorza północna, ale spokojne, łagodne i przezroczyste. O w pół do dwunastej przybyliśmy do Savanah. Pojechałam z panną Plump, jej siostrą i doktorem, do największego hotelu

w mieście, *Puławski-House* (Hauz); tak zwanego przez pamięć polskiego wojownika, który czynny wziął udział w wojnie amerykańskiej i padł ugodzony kulą pod murami Savanah. Pomnik, który mu wystawiono, ładny obelisk z białego marmuru, zdobi plac przed hotelem, pysznemi ocieniony drzewami.

Nazajutrz o siódmej z rana, jechałam drogą żelazną do Mâcon. Nie miła była ta całodzienna podróż, zwłaszcza dla upału, dymu z cygar i okropnego kurzu, który napełniał wagony. Droga przechodziła pustą i jałową okolicą przez sosnowe lasy. Gdzie niegdzie tylko, w bliskości przestanków, widać było ludzkie mieszkania i uprawną rolę. Uważałam niedaleko drogi, starożytne mogiły Indyan podobne zupełnie do naszych, tylko nierównie większe i spłaszczone w górze.

Przybyliśmy do Mâcon wraz z zachodem słońca, kraj zupełnie inny przybrał charakter, rozściełały się w koło zielone wzgórza i doliny, a wśród nich białe wiejskie domy otoczone ogrodami i mnóstwem drzew rozłożystych. Przebyliśmy kilka małych rzeczek, których woda, czekoladową ma barwę. Miasto otoczone lasem drzew z okrągłym liściem, malowniczo wygląda. Podobało mi się to miejsce, rada byłam szczerze, iż tu przybyłam sama, nieznana nikomu. Stanęłam w hotelu Washington-House (Waszyngton) a rozgościwszy się, poglądałam okiem na wielki ruch miasta.

Dwadzieścia pięć lat temu, ziemia na której to miasto zbudowano, należała jeszcze do Indyan; miejsce, kędy dzicy odprawiali swoje pląsy i narady, zamieniono dziś w ładne miasteczko, zaludnione sześcią tysiącami mieszkańców. Pełno tu sklepów, pracowni, hotelów i kamienic. Na środku rynku jest fontanna, ozdobiona posągiem *Hebe*, dłuta Kanowy (Canova). Ludność tutejsza wzrasta co roku.

Nazajutrz, wstałam bardzo rano, czas bowiem był prześliczny. Świat Boży wydał mi się młody i świeży, i sama w sobie czułam zbudzone życie. Wyszłam bez celu wziąwszy dwa banany w mój worek podróżny; miasto spało jeszcze. Blady półksiężyc tonął we mgle na zachodzie, ale po nademną czysty roztaczał się błękit. Liście drzew i trawa okryte rosą, jaśniały przy blasku wschodzącego słońca. Idąc ciągle przed siebie dobrze zabudowanemi ulicami, wyszłam z miasta na szeroki gościniec, ciągnący się wzdłuż gęstego boru. Byłam sama, serce moje drżało od radości. Doszłam wreszcie do tego czegom tak usilnie pragnęła od młodu. Mogłam patrzeć własnemi oczyma na świat Boży, badać życie u źródła, w jego żywotnych a tak rozmaitych objawach. Jak ptak lekka byłam i swobodna. Duch mój ulatał na skrzydłach, a świat niby moją był własnością. Myśl, że jestem sama jedna, że idę przez ten świat szeroki, tylko pod strażą Boga, daje mi niezrównane uczucie siły i radością napełnia serce moje.

Nie szłam ja jednak bez celu, wiedziałam bowiem, że gdzieś za miastem, jest nowy cmentarz zwany Rose-Hill (Różane wzgórze), i ułożyłam sobie, że go odkryję. Nie mogąc wszakże trafić do końca, wstąpiłam do białego dworku, który stał niedaleko drogi. Zapukałam we drzwi, otworzyła je młoda i ładna kobieta, ale tak zła i kwaśna, że patrząc na nią, serce mi się ścisnęło, kazała mi iść prosto; poszłam więc myśląc w duszy, czemu w obec tak pięknej przyrody, człowiek mąci dobrowolnie cudną harmonję stworzenia; czemu wady charakteru rozlewają gorycz na życie i dobrowolnie zamykają nam rajskie bramy?

Dobiegłam nakoniec celu drogi, ujrzałam z boku żelazną kratę, otworzyłam ją i spostrzegłam przed sobą park

najpiękniejszy w świecie, pełen drzew, kwiatów i krzewów, poprzecinany krętemi drogami. Gdzie niegdzie rozrzucone pomniki, dowodziły mi, że jestem w miejscu poświęconem pamięci zmarłych.

Krążąc po ślicznym parku, doszłam wreszcie nad brzeg rzeki, która odgraniczała to państwo śmierci. Olbrzymie drzewa zanurzały w wodzie długie zielone konary, wielkie motyle o różnobarwnych skrzydłach, przebiegały od brzegu do brzegu. Obraz ten wyjaśniał mi symbolicznie, wyobrażenia pierwotnych ludów o śmierci. Tu było miasto umarłych; tuż obok strumień żywej wody, który który z tajemniczych wytryskał źródeł, szeptał nieznane zgłoski o życiu i zmartwychwstaniu. Na drugim brzegu było niby pole wiecznej szczęśliwości, „gdzie nieznaną jest boleść i niedola, gdzie nie dosięga klątwa ciążąca po nad ziemią, gdzie światło bijące od oblicza Bożego, wszystko w około oświeci.“ Motyle były dla mnie godłem dusz, które uwolnione z warunków ziemskiego życia, krążyły swobodnie od brzegu do brzegu, karmiąc się wonią polnych kwiatów.

Usiadłam na odłamie skały, po nad rzeczką. Tę rzeczkę zowią *Ocmulgee* (Okmuelszy), co znaczy po indyjsku: piękna. Barwa ciepło-czerwonawa jej wody, właściwa wszystkim rzekom południowych Stanów, pochodzi od czerwonego piasku, zaścielającego dno wody. *Ocmulgee* odpowiada zupełnie swej nazwie, ślicznie wygląda, wśród jasno-zielonych rozrośli ocieniających oba jej brzegi.

Byłabym chętnie zabawiła dni parę w Mâcon, ale profesor Scherbe, wysłany umyślnie po mnie przez Biskupa Elliot, przybył i zabrał mnie z sobą do Montpellier. Drogę mieliśmy okropną, co chwila mniemałam, że wywrócimy i stoczemy się w przepaść. Kraj w ogóle dziki,

znać świeżo wywalczony od Indyan. Wieś jednak pana Elliot, prawdziwie piękna i starannie urządzona. On sam, człowiek pełen godności i prawdziwie chrześcijańskiej powagi.

Szanowny biskup uchodzi za najgorliwszego członka tutejszego duchowieństwa; uprzejmością i słodyczą jedna sobie wszystkie serca, zjednał też zupełnie i moje. Wieczorem po przybyciu siedziałam z nim i całą rodziną przed domem i patrzałam na świecące robaczki, które między trawą i drzewami ogrodu jasne rozsiewały światło. Robaczki te piękniejsze nierównie od naszych, przelatując rzucają blask podobny do błyskawicy.

Pani Elliot, kobietka mała, przyjemna, pełna życia, gra prześlicznie na fortepianie, zajmuje się dziećmi, których ma liczne grono. On sam, człowiek prawdziwie znakomity. Uważałam w nim głębokie zamiłowanie piękności i prawdy, czem przypominał mi Emersona; ale Elliot wyższy nierównie, był ogrzany promieniem chrześcijańskiej miłości. Wierzy w rychłe oswobodzenie murzynów w Stanach Zjednoczonych. „Już — mówi on — chrześcijaństwo nadało wyższe znaczenie ich życiu; położenie ich tak pod względem fizycznym, jak i moralnym, coraz jest pomyślniejsze. Wkrótce będą nam równemi, a wtedy sama z siebie ustanie ich niewola.“ Pocieszyły mnie prawdziwie słowa pana Elliot; czuję w nich prawdę niezaprzeczoną.

Egzamin w instytucie panien prawie już się skończył, wiele z nich poodjeżdżało do domów. Widziałam jednak niektóre, czytałam ich utwory tak wierszem, jak i prozą. Wszystkie prawie nauczycielki, przybyły tu ze Stanów Północnych. Poznałam je zebrane wieczorem u pana Elliot w ostatni dzień egzaminu. Czułam się w dniu

tym trochę słabą i strudzoną, ale duch mój skandynawski wziął nakoniec górę. Wymyśliłam grę i wprowadziłam w ruch owe sztywne amerykanki, sam biskup przyłączył się do nas i uśmiał się z nami serdecznie. Wieczór zbiegł wesoło, a ja zapomniałam zupełnie o niezdrowiu i trudzie.

Miałam nazajutrz wyjechać do Mâcon wraz z biskupem i kilkoma panienkami. Zebraliśmy się wszyscy na poranne modlitwy. Rozrzewnił mnie dobry biskup, gdy po skończonym pacierzu zalecił obecnym modlić się za cudzoziemkę, która dach jego odwiedziła. Modlitwa jego piękna była i gorąca, zdało mi się, że czyta w głębi mego serca i pojmuje tajemne jego walki, że rozumie stan i dążenie mego ducha. Uścisnęłam jego rękę z wdzięcznością, a strumień łez wytrysnął mi z oczu.

Powróciliśmy do Mâcon, okropną drogą, którą poznałam już poprzednio. Stanęliśmy w ładnym domu pana S..., pomocnika biskupa. Mimo szczerej chęci, nie mogłam powrócić do hotelu. Wieczorem miałam rozmowę z panem Elliot o próbach, jakie przechodzi chrześcijanin w stosunkach ze światem. Poznałam, że i on także dźwiga swój krzyż, ale go dźwiga z pokorą i w milczeniu. Opuściłam go przejęta głębokim ku niemu szacunkiem.

Gdziekolwiek się obrócę, tak na południu, jak na północy, znajduję serdeczną gościnność i współczucie. Pojutrze jadę do Savannah, zkąd przed upałami zamierzam udać się do Washingtonu.

I kiedyż powrócę do Szwecyi? Oto wtedy droga Agato, gdy ty lub matka zechcecie mnie zawezwać; plany mam wprawdzie szerokie, a jednak opuszczę je bez żalu. Chciałabym jedną jeszcze zimę przepędzić w tych stronach, aby się dokładnie obznajmić z Nowym Światem. Pragnę także odetchnąć chwilę podzwrotnikowem powie-

trzem na Kubie. Stan mój chorobliwy w ciągu zeszłej zimy, wiele mi zabrał czasu nadaremnie. Powiedzcie jednak słowo, a wszystko opuszczę z radością i na skrzydłach pobiegnę ku wam, przez szeroką przestrzeń Oceanu.

XV.

Mâcon, 8 Maja.

Matko ukochana przekonałaś się z listów moich poprzednich, ile jestem szczęśliwą wpośród zacnych mieszkańców tego kraju. Przebiegam Amerykę od ogniska do ogniska, a wszędzie uważają mnie jakby rodzone dziecko. Oprócz wielkich korzyści jakie ztąd spływają tak dla ducha mego, jak i ciała, jest jeszcze i ta nieoceniona, że poznaję dokładnie życie domowe rodzin Nowego Świata, lepiej niż którykolwiekbądź podróżnik. Zamierzając po dróż. to właśnie miałam głównie na celu, nie przypuszczałam jednak nigdy, aby tutejszy naród tak gościnnie uprzedzał najdrobniejsze chęci moje. Urządzenie domowych ognisk Ameryki, tak po wsiach, jak i po miastach ma w sobie coś odrębnego. Każda rodzina zamożniejsza, zajmuje cały dom z ogrodem. Dół składa się z salonu jednego lub dwóch, jadalnej sali i kuchni. Pokoje sypialne bywają na pierwszem piętrze. Przy tych bywa zwykle pokój gościnny, a czasem nawet kilka, stosownie do zamożności domu. Jest to tak niezbędne, jak w naszych wiejskich domach szwedzkich; z tą jednak różnicą, że Amerykanie i w mieście przyjmują obcych w domowe progi swoje. Dla

mnie zwłaszcza jako dla kobiety, a do tego samej jednej, nadzwyczajne okazują współczucie. Znalazłam tu pełno serc bratnich i macierzyńskich, nie raz mogłam mówić z otwartem sercem, tak jak ze swojemi i zrozumiałam, że królestwo Boże, nie dalekie jest ziemi, a przynajmniej domowych jej ognisk, bo inaczej byłażbym się tak tatwo poznajomiła z ludźmi zupełnie mi obcemi, tak krwią, jak wychowaniem?

I w tej chwili jestem od kilku dni u dobrej i szczęśliwej rodziny, gdzie widzę trzy zjednoczone pokolenia. Pan Munroe (Munro) i żona jego, oboje podeszli w latach, ale pełni jeszcze życia, córki ich i syn jedyny, bankier bardzo poważany w Mâcon, miła jego żona i ich dziecię, wszyscy mieszkają tu razem. Rodzina cała odznacza się zgodą, powagą i pobożnością, jak wiele tutejszych rodzin. Rano i wieczór, odmawiają wspólnie modlitwy, co mi się nadzwyczaj podoba. Dwie starsze panienki śpiewają bardzo pięknie. Cichy smutek krąży nod całą rodziną, z powodu niedawnej śmierci jednej z córek, serce zwłaszcza macierzyńskie boleśnie dotknięte tą stratą. Dom leży w wielkim ogrodzie, pełnym pięknych i wyborowych roślin, słowik śpiewa mi cały dzień pod oknami.

Radabym widzieć niektóre zwyczaje tutejsze, zaprowadzone w domach szwedzkich, a między innemi wspólną modlitwę, którą siadając do stołu odmawia głośno ojciec lub matka rodziny. „O Boże! pobłogosław twoje łaskawe dary, aby nam poszły na pożytek i usposobiły nas do służenia Tobie Panie.“ U nas wprawdzie w niektórych domach najmłodsze dziecię odmawia na głos modlitewkę przed posiłkiem, trudno zatem, aby ją mówiło z należytem skupieniem ducha i uwagą.

Wolę ja jednak nasze zwyczaje u stołu niż tutejsze. U nas można rozmawiać swobodnie przy obiedzie i jeść nie myśląc nawet o jedzeniu. Tu zupełnie przeciwnie, pytają raz wraz czego żądasz, nalegają bezustannie, kładą sami na talerz, słowem, tak mnie to czasem umęczy, że aż bicia serca dostaję.

Pod względem porządku i czystości, Ameryka ma pierwszeństwo nad wszystkiemi europejskiemi krajami, wyjąwszy może Anglją. Najlepiej utrzymane domy szwedzkie nie odpowiadają jeszcze tutejszym. Wszystko tu urządzone wzorowo, zacząwszy od sypialni, aż do kuchni Sługi ubrane tak samo jak pani domu i jej córki. Dom amerykański jest w wielu względach ideałem domowego ogniska (wyłączam tylko sposób opalania w Stanach północnych Ameryki). W domu jest wszystko, co może uprzyjemnić życie, zacząwszy od łazienki, aż do małego ogródka, ocienionego staremi drzewami, z ławeczką darniową i mnóstwem pnących roślin rozpiętych po murach, których woń przepełnia powietrze. Jeżeli gospodynie domu, zwłaszcza na południu, mają wiele ułatwienia w gospodarstwie, z powodu, że warzywa i ogrodowizny rosną tu w ziemi bez ustanku, podczas gdy my musimy je suszyć, wędzić lub solić, niemniej jednak mają one do czynienia przy niedbalstwie służących murzynów, nadzwyczaj nieporządnych z natury. To też wielką mam cześć dla tutejszych kobiet.

Chciałabym z drugiej strony, żeby młode panny czynniejsze były w obrębie domu, żeby lepiej matkom przychodziły w pomoc. Ale tu rodzice przez źle zrozumianą troskliwość, pragną aby córki bawiły się nieustannie, aby używały swobody i życia w całem słowa znaczeniu. Byłyby jak mniemam szczęśliwsze, gdyby umiały być pożyteczniejszemi, stosunki rodzinne pomiędzy rodzicami

a dziećmi bardzo piękne są w ogólności, zwłaszcza ze strony rodziców. Amerykanki mają wrodzone uczucie macierzyńskie, ojcowie też nie ustępują matkom w tym względzie. Mają nadewszystko szczególną słabość do córek, niech im Bóg za to błogosławi.

Muszę na chwilę przerwać list, droga matko. Idę bowiem z rodziną Munroe, odwiedzić olbrzymie grobowce Indyan, ocieniono drzewami. Są to jedyne wspomnienia, pierwotnych tutejszych krajowców. Oprócz tego pozostały po nich imiona rzek i gór, po większej części harmonijne i pełne symbolicznego znaczenia. Nie więcej jak dwadzieścia lat temu wygnano zbrojną ręką z Georgji ostatnie pokolenia indyjskie. Świadek naoczny opowiadał szczegóły tej walki. Jednego poranku, musieli opuścić swoje namioty, swoje dymiące ogniska i groby starych ojców. Wygnano ich wraz z niewiastami i dziećmi, jakby bezbronną trzodę i głuchy jęk rozległ się w powietrzu!... Nie ma już Indyan w Georgji, ale niedaleko ztąd na zachodzie, w prowincyi *Alabama*, są jeszcze pokolenia *Czaktas* i *Czyckezany*. Teraz wesołe zebrania i pikniki odprawiają Amerykanie, na starożytnych grobowcach Indyan. Jutro odjeżdżam do Savannah.

Savannah, 11 Maja.

Otóż jestem tu droga matko, pożegnałam miłą rodzinę, która mnie tak gościnnie przyjęła. Nie wypoczęłam jeszcze po nużącej drodze koleją, po upale, dymie i kurzu, tych nieodłącznych jej warunkach. Koszyczek bananów jedyną był mi w ciągu dnia pociechą. Niech żyją banany! otóż zupełnie pogodziłam się z niemi. Dziś przyj-

mowałam już nie jedne odwiedziny, nie jedną dostałam wiązkę kwiatów, a między innemi wspaniałą magnolję, urocze dziecię pierwotnego słońca. Odwiedził mnie także pan Tefft, najsłynniejszy na świecie zbieracz autografów. Otworzył mi gościnny dom swój i wzywa uprzejmie do rodzinnego ogniska, podczas pobytu mego w Savannah.

Całuję serdecznie ręce i nogi twoje droga matko; duch mój ustawicznie jest z wami.

XVI.

Savannah, 14 Maja 1850 roku.

Najsłynniejszy zbieracz autografów na świecie, jest także najzacniejszym człowiekiem, serce ma wyborne i niezwykłą uprzejmość w charakterze. Zbiór autografów, który posiada, zachwycił mnie prawdziwie. Nie dla tego, że napełnia cały pokój i że trzebaby przynajmniej siedmiu miesięcy, aby go poznać z całą dokładnością; ale tem szczególnie mnie zajął, że do każdego autografu znakomitego człowieka, dołączony jest jego portret, list lub ustęp jaki ciekawy, a będący w blizkim związku z historją jego życia. Wszystko to nadaje zbiorowi autografów pana Tefft, wagę historyczną i biograficzną. Dom jego należy do najprzyjemniejszych w Ameryce. Pani Tefft, dwaj synowie i synowa, składają cichą rodzinę. I tu śmierć rzuciła swój całun żałobny, zabrawszy razem dwie ofiary. Starsza niewiasta opłakuje dorosłego syna; młodsza małego chłopczynę; zmarli obadwaj niedawno.

Śliczne to miasto Savannah! zielone trawniki zaścielają place, opasane wieńcem drzew olbrzymich. Szko-

da tylko, że za wiele tu piasku, a za mało wody. Lubię jednakże Savannah; życie tu umysłowe dzielniejsze, wyobrażenia, zwłaszcza co do kwestyi murzynów, zdrowsze niż w Charlestonie. Znam tu wielu nawet właścicieli niewolników, którzy pracują gorliwie nad ich oświeceniem i pragną najrychlej uwolnić ich i rozkolonizować.

Georgja nie małe w tym względzie położyła zasługi. Jakkolwiek prowincya ta, w późniejszych dopiero czasach przystąpiła do związku Stanów Zjednoczonych, czynnie jednak działała w sprawie niepodległości Ameryki. Wszystkie ludy zachowują długo wyciśnięte na sobie piętno wielkich ludzi, którzy pierwsi wiedli młodzieńcze ich kroki na drodze postępu. Tak też przyczynę wyższego ducha jaki ożywia Georgję, widzimy w osobie Jamesa Ogletbrope (Jakóba Oglsrop), pierwszego jej założyciela. Powiem ci słów kilka o tym człowieku, którego czytałam właśnie historyę. Wpośród tylu na świecie rzeczy niedokładnych i skrzywionych, od których radzi odwracamy oczy, miło niekiedy zwrócić je na człowieka, co żywot cały przeżył, wiedziony jedną myślą, działał w jednym i niezmiennym kierunku i dokazał swego na koniec, na człowieka co wziął sobie za cel, uszczęśliwiać o ile można bliźnich swoich i na tej zasadzie założył kamień węgielny państwa.

Wiek jeden upłynął odtąd zaledwie, jak James Oglethrope, przyszedł do tego kraju na czele zastępu wychodźców i rozbił swój namiot na przylądku, zachodzącym w morze przy ujściu rzeki Savannach, w miejscu gdzie leży dziś miasto tegoż nazwiska. Był to Anglik rodem, zaznał w życiu przygód nie mało, wysokie posiadał wykształcenie w naukach, odznaczył się na niejednem polu bitwy i jako członek parlamentu. Mąż ten, pełen ducha czynnego, serca pełnego dobroci i gorących uczuć, miał

litość nad rodakami, którzy w owym czasie, skazani zostali za długi na wieczne więzienie. Wyjednał im wolność i upatrzył im schronienie w swobodnych okolicach Nowego Świata, „kędy ubóstwo, nie wyciskało ohydy, na obliczu człowieka.“ W Anglji wielu znalazł ludzi przychylnych olbrzymiemu jego i pełnemu ludzkości zamiarowi. Zawiązało się towarzystwo które usiłowało wykonać plan Oglethrope'a i otrzymało od Jerzego II-go przywilej na zajęcie znacznego obszaru ziemi. Na pieczęci towarzystwa wyryty był po jednej stronie jedwabnik z następującem godłem: „Nie dla nas, ale dla drugich.“ Po drugiej stronia był genjusz Georgji, z kokardą wolności na głowie, trzymający włócznię w jednej ręce, a w drugiej róg obfitości. Rozgłos o uroku i bogactwie tej ziemi obiecanej, obudził powszechną uwagę. Oglethrope puścił się więc na morze, porzucił Anglję w listopadzie 1732 roku, z nielicznym orszakiem uwolnionych więźniów, złożonym ze stu dwudziestu osób i po pięćdziesięciosiedmio-dniowej żegludze zawinął do Charlestonu. Popłynął potem w górę nurtem rzeki Savannah i wylądował u podnóża gór, w miejscu, które obrał na zbudowanie miasta.

O pół mili ztamtąd żyli Indyanie z pokolenia *Ijamakrów*, przyszli oni pod przewództwem naczelnika swego *Tomo Czychy*, pragnąc zawrzeć przymierze z cudzoziemcami. „Oto maleńki podarunek — rzekł Indyanin, podając skórę bawoła, na której wymalowana była głowa orła i pióra tegoż ptaka. Miękkie są orle pióra i oznaczają miłość. Skóra bawołu ciepła, godłem jest opieki. Kochajcie więc i miejcie w opiece nasze dzieci.“ Oglethrope przyjął po przyjacielsku to wezwanie. Nowa osada w dniu pierwszego lutego stanęła obozem wzdłuż rzeki. Sam Oglethrope rozbił swój namiot pod czterema wielkiemi sosnami

i tak przemieszkał rok cały. W tej pięknej okolicy założył miasto Savannah, o szerokich ulicach i placach ogromnych. Przez las dziewiczy wyrąbano drogę, wiodącą do olbrzymiego ogrodu, który miał się stać później główną szkołą drzew owocowych dla całej Europy i Ameryki. Tym sposobem powstała Georgja, u kolebki jeszcze była ona miejscem ucieczki dla uciśnionych z Wielkiej Brytanji i całej Europy.

Sława Georgji rozeszła się po starym świecie, a bracia Morawczycy, prześladowani w swej ojczyznie, przyłożyli ucha do rady Anglji, która przyrzekła dać im grunta w Georgji, na dziesięć lat bez opłaty; tudzież utrzymywać ich cały rok na własnym koszcie i udzielić im wszelkich praw i przywilejów służących obywatelom angielskim.

Zabrawszy z sobą Biblję, Księgi psalmów, wóz pod starców i drobne dzieci, bracia Morawczycy puścili się w drogę, śpiewając hymny, w końcu października 1733 roku. Przebyli Ren płynąc łodzią pomiędzy winnicami i gruzami starych zamków, następnie zaś puścili się podczas zimy po przestworzu oceanu, na drugą ziemi półkulę. Straciwszy ląd z oczu, zaśpiewali wspólnemi głosami pieśń dziękczynienia. Gdy morze było spokojne, a słońce o zachodzie zrumieniło wspaniały przestwór oceanu, oni śpiewali wtedy: „Jakże świat stworzony pięknym jest, jakże Stwórca jego wspaniałym!“ Gdy wiatr dął niepomyślny bracia Morawczycy modlili się gorąco, gdy się zmienił, dziękowali pieśnią. Jeśli burza nie dozwalała podnieść żagli, modlili się i śpiewali psalmy „albowiem ktokolwiek miłuje Chrystusa Pana, wielkiej doznaje pociechy.“ Tak więc przybyli do brzegów Nowego Świata. W Charleston zastali Oglethrope'a, który powitał ich przyjacielsko. W kilka dni potem rozbili tymczasowo namioty, nie dale-

ko rzeki Savannah, poczem puścili się na miejsce im przeznaczone w głębi stałego lądu. Oglethrope zaopatrzył ich w konie i przewodniczył im w przejściu przez stepy, lasy i bagna. Indyanie służyli za przewodników, niosąc pochodnie z żywicznych gałęzi sosen. Wędrowali w ten sposób dopóty, aż upatrzyli sobie miejsce na założenie nowej osady, nad małą rzeką, którą nazwali Ebenezer. Tam zbudowali Morawczycy miasto tegoż nazwiska.

Tegoż samego roku założyli miasto *Augusta*. Sława Oglethrope'a przeniknęła w głębię pustyni i w maju tegoż samego roku, naczelnicy ośmiu gmin z pokolenia Muskhogirna, przyszli zawrzeć z nim przymierze. Stary naczelnik pokolenia Okonas, człowiek wysokiego wzrostu, mówiąc w imieniu wszystkich, rzekł: „Wielki duch, który jest wszędzie w około nas i wszystkim ludziom udziela swego tchnienia, przysłał Anglików, aby nas oświecili“ i powitał ich w kraju południowym u źródeł Savannah i wezwał, aby uprawiali ziemię, leżącą w około odłogiem. Na znak szczerości złożył u stóp Oglethrope'a ośm pęków skór kozich. Naczelnik pokolenia *Kanefa* powstał i rzekł: „Byliśmy w drodze przez dwadzieścia i pięć dni, aby was widzieć i powitać. Nie byłem dotąd nigdy w Charleston, obawiając się tak dalekiej drogi; ale dowiedziawszy się żeście przybyli, że jesteście dobrzy, przyszedłem ku wam, aby usłyszeć mądre rzeczy z ust waszych.“

Naczelnik pokolenia Czerokezów (Irokezów), przybył także. „Nie lękaj się — rzekł do niego Oglethrope — mów śmiało czego żądasz.“ Naczelnik góralów odrzekł na to: „Jam przywykł zawsze mówić śmiało i czegoż miałbym się lękać? Czyliż nie jestem z przyjaciółmi? Wszakże i wobec nieprzyjaciela nie znałem nigdy trwogi!“ Inny znów naczelnik daleko osiadłego plemienia przybył w następnym

roku dla zawarcia związków handlowych z Oglethropem. „Przychodzimy z daleka — rzekł — należymy do wielkiego narodu. Francuzi budują warownie zabezpieczając się od nas; długo prowadziliśmy handel z niemi, ale oni ubodzy, mało mają towarów. Pragniemy więc zawrzeć z wami stosunki.“

Dobra wiara jaką Oglethrope zachowywał w związkach z Indyanami, szlachetna jego postać i słodycz charakteru zjednały mu zaufanie dzikich krajowców. Upodobał sobie wielce ich prostotę w obejściu, usiłował oświecać ich umysł i dać im poznać Boga, którego czcili mimo wiedzy. Oglethrope ustanowił prawa dla Georgji. Jedno z nich broniło użycia mocnych trunków, inne zakazywało niewolnictwa, „jako przeciwnego Ewangelji i zasadniczym prawom angielskim. Później, gdy możniejsi właściciele w Savannah, prosili aby im pozwolono sprowadzić murzynów; Oglethrope odmówił stanowczo i oświadczył, że „jeżeli niewolnicy czarni wprowadzeni będą do Georgji, on ze swej strony opiekować się nie chce kolonją.“ I trwał w uporze, mimo, że niektórzy właściciele plantacyj postanowili go opuścić.

Oglethrope zajmował się czynnie urządzeniem Georgji. Umocnił i zabezpieczył jej granice, pozakładał miasta, zawiązał społeczeństwo. Odwiedzał braci Morawczyków nad Ebenezer, zakreślił plan ich miasta, pochwalił ich ustawy i zarząd. Wkrótce potem, mała kolonja sprzedawała corocznie po dziesięć tysięcy funtów surowego jedwabiu; indygo stanowiło także ważny przedmiot ich handlu. Koloniści morawscy, głosili pisma przeciw sprowadzaniu murzynów, zapewniając w nich, że i biali pracują równie pożytecznie jak tamci, pod gorącem nawet słońcem Georgji. Pobożność była podstawą ich związku, sądzili

sami własne sprawy, przyjmowali przygody życia jako wypływ Boskiej woli; byli spokojni i szczęśliwi. Zwiedziwszy miasta morawskie, Oglethrope udał się w kraje południowe, pełne winnic i zielonych dębów. Wtedy to zbudował twierdzę *Fryderyka.*

Zastęp walecznych góralów szkockich przybył w tym czasie szukać nowych ognisk pod chorągwią Oglethrope'a, on dowiedziawszy się o ich zbliżeniu, przywdział ubiór szkocki, podłynął rzeką Altamaha i powitał ich niedaleko Darien, gdzie założyli swoje siedziby. Przy pomocy walecznych górali, Oglethrope umyślił rozszerzyć granice Georgji, aż do rzeki St.-John (St. Dżon) we Florydzie. Indyanie z pokolenia Uczeserna, dowiedziawszy się o przygotowaniach do wojny, przybyli z pośpiechem umalowani na nowo i uzbrojeni w wojenne topory, do obozu Oglethrope'a. Po długej przemowie i złożeniu darów, nastąpiły dzikie bojowe pląsy. Inne pokolenia przybyły też w ślad za niemi i odnowiły przyjazne związki z Anglikami.

W roku 1734-ym Oglethrope popłynął do Anglji, gdzie wyjednał przywileje dla wzrastającej swej osady. W roku 1736 powrócił na czele trzechset nowych wychodźców, ktoremi opiekował się jak ojciec. Wylądował wraz z niemi w miejscu górzystem, niedaleko wyspy Tybek (Tibec). „Wszyscy upadli na kolana i dziękowali Bogu, że ich szczęśliwie przyprowadził do Georgji.“ Pomiędzy wychodźcami byli jeszcze i bracia Morawczycy, „którzy usiłowali w obyczajach swoich odtworzyć pierwsze czasy chrześcijańskich społeczeństw, kiedy nie było kasty, ani państwa, kiedy Paweł wyrobnik i Piotr ubogi rybak, rządzili natchnieni duchem Bożym. Z nimi przybyli dwaj bracia Wesey (Uezej). Karol, jeden z nich, sekretarz Oglethrope'a, pragnął gorąco apostołować w Imię Chry-

stusa, pomiędzy dzikiemi pokoleniami Indyan; chciał urządzić Georgję na kolonję religijną.

Później na rozkaz Anglji, Oglethrope rozpoczął walkę z Hiszpanami władnącemi we Florydzie. Dzielny mąż, szczęśliwym był w boju, zawsze pierwszy w obec niebezpieczeństwa, dzielił trudy wojenne z żołnierzami, czuwał nad pewnością spokojnych mieszkańców, po zwycięztwie zaś okazywał się ludzkim, słodkim względem jeńców wojennych. W lipcu 1742 roku Oglethrope nakazał w całej Georgji dziękczynne nabożeństwo za odniesione korzyści i przywrócony pokój.

Oglethrope więc jak widzimy, rozkolonizował i ocalił Georgję. Gdy słynny tem mąż dobiegł dziewięćdziesięciu lat życia, mógł z pociechą rzucić okiem na kwitnące państwo, które dźwignął potęgą swej woli, a utrzymał siłą ramienia, które wreszcie utwierdził na takiej stopie moralnego i materyalnego wykształcenia, że Anglja taką pochwałą uczciła nowo powstałą Georgję: „Nigdy żadna kolonja nie zawiązała się na ustawach zgodniejszych z prawami ludzkości.“

Aż do ostatniej chwili życia Oglethrope występuje przed nami „jako jedna z najpiękniejszych postaci,“ jako typ prawdziwie godnej poszanowania starości. Zachował do końca wszystkie władze umysłu i serca, zawsze bohaterski, pełen rycerskiego ducha i rycerskiej ogłady, kochał gorąco ludzi i pragnął szczerze powszechnego dobra.

Bo śmierci Oglethrope'a wiele usunięto szlachetnych ustaw w Georgji. Wprowadzono użycie trunków, a pomału pozakładano i osady murzyńskie. Wszakże duch miłości, który ożywiał Oglethrope'a, nie wygasł jeszcze w tym kraju, czuć wyraźnie jego tchnienie. Wychodźcy z północnych Stanów Ameryki, a mianowicie z Nowej

Anglji, napływają tu tłumnie i działają stanowczo na miejscową ludność i jej ustawy. Murzyni szczęśliwsi tu i swobodniejsi nierównie, niż w innych okolicach Stanów Zjednoczonych. Wolno im mieć swoje własne kościoły, wolno im nawet przemawiać publicznie do braci. W Georgji ogół zajmuje się szczerze oświeceniem Murzynów, tudzież usamowolnieniem ich i rozkolonizowaniem w wolnej Liberyi, na północno-zachodnim brzegu Afryki. Co rok odpływa tam z Savannah, okręt pełen oswobodzonych Murzynów, zaopatrzonych w żywność, w pieniądze i gospodarskie narzędzia. Czytałam kilka listów pisanych z Liberyi, ztąd przekonałam się jak przyjazne stosunki zachowuje wielu Murzynów z dawnemi panami swemi, zwłaszcza jak ściśle wiąże ich z niemi wspólne religijne ogniwo.

Im lepiej poznaję Murzynów, tem ciekawiej ich badam, tym szczersze mam dla nich współczucie. Nie widzę w nich wprawdzie żadnej wyższości nad białem plemieniem, widzę, że pod względem inteligencyi nie dorównywają mu wcale. Posiadają wszakże swoje zalety i to niepospolite. Mają z natury zdrowe pojęcia moralne, czują żywo, weseli są i dobroduszni, do muzyki wielką okazują zdolność. Jeżeli brak im twórczego ducha, umieją jednak stosować szczęśliwie to, czego się raz nauczyli. Pieśni ich zajmują niezwykłą słodyczą, wesołością i wdziękiem. Rozumieją dobrze zasady chrześcijańskie i usiłują wprowadzić je w życie.

W Niedzielę byłam w tutejszym murzyńskim kościele z panem Fay, godnym potomkiem starych pielgrzymów, osiadłym w Savannah. Kazanie miał Murzyn, zwany Bentley. Mówił z łatwością i życiem o przyjściu Zbawiciela na ziemię. „Przypominam sobie—rzekł—kiedy pre-

zydent Stanów Zjednoczonych odbył podróż do miasta naszego Savannah, jaki ruch powstał między ludem, jak się tłumy cisnęły na jego spotkanie. Grube kłęby dymu buchały z lokomotyw, strzały z armat huczały przeraźliwie. Prezydent przybył wielkim i ozdobnym powozem, zaprowadzono go do najpiękniejszego domu w mieście, poczem stanął w oknie i przyglądał się tłumom. Wtedy to przeciągnięto linę wkoło domu i tym sposobem zabroniono przystępu murzynom i innym biedakom. Musieliśmy stać sobie zdaleka, podczas gdy wielcy i bogaci panowie otoczyli siedzącego w oknie prezydenta, a on podawał im rękę na powitanie. Czyliż Chrystus przybył w ten sposób? Przyszedł że on po to, aby podać rękę bogaczom? Nie! Błogosławiony Zbawiciel przybył do ubogich prostaczków. On przybył do nas, dla naszego zbawienia, moi mili bracia i siostry! „Amen“ — wołali wszyscy zgromadzeni. „Tak jest, tak, Pan przybył do ubogich, przybył wyłącznie dla nas. Błogosławmy go! Amen. Alleluja!“ I ściany kościoła brzmiały od głośnej wrzawy; murzyni tupali nogami, śmieli się i płakali, z ożywionem radością obliczem. Mówca znów zabrał głos po chwili i mówił jakim sposobem Chrystus okazał, że był zesłańcem Najwyższego. „Wyobraźcie sobie moi bracia -- rzekł — plantacyę pełną Murzynów. Właściciel odjechał daleko, daleko za morze, aż do samej Anglji. Murzyni z plantacyi nie widzieli nigdy jego twarzy, nie znali nigdy człowieka wyższego znaczeniem nad dozorcę. Wtem dowiadują się, że ich właściciel i pan ma przybyć wkrótce, ciekawi go poznać, zapytują wszystkich o niego. Widzą nakoniec jak dnia jednego przychodzi dozorca z nieznajomym, ale nieznajomy skromniejsze ma szaty od dozorcy. Ten bowiem przybrał się w piękny frak ze świecącemi guzikami, białą

ma chustkę na szyi, ładny kapelusz na głowie, a do tego i rękawiczki. Nieznajomy tymczasem nosi odzież codzienną i zaniedbaną. Gdyby Murzyni nie znali dozorcy, wzięliby go za pana. Ale spostrzegają, że nieznajomy wydaje rozkazy, że zwołuje Murzynów, że ich rozsyła i rządzi nimi wedle woli. Przekonywają się więc, że mają do czynienia z panem.“ Ileż ten obraz, wzięty z codziennego życia Murzyńców, ma w sobie żywotnej barwy?

Po południu poszłam z panem Fay na inne murzyńskie kazanie. Kaznodzieją był stary mulat, piękny i krzepki starzec. Posiadał on dość znaczny majątek i wielkie ma wzięcie pomiędzy swoimi. Powiadano mi, że ma lat blizko dziewięćdziesiąt i pięć, powierzchownością podobien do ludzi białego plemienia. Opowiadał, jaki zasób doświadczeń zebrał w ciągu żywota; ile przetrwał niepokojów i udręczeń, jak blizkim już był samobójstwa, aż nareszcie zdołał pojąć Chrystusa Pana i zbawienie. „Wtedy świat cały zmienił się w oczach moich, dodał, wszystko odrodziło się na nowo i ożywiło nieśmiertelnym promieniem piękności. Nawet małżonka, towarzyszka mego życia, zaświeciła mi blaskiem gwiazdy i rzekłem do niej: „zaprawdę, kocham cię niewiasto.“ Na te słowa panienka która siedziała przy mnie, nachyliła się dla pokrycia uśmiechu i ja pochyliłam się także, aby ukryć łzę szczerego rozrzewnienia i współczucia. Po kazaniu pan Fay i ja podaliśmy rękę staremu mulatowi. Wszyscy zebrani murzyni i murzynki poczęli śpiewać pobożne hymny. Gdy się skończyło nabożeństwo, niewiasta jakaś uklękła przed ołtarzem, a stary kaznodzieja wyrzekł nad nią piękne słowa modlitwy, chcąc tym sposobem zażegnać skrytą jej boleść i udręczenie.

XVII.

16 Kwietnia.

Wielkie mamy już upały, siły ustają od gorąca, gdyby nie to, byłoby mi tu wybornie między zacnemi ludźmi, u których jestem obecnie. Poznałam niedawno rodzinę Macintosch (Makintosz), która szczerze pracuje nad oświeceniem i rozkolonizowaniem Murzynów. Młode panienki uczą same dziatwę murzyńską w plantacyach ojca i nie mogą dość wypowiedzieć ich zdolności. Jakże mnie to pociesza! jakież pole działalności otwiera się dla młodych osób w Stanach Południowych? Szkoda tylko, że nie wiele z nich obrało tę drogę. Ułożyłam zamiar zwiedzić Florydę w towarzystwie tej miłej rodziny. Ale „człowiek układa, a Pan Bóg dysponuje.“

Śliczne są widoki nad brzegami rzeki Savannah, kwiaty i drzewa zadziwiają bogactwami i pięknością. Znajomi moi obwożą mnie często po okolicy. Zwiedziłam już piękny park zwany „Bonawentura.“ Ogromne dęby, wysadzane rzędem, oplecione zielonemi zwojami bluszczu, przypominają olbrzymie sklepienia starych katedr gotyckich. Nic piękniejszego nad widok tych miejsc, gdy słońce o zachodzie wniknie różowym promieniem pod owe ponure arkady. Młodzi malarze amerykańscy powinniby takie malować widoki. Od niedawnego czasu obrócono ten park na miejsce wiecznego spoczynku. Pomniki białe marmurowe oplecione bluszczem, kryją się w cieniu tych odwiecznych dębów. Kwiaty południowe, jak magnolja i jaśmin, w pełnym są teraz rozkwicie, ale woń ich

nadzwyczaj mnie odurza. Kobiety tutejsze strzegą się przebywać las w tej epoce, gdyż ostre wyziewy kwiatów psują ich płeć delikatną. Jakaż to różnica od rzeźwiącej woni naszych sosnowych lasów!

Dziś właśnie jadąc przez mały sosnowy gaik niedaleko miasta, widziałam wielkie mnóstwo poziomek; dziwiłam się, że ich dzieci murzyńskie dotąd nie wyzbierały. Zerwałam kilka, skosztowałam, ale były cierpkie, bez woni. Zwiodłam się także na widok innej rośliny, zwanej gruszką kolczastą. Jest to niewielki kaktus, z pięknym żółtym kwiatem, tak pokryty kolcami, że kto się o kwiat pokusi, drogo przypłaca swoją niebaczną ciekawość.

Zwiedziłam piękny zakład, dom przytułku dla sierot różnych wyznań i narodowości. Kobiety rozmaitych religij zawiadują nim wspólnie. Oprowadzała mnie młoda żydówka, gorliwa w wierze swych ojców. Główną opiekę nad zakładem mają siostry miłosierdzia, katoliczki. Urządzenie tego domu bardzo mi się podobało.

Za parę dni opuszczę Savannah, popłynę ztąd pod wodę do miasta zwanego Augusta, o którem było już poprzednio. Mówią, że to dość nudna i jednostajna podróż, jednak wolę statek parowy nad kolej żelazną. Napiszę ci dłużej z miejsca nowego pobytu.

XVIII

Kolumbja (Karolina południowa), 25 Maja 1850 r.

Dawno nie pisałam do ciebie, moja Agato, ale czas ucieka, a ja nie mam chwili. Opuściłam Savannah obsy-

pana darami i upominkami nowych moich znajomych. Nie zapomnę nigdy uprzejmej gościnności pana Tefft, w którego domu bawiłam czas jakiś. Bez mojej wiedzy zapłacił za mnie koszta podróży do Augusta. Mówią tak wiele o chciwości Amerykanów; nie dosyć jednak oceniają ich hojność. Lubią oni wprawdzie zarabiać, ale też obdarzają drugich z równem upodobaniem.

Podróż do Savannah, wielką sprawiła mi przyjemność. Czas był prześliczny, wiatr silnie poruszał wodę, statek płynął więc pomału. Miałam czas przypatrzeć się pięknej okolicy, widok wprawdzie jednostajny, ale nowy; lasy dziewicze, pełne olbrzymich drzew i gęstych zarośli, oplecionych zwojami zielonego bluszczu, ciągnęły się wzdłuż rzeki wybrzeżem Georgji i Karoliny. Zdało mi się, że oglądam ziemię w trzecim dniu stworzenia, gdy na słowo Boże, rośliny wystąpiły z pod jednej skorupy, okryte kwiatem i owocem. Ciemno-czerwone wody rzeki, jakby co dopiero wyszły z chaosu i nie miały czasu, złożyć na dnie mętów swoich. Z ciemnej masy drzew, tworzącej na przemiany sklepienia, bramy, piramidy i fantastyczne posągi, wychylała się niekiedy katalpa z płomienistym kwiatem, lub magnolja w śnieżną koronę przyodziana. Uderzały mnie także pyszne sykomory i tulipanowe drzewa, kwitnące żółto i czerwono, wspaniałe morwy i dęby, wiązy i wierzby olbrzymie. Po nad wszystkiemi drzewy, panował niebotyczny cyprys, oplecion y w bluszczowe festony. Nigdzie śladu ludzkiej stopy, ani ludzkiej ręki, na tych uroczych brzegach. Nigdzie nawet nie widać tropu dzikiego zwierza, a lubo jak mówią, nie brak krokodylów w okolicach Savannah, ja przynajmniej nie widziałam żadnego. Ptastwo nie śpiewało wcale, wiatr ustał, głuche milczenie zaległo okolicę. Była to

urocza samotność, w pełnym wiosennym rozkwicie. Raz tylko jeden spostrzegłam parę drapieżnych ptaków, czatujących na gałęzi suchej sosny, widok ich przypomniał mi „że i śmierć weszła do stworzonego świata.“

Płynęliśmy pod wodę statkiem parowym *Oregon*, o dwóch wielkich kominach. Słońce i księżyc, współzawodnicząc ze sobą nawzajem, pojawiły się razem na widnokręgu w piękny majowy poranek, a ja śpiewałam w głębi duszy pieśń pierwszych osadników Georgji.

„Jakże świat stworzony jest piękny, jak wielkim jest Jego stwórca.“ Wielkie zaprawdę skarby, ta część świata ukrywa w swojem łonie!

Rzeka Savannah stanowi granicę pomiędzy Karoliną i Georgją. W Karolinie miałam wprawdzie dobrych znajomych, ale Georgja więcej miała dla mnie uroku. Od jej brzegów żywotniejsze jakieś powiewało tchnienie. Chcąc użyć prawdziwej przyjemności w podróży, unikałam salonu, gdzie kilka młodych i ładnych, ale roztrzepanych dziewcząt, podróżując same, używało głośnej swobody; unikałam niemniej stojących na pokładzie plantatorów, którzy aż do znudzenia rozprawiali o bawełnie. Chciałam być sama jedna w obec rzeki i dziewiczego lasu.

Nazajutrz była niedziela. Przyroda cała przybrała się jak na święto. Młode panienki nawet umilkły, pokój dnia świątecznego oddziałał na nie widocznie. Gdyby w tej chwili zstąpił z nieba jaki rozsiewca i rzucił posiew prawdy w owe młode dusze, ziarno padłoby w dobrą ziemię. Ojcowie i matki w Ameryce dając zbyt wiele swobody dzieciom, nie dość zwracają uwagi na odwieczne zdanie, że przywyknienie staje się drugą naturą.

Wsiadłam na statek w Savannah w sobotę po południu, a w poniedziałek rano przybyłam do Augusta. Pan

Bonnes przyjechał po mnie powozem i zawiózł do domu swego, gdzie oczekiwała na mnie miła jego żona, Irlandka rodem i Hanna Longstreet (Longstry), blada panienka z którą odbywałam pierwszą przeprawę po oceanie. Uważałam z radością, że zdrowie jej polepszyło się znacznie. W domu, otoczona rodziną, milsza jeszcze była jak dawniej.

Spędziłam kilka przyjemnych dni w Augusta, ranki trawiłam na oddalonych wycieczkach, wieczorem tylko przyjmowałam odwiedziny. Pomijając czcze znajomości, poznałam wiele osób obojej płci, szczerze przejętych chrześcijańskim duchem, którzy pracują w milczeniu, ale mądrze i czynnie, w sprawie oswobodzenia murzynów. W tym celu dają im zarabiać jak najwięcej pieniędzy, zachęcają ich do pracy, słowem usposabiają ich, aby w danym czasie umieli korzystać z daru zupełnego usamowolnienia, o którem dla nich zamyślają. Jeden z tych przyjaciół ludzkości zaliczył naprzód pieniężną kwotę murzynce, kobieta zasilona takiem wsparciem, przedsięwzięła pracę i tyle z niej odniosła korzyści, że nie tylko miała czem opłacać właścicielowi procent od summy wyłożonej na jej nabycie, ale jeszcze okupiła czworo drobnych dziatek; pozostało jej piąte, na którego okup pracowała obecnie. Co myślisz o tej kobiecie, która poświęca własną swobodę, byle ją okupić rodzinie? W starożytnych Atenach i Sparcie taką matkę ogłoszonoby „zaszczytem ludzkości.“ Tu ona jednak żyje nieznana. Zadowolona losem swoim, powiada, nie pragnie zamienić niewoli za życie swobodne ale ciężkie w Liberya. „Jak się zestarzeję i nie podołam pracy, panowie moi dadzą mi przytułek i życie.“ Tak myśli wielu starych niewolników, boją się swobody, przy której musieliby zaradzać własnym potrzebom. Dobrze to wprawdzie

dla tych co mają dobrych panów, a w przeciwnym razie jednak, los ich jest bardzo niepewny i smutny.

Osady Murzynów w Georgii, tak samo wyglądają jak te, które zwiedzałam w Karolinie. Różnica dobrego pana od złego, stanowi różnicę doli tych biedaków. „Tu mieszka plantator znany z okrucieństwa, mówiono mi, gdyśmy przejeżdżali raz koło białego dworku, ukrytego wśród kwitnących krzewów, każdy wie o tem, nikt go prawie nie odwiedza“ otóż w tem cały wymiar sprawiedliwości.

Innego dnia odwiedziłam w boru lud ubogi, który żywi się gliną. Są to ludzie białego plemienia, mnóstwo tych biedaków tuła się po Karolinie i Georgii; żyją w lasach, bez kościoła ani szkoły, a częstokroć nawet bez ogniska i dachu. Mają oni szczególne, chorobliwe jakieś upodobanie, do żywienia się tłustą gliną, której tu wszędzie podostatkiem. Ten dziwny zwyczaj, zamienia się u nich w namiętność, trudną do pokonania równie jak pijaństwo. Biedni padają zbyt rychło ofiarą tego dziwnego upodobania, skóra ich żółknie, ciemnieje i przybiera zwolna barwę ziemi, która służy im za posiłek. Owi ludzie nie ulegają żadnym prawom, niewiadomo zkąd przyszli, z czego żyją. Mnóstwo ich osiadło w piaszczystych okolicach południowych Stanów Zjednoczonych. Ponieważ prawa miejscowe zabraniają wszelkiej nauki Murzynom, ubogie tłumy białych nie pobierają także żadnego wykształcenia. Brak im przytem uczucia honoru, współzawodnictwa i chęci do pracy. Tu, gdy biały przyjdzie do jakichkolwiek pieniędzy, natychmiast kupuje Murzyna, który wszystko robi za niego i cały dom utrzymuje. Często nędza i niedostatek, tak panu jak i słudze ciężko się dadzą we znaki. Z pomiędzy ludzi karmiących się gliną, poznałam rodzinę Groena. Groen mieszka w głębi lasu, żadna ścieżka nie wiedzie do

jej siedziby. Dzień był gorący, powietrze duszne. Dęby jadowite, rodzaj drzew karłowatych, rosły w piasku dość bujnie. W głębi lasu, ujrzałam dom nowo zbudowany z drzewa, staraniem ludzi miłosiernych, którzy opiekowali się biedną rodziną. W tym domu mieszkał mąż, żona i sześcioro dzieci. Mieli wprawdzie dach po nad głową, ale nie widziałam wśród pustych ścian najmniejszego sprzętu. Groen, mały człowiek pięćdziesięcioletni, szczęśliwy był sam z siebie, z drobnej rodziny, a nadewszystko z żony, którą przedstawił nam jako najlepszą w świecie kobietę. Żona, jakkolwiek chuda, wybladła i odziana brudno, młodą mi się wydała i piękną. Smutno i milcząco poglądała na drobną dziatwę, która wesoło bawiła się w chacie.

Groen mówił wiele, opowiadał nam rozliczne życia swego przygody. Był czas jakiś dozorcą murzynów u bogatego właściciela plantacyi. Nie miał serca pastwić się chłostą nad biednymi robotnikami, krótko też pozostał na urzędzie. Groen czuł się swobodnym jak król i zadowolonym ze swego niewinnego ubóstwa.

— Czyliż nie można obchodzić się łagodnie z Murzynami, będąc ich dozorcą? — zapytałam.

— Nie — odpowiedział Groen — trzeba koniecznie być surowym i okładać ich biczem, gdy pracować nie chcą; pan mój nie byłby pozwolił na inne obejście.

Nazajutrz po tych odwiedzinach, byłam obecną przy oddaniu szpady honorowej młodemu oficerowi, który odznaczył się i odniósł ranę w wojnie Meksykańskiej. Wzniesiono podwyższenie w ładnym parku za miastem, w koło na galeryi otaczającej w półkole to miejsce. Mnóstwo było widzów. Oficer stał na podwyższeniu zdobnem

w kobierce i sztandary. Scena ta, pod gołem niebem, w cieniu drzew rozłożystych, bardzo była zajmująca. Mowy tylko wydały mi się za długie. Bohater dnia tego zajął mnie szczerze; wyliczył bowiem zasługi swych towarzyszów broni; opowiadał mnogie dowody ich waleczności. Słuchacze przyklasnęli mu z zapałem.

Gdy młodzian zstąpił z podwyższenia, przyjaciele otoczyli go w około, szpada honorowa z rąk do rąk przechodziła. Muzyka zabrzmiała i rozpoczęły się wesołe pląsy, bohater dnia, tańcował ciągle w pierwszej parze. Deszcz jednak rzęsisty przerwał tę wesołą zabawę.

Gdym powróciła do domu, z rodziną Bonnes, słuchałam pieśni Murzynów, których sprowadziła z umysłu Hanna Longstreet. Śpiewali na cztery głosy, piękne religijne hymny. W ciągu tego przejmującego śpiewu, kogut piał bezustannie. Później dopiero dowiedziałam się, że to nie kogut, ale młody murzynek z pobliskiego domu, który chciał także należeć do koncertu.

Potem inny Murzyn, przygrywając sobie na instrumencie podobnym do gitary, zwanym *banio*, śpiewał ludowe świeckie piosenki, upowszechnione w północnych Stanach Zjednoczonych Ameryki. Melodye ich wesołe i pełne życia, przypominały mi nieco proste melodye Hejdena i Mozarta. Słowa niekiedy są niedołężne a obrazy dziwaczne, częstokroć jednak napotykamy prawdziwie poetyczne zwroty, śmiałe przenośnie, szczęśliwe przeskoki, równie jak w starożytnych pieśniach Skandynawskich.

Piosenki murzyńskie, opiewają najczęściej miłosne przygody ludu i zwyczajne szczegóły domowego życia. Mało w nich fantazyi, mało wątku osnutego na podaniu jak to bywa w naszych legendach, lecz za to uczucie w nich nie udane i wyborne a często humorystyczne oce-

nienie obecnej chwili. Pieśni te powtarzają murzyni przy pracy podczas znojnego żniwa, lub też puszczając łódki z biegiem rzek i strumieni. Są to po większej części improwizacye, stworzone na prędce, pod wpływem szczerego uczucia. Rym w nich prosty, nie uczony, często chropawy, miura za to przecudowna, a obrazy zaprawione miejscową barwą. Znajdujemy w tych pieśniach, nazwy wszystkich miejsc kędy przebywali murzyni, jak Alabama, Luizyana, Tennessee (Tenessei), Karolina i starożytna Wirginja. Prawdziwe to kwiaty życia biednych Murzynów, pełne woni, jak kwiaty wzrosłe na pustyni. Mamy w nich dokładne dzieje tęsknego ich serca. Najmniejszej nie czuć w nich goryczy. Brzmieć one tu będą wtedy jeszcze, gdy murzynów braknie w Nowym Świecie.

Pomiędzy pieśniami, uderzyła mnie jedna, cudnie piękna melodyą swoją. Z jej słów pamiętam tę jedyną zwrotkę: „Idę nad stary Peedee, a nad starym Peedee w noc letnią księżycową zobaczę Sally.“

Piosenka opowiada dalej, jak młody murzyn pojął w małżeństwo swoją Sally, jak zamieszkali i żyli szczęśliwi nad brzegiem Starego Peedee. Śliczna to prawdziwie południowa sielanka. *Banio*, instrument afrykański, wyrobiony jest z połowy tykwy. Otwór pokrywa cienka skóra lub pęcherz, na którym przeciągnięte są dwie struny, przytwierdzone do szyjki.

Chcąc ocenić całą piękność murzyńskich pieśni, trzeba je koniecznie słyszeć śpiewane przez murzynów, widzieć ich ruchy pełne życia i płomieniste spojrzenie.

Miasto Augusta, zbudowane na zagięciu rzeki Savannah, piękne jest lubo nie wielkie; w okolicy miasta

pełno ładnych wiejskich domków z ogrodami. Pragnęłam szczerze poznać górzystą część Georgji, i wodospad Tellulah, o którym tyle mi mówiono w Charlestonie. Pragnęłam także poznać oryginała, co przed parą laty zbudował wielką oberżę, u stóp wodospadu i nazwał starszą córkę *Magnolia Grandiflora*, drugą zaś *Wodospadem Tellulah*, ale dla nadzwyczaj skwarnego upału, umyśliłam powrócić do Charlestonu, na Kolumbią stolicę Karoliny południowej. Pożegnałam więc zacną rodzinę Bonnes, szczęśliwa ze zdobytego złota, które nierównie więcej warto, niż złoto kalifornijskie. Pan Bonnes odprowadził mnie do kolei żelaznej, na przeciwny brzeg rzeki.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez plac targowy, podczas gdy przeprowadzano po nim czterdziestu lub pięćdziesięciu obojej płci murzynów; z któremi oczekiwano na kupca. Wysiedliśmy na chwilę z powozu. Młodzi murzyni wystawieni na sprzedaż mieli od dwunastu do dwudziestu lat zaledwie. Był między innemi i pięcioletni chłopczyk; tulił się biedak do stróża, kilka mulatek zadziwiło mnie niepospolitą pięknością. Jedna z nich nawet dziwnie białą miała cerę. Stróż powiadał mi, że w zeszłym dniu, przedano piękniejszą jeszcze dziewczynę za tysiąc pięćset dolarów. Jakież to pogaństwo w kraju chrześcijańskim! Wszystkie niemal dziewczęta, zdawały się wesołe i swobodne. — Tym gorzej — pomyślałam — największy dowód upodlenia w tem właśnie, że w końcu człowiek go i nie czuje.

Odwóciwszy oczy od tej czarnej skazy, co tak plami piękną Georgią, poniosłam je w inną stronę, zwaną *Liberty-country* (Kauntry — hrabstwo wolności). Tam to odbyły się pierwsze poruszenia, w sprawie niepodległości

południowych Stanów Ameryki. Umarł właśnie w Liberty-Country bogaty właściciel plantacyj, pan Clay (Klej), znany z wielkiej miłości dla ludzi. Tłumy białych i murzynów towarzyszyły mu na miejsce wiecznego spoczynku. Po pogrzebie biali powrócili do domów swoich, murzyni zaś pozostali przy grobie i przez całą noc śpiewali pobożne hymny. Siostra zmarłego zajmowała się wraz z bratem podźwignieniem z upadku czarnego plemienia. Niech Bóg błogosławi poczciwym jej trudom.

Niedola murzynów z następnego punktu uważaną jest obecnie w Georgji:

„Jest to złe, ale mądrość Boga obróci je niebawem na korzyść murzynów. Biali ich właściciele spłacają pomału dług swój, dając murzynom chrześcijańskie zasady, ucząc ich rzemiosł i uprawy roli. Gdy im nadadzą wyższe jeszcze ukształcenie, oswobodzą ich i wyszlą do Afryki, gdzie ci murzyni sami cywilizować będą drobne pogańskie ludy.“

Bujna roślinność Georgji przypomina bliskość zwrotnikową i nowe oblicze nadaje ziemi. Pyszna roślina zwana Yucca gloriosa czyli puginał hiszpański, wydaje liście spiczaste w około wysokiej łodygi i prześliczne grona białych kwiatów w kształcie dzwonu. Ale czas już pożegnać Georgję, piękne jej kwiaty i uprzejmych mieszkańców.

Kolumbja małe miasteczko, składa się z prześlicznych letnich mieszkań i ogrodów. W pośród tego wznosi się wspaniałe Kapitolium. Kolumbja jest stolicą Karoliny południowej, a każdy stan należący do związku, ma własną stolicę, w niej zaś gmach zwany Kapitolem, kędy zbiera się co rok podwójne ciało prawodawcze, senat i Izba reprezentantów narodu. Kolumbja leży na wzgórzu, po nad rzeką Congree. Oglądałam tam słynne zbiory natu-

ralisty Gipsa (Szyps), zawierają one między innemi szkielety olbrzymich zwierząt przedpotopowych, jak mastodonta i innych, które wykopano w tych stronach. Ząb ich jeden ma wielkość mojej ręki. Pan Gips dał mi dokładny opis i rysunek tych zwierząt, dał mi także śliczne gniazdko kolibra, ułożone sztucznie ze zdziebełek trawki i papierowych skrawków.

Professor F. zaprosił mnie na wesele dwóch par murzyńskich, które obchodził w swoim domu. Nowożeńcy młodzi byli i przystojni, zwłaszcza jeden z murzynów, czarny jak noc, a według świadectwa pana, człowiek z wyższem pojęciem i prawym charakterem. Jedna z murzynek doskonałej była piękności. Obiedwie miały na sobie suknie białe i wieńce z kwiatów na głowie. Ksiądz wszedł w grono murzynów, przystąpił ku nowożeńcom i spełnił obrzęd zaślubin z lekceważeniem. Wkrótce potem w tejże samej izbie rozpoczęły się pląsy; murzyni i murzynki tańczyli walca, kobiety miały na sobie gazę i kwiaty, zupełnie ubrane były jak nasze panie, z tą różnicą, że mniej było smaku w ich stroju, a za to nierównie więcej bijących w oczy świecideł. Podczas gdy towarzystwo czarne tańcowało z zapałem, zgromadzenie białych poszło obejrzeć stół weselny, uginający się pod ciężarem półmisków i pięknie zastawiony w kwiaty, owoce i ciasta.

XIX.

Charleston, 2 Czerwca.

To miasto prawdziwie piękną przybrało postać, wygląda dziś, jak olbrzymi bukiet z kwiatów. Znajomi moi przyjęli mnie w rozrzewniający prawdziwie sposób. Od kilku dni jestem znów w domu pani Howland, gdzie przybyłam na pół upieczona, od upału, słońca, dymu i kurzu; ale tu zastałam lato szwedzkie i odetchnęłam nieco po trudach podróży.

Justyna, starsza córka pani Howland, przybyła nareszcie do domu po całorocznym pobycie w Baltimore. Przyjmowano ją z niewymowną radością.

Od mego przyjazdu do Charlestonu używam w całem znaczeniu przyjemności spoczynku. Patrzę z upodobaniem na roje kolibrów, jak krążą swobodnie w około kwiatów, lub na ćmy sokołów, z rozpostartemi malowniczo skrzydły i duchem wnikam w przeszłość miasta i okolicy.

Karolina Południowa tak w prawach swoich jako też i współczesnych stosunkach, nosi wyciśnięte na sobie arystokratyczne piętno, stokroć bardziej aniżeli Georgja, Massachussets (Massaczusets) i Wirginja. Te dwa macierzyste ule, zkąd rozbiegły się roje ludności po całych Stanach Zjednoczonych, wysłały także pierwszych osadników i do południowej Karoliny. Purytanie i szlachta spotkali się tu, tak jedni, jak i drudzy powodowani chęcią zysku.

Dwaj Anglicy, lord Shaftesbury (Szeftesbery) i John Loelle (Lel), założyli tu wspólnie związek arystokratycz-

ny i uznali murzynów jako własność bezwarunkową właścicieli. Wszakże starożytne dzieje Karoliny wspominają piękną chwilę, w której ta prowincya dała przytułek uciśnionym dzieciom Starego Świata.

Szlachetny Coligni, naczelnik Hugonotów we Francyi, prześladowany w swej ojczyznie, spojrzał na południową Karolinę, jako na bezpieczne miejsce schronienia. Gdy wojna domowa wybuchła z całą zaciętością, porażeni Hugonoci, ratując się ucieczką, przebyli ocean i stanęli na tej ziemi obiecanej i pełnej wiecznie rozkwitłych kwiatów.

„Opuściliśmy nocą dach rodzinny — mówi młoda Judyta Marigault, w chwili, kiedy straż zaspała. Przez dziesięć dni ukrywaliśmy się w Delfinacie, podczas gdy nas usilnie poszukiwano. Opisawszy pełną przygód żeglugę, tak Judyta ciągnie dalej opowiadanie swoje:

„Przybywszy do Karoliny, doznaliśmy wielu nieszczęść. Po ośmnastu miesiącach, brat nasz starszy umarł na gorączkę; wyczerpany pracą nad siły. Od czasu opuszczenia Francyi doświadczyliśmy wiele zgryzot, znieśliśmy choroby, głód, mór i nędzę. Przez pół roku pracowałam w ziemi jak niewolnica, nie mając czasami kęsa chleba na posiłek. Bóg jednak dodał nam siły w przeciwności.“ Potomek Judyty Marigault, wzbogaciwszy się pracą, poświęcił w czasie wojny o niepodległość wielką część majątku na usługi kraju, który tak gościnnie przyjął jego przodków. Rodziny prześladowane z prowincyj Langwedoeyi, z Samtonge, z miast Roszeli, Bordeaux i wielu innych, schroniły się do Południowej Karoliny. Nadano im obszary ziemi na kwiecistych brzegach rzek, gdzie mogły złożyć hołd dziękczynny Bogu, pod cieniem drzew wiekuistych. Tym sposobem Karolina Południowa stała się ostoją Purytanów Francuzkich; wiele z tych rodzin

przetrwało dotąd, ale z pochodzenia swego zachowali oni ledwo imię. Język ich, obyczaje, wspomnienia, zatarły się pod wpływem obcej narodowości.

Pani Howland zaprowadziła mnie wczoraj przed wieczorem na targ blizko portu, gdzie murzyni z okolicy sprzedawali swoje drobne wyroby i ogrodowiny, a za nabyte pieniądze zakupowali mnóstwo potrzebnych im przedmiotów. Niektórzy powracali do łodzi, niosąc na głowach dzbanki lub koszyki z bułkami i cukrem. Wrzawa panowała trudna do opisania. Niepojmuję sama, jak się to wszystko pomieściło w dwóch przytwierdzonych do brzegu łodziach. Odpłynęli nakoniec, ale chwilę jeszcze w oddaleniu brzmiały ich głośne śmiechy, a zęby białe jak kość słoniowa, połyskiwały w mroku wieczornym. Gdy się bardziej jeszcze oddalali, słychać było tylko plusk wody trącanej wiosłami, a w końcu zabrzmiała pieśń harmonijna.

Te proste dzieci natury mają przecież wrodzony instynkt arystokratyczny. Wielu z nich chlubi się z dostatków swego pana. W ogóle spostrzegam w nich zupełny brak uczucia narodowego. Szanują wprawdzie związki rodzinne, ale nie mają żadnych wspólnych wspomnień, żadnej wspólnej dążności.

Ludność czarnych plemion na południu wzrasta corocznie; światło cywilizacyi działa na nią przez wpływ oswobodzonych murzynów i mulatów, którzy zarówno z białymi mają prawo do publicznego wychowania. Słowem, murzyni są na drodze postępu w Stanach południowych. Plemiona białe za to, wiele zachowały wstecznych wyobrażeń; kobiety zwłaszcza, zupełnie jeszcze uśpione. Tonąc w zbytkach, nie słyszą głosu Bożego, który

tak przemożnie rozgrzmiał po świecie i potrącił struny ludzkiego ducha.

Z wielką przyjemnością rozmawiam tu często ze starym murzynem, zwanym Romeo; mieszka on w małym domku, niedaleko mieszkania państwa Howland i pilnuje ich pięknego ogrodu. Wesoły to starzec, pełen prostoty i zdrowego rozsądku. Uwieziono go z Afryki, w młodych latach; ciekawe też rzeczy opowiada o swej rodzinnej ziemi. Zapytywałam go raz, jak rodacy jego uważają życie pośmiertne człowieka? Odpowiedział mi, że dobrzy idą do Boga, który ich stworzył. A źli? — zagadnęłam znowu. Źli, odparł, rozwiewają się w powietrzu. I Romeo zaczął gwizdać na cały głos, we wszystkich kierunkach. Śpiewał mi potem pieśń pogrzebową etyopską i parę miłosnych afrykańskich piosnek, wcale nieciekawych.

Poznanie murzynów i lasów dziewiczych Ameryki głębokie na umyśle moim sprawiło wrażenie. Pojęłam dziś na szerszą skalę wielkie bogactwo i rozmaitość kształtów, któremi Stwórca objawia myśl swoją. Duch mój rozwija skrzydła i obiega szeroką przestrzeń od puszcz afrykańskich do podbiegunowych lodowni, krąży nad pysznym Indostanem, pogląda z miłością na roje pracowników ludzkich, dźwigających się z prochu, patrzy na gromady leśnych zwierząt, na kwiaty i zioła wznoszące kielichy ku światłu. I zbieram w myśli wszystkie dostrzeżone kształty i pragnę utworzyć z nich wielką harmonijną całość. Ale są to słabe zaledwie przeczucia mego ducha; kiedyś może lepiej się z nich wytłomaczę.

Nie będę już pisać do ciebie z Charlestonu; w tych dniach wyjeżdżam na północ. Pragnę odetchnąć chłodniejszem nieco powietrzem. Upały, jak mówią, trwają tu aż do Października! Wolałabym mieszkać na ostatecz-

nym krańcu północnego przylądka i palić sośninę, przez dwie trzecie części roku.

A jednak, piękna ziemio południowa! śliczny ogrodzie Stanów Zjednoczonych! tyś mnie ożywiła nad wyraz. Żegnam was dziewicze lasy, pełne woni i was czerwone rzeki, po których falach rozlegają się wdzięczne pieśni murzynów! Żegnam was, zacni mieszkańcy tych okolic, przyjaciele biednego ludu; długo myślą ścigać was będę, w waszych gajach pod cieniem drzew pomarańczowych i magnolij, lub u gościnnych ognisk waszych, w gronie wiernych murzynów, nad których dolą pracujecie tak szczerze.

Zapomniałam ci jeszcze wspomnieć, o jednej ze znaczących postaci Charlestonu. Jest to kobieta doktór Suzan; odziana zawsze ubogo i szaro, jak cień grobowy, przesuwa się tajemnie po ulicach i zaułkach miasta, niosąc pomoc chorym i nieszczęśliwym. Należy podobno do znakomitej tutejszej rodziny; w młodości popełniła błąd, za co wyłączono ją z towarzyskich stosunków. Po wielu latach, świat byłby może przebaczył usterki młodości niebacznej grzesznicy i otworzył jej progi świetnych salonów ale ona nie szukała ludzkiego przebaczenia, wzrok i serce do wyższego podniosła celu, stała się sługą Bożą, służąc ubogim w Chrystusie. Odtąd ludzie, widzą ją tylko na poddaszu ubogiego; cokolwiek dostanie pieniędzy lub odzieży, natychmiast oddaje biednym, sama zaś wyrzekła się wszystkiego, ślubując dobrowolne ubóstwo. Murzyni w domu pani Howland, chorowali kiedyś na zaraźliwą gorączkę; wszyscy uciekli od nich, lękając się zarazy. Pani Suzan przybyła, pielęgnowała ich po macierzyńsku i w końcu przywróciła im zdrowie. W całem mieście

wszyscy ją znają, a ubodzy osypują błogosławieństwem. Odziana ciemno i ubogo, krąży po mieście jak anioł pocieszyciel, cicho i śpiesznie, jakby się lękała ludzkiego oka. Jak robaczek fosforyczny, w ciemności tylko pełnym jaśnieje blaskiem, który wydobywa z głębi własnego łona. Ludzie zdeptali ją stopą jak robaka, ona mimo tego oświeca ich jeszcze dziękczynnem światłem miłosierdzia.

Dalszy ciąg w tomie III-im „Rozrywek.“

DO MOICH DZIEWCZYNEK.

Dziewczynki moje, o lube kwiatki,
Z kolebki dziecka, od piersi matki,
Tak rączo biegną po życia drodze,
Ach po tej samej z której ja schodzę!
Znam ją tak dobrze, znam każdy kamień
I każdą ścieżkę błędnych omamień;
Wiem gdzie jest ciężka, a gdzie wygodna.
Wiem gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna
Mogłabym przestrzedz, powiedzieć tyle,
Stójcie dziewczynki! stójcie na chwilę!
Lecz między nami, jak świat od świata
Daleka przestrzeń, bo długie lata
A ludzie krzyczą, śpiewają piszą,
Gdy ja zawołam, ach! czy dosłyszą?

Dziewczynki moje, tam gdzie biegniecie.
Wy pewno piękno pochwycić chcecie,

Cacko, gwiazdeczka, kwiatek, piosneczka,
Wioski swoboda, zbytku ozdoba,
Wszystko was nęci, co się podoba.
A za czem dążyć, co wybrać w świecie,
Co najpiękniejsze, jeszcze nie wiecie.
A ja wam powiem dziewczynki moje,
Piękne są perły, dyamenty, stroje,
Piękniejsza od nich woda w strumieniu
I lilja polna w białem odzieniu;
A od lilii, od czystej wody,
Piękniejsza świeżość waszej urody;
A od piękności hożych dziewczynek,
Jeszcze piękniejsza łza użalenia,
Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszy dobry uczynek.
Lecz wy daleko — tam zaś mój Boże,
Tam wszelką piękność, inaczej może
Ludzie ocenią, rozważą, zmierzą?
Gdy ja tak powiem, ach! czyż uwierzą?

Dziewczynki moje, wy się trwożycie,
Bo o cierpieniach zewsząd słyszycie.
Więc chociaż jeszcze przed wami leży,
Gościniec taki równy i świeży,
Wy po tem polu gładkiem, szerokiem,
Już ostrożniejszym stąpacie krokiem.
Śmiało dziewczynki, to strachy płonne,
Strachy pogańskie i zabobonne!
O ja wam powiem, jest cierpień mnóstwo,
Piękna lub chleba głodne ubóstwo,
I od ubóstwa gorsza choroba,
I od choroby gorsza żałoba,

I od żałoby, ach! gorsza strata.
Żywych serc bratnich w kałużach świata,
I nad te straty, nad te cierpienia,
Najgorszy z wszystkich — wyrzut sumienia.
A jednak, śmiało, dziewczynki moje,
Ja się niczego dla was nie boję.
Bo tu jest dla nas z litości Pana,
Na każdą troskę pociecha dana;
Spokojna godność, wytrwała praca,
Ubóstwo znosi, lub też zbogaca.
Przeciw chorobie, pomoc skuteczna,
Lub w śnie ostatnim jest ulga wieczna.
Dla tych co płaczą w grubej żałobie,
Zmartwychwstałego krzyż jest na grobie;
A za odstępcę, za przeniewiercę,
Za wszystko, co nas gorzko zawodzi,
Dość znaleźć jedno szlachetne serce,
Jeden poczciwy stu złych nagrodzi.
A za grzech własny? o! jest pokora,
Jest do poświęceń chęć bardziej skora,
Jest pobłażanie drugim cierpliwsze,
I są pokutne prace gorliwsze.
Bo tak już chciało mieć prawo Boże,
Że i grzech na coś przydać się może.
Tylko się nigdy nie przyda na nic,
Próżnego serca pycha bez granic.
I kiedy wszystkie łzy, wszystkie grzechy,
Wspiera i święci Anioł pociechy,
Ten anioł, we śnie nawet nie stanie
Nad takim, który kochać przestanie.
Baczność też w drodze, z tej tylko strony
Gdzie samolubstwem szlak jej skrzywiony.

Lecz wy daleko, a tam znów ludzie
W smutku, w potrzebie; w żałości, w trudzie,
Zapewne inne rady wam dają.
Gdy ja zawołam, czyż usłuchają?

Dziewczynki moje, wy się spieszycie;
Każda z was myśli, że dalsze życie
Oddać jej musi, jak płatnik wierny,
Ze skarbów świata procent niezmierny.
A starzy na to kiwają głową,
Dla starych, szczęście, to kłamstwa słowo.
A ja wam powiem, jest szczęście przecie,
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
Szczęściem są wasze lata niewinne,
W pół młodocianne, a wpół dziecinne,
Bez doświadczenia i bez kłopotów:
Czy chleb powszedni na jutro gotów?
Czy w zdroju uciech nie wyschnie woda?
Czy do wieczora dotrwa pogoda?
Błogosławione pierwsze dni wiosny!
Błogosławionyś wieku radosny!
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,
O tobie Bogdan poeta śpiewa,
Żeś sen na kwiatkach, żeś sen nasz złoty,
Żeś ideałem wiary i cnoty.
Lecz od tych złudzeń, od tej swobody,
Większe jest szczęście o wieku młody,
Jest większem szczęściem ten głos ponętny,
Stłumiony, korny, a nie namiętny,
Głos co tak szczerze jak Bogu w Niebie,
Wymodli kiedyś: „ja kocham Ciebie.
A niźli głos ten, niż ta zyskana

Większem jest szczęściem miłość doznana;
Gdy własne serce pełniej uderzy,
Gdy czuje, że mu lepiej i szerzej,
Że się w nim jakby ze snu zbudziły,
Nowe zdolności i nowe siły.
A większem szczęściem od tej miłości,
Jest wielkie szczęście ludu całego,
Prawo Chrystusa w rzeczywistości,
Ze słowem Bożem chleb dla każdego;
Z życiem na ziemi miejsce wśród tłumu,
Ze światłem słońca, światło rozumu,
Z pamięcią przodków win odpuszczenie,
A z pracą wszystkich, wszystkich zbawienie.
Dziewczynki moje, niech każda wierzy,
Że jej się takie szczęście należy,
Niech za nim goni, niechaj go szuka.
Piękność, cierpienie, radość, nauka,
To w pomoc tylko danem wam było,
Aby się takie szczęście ziściło.
Lecz my daleko — a tam inaczej,
Może kto szczęście im wytłumaczy;
Może je złudzą inną nadzieją?
To co powiadam czyż zrozumieją.
O! gdyby mogły dziewczynki moje...
Lecz ja daleko, daleko stoję,
A dalej jeszcze smutna odchodzę.
Szczęść Boże lepszej dziewczynek drodze!

Z.

FRYDERYK OZANAM.

Żywot bogobojnego, zasłużonego i uczonego człowieka, należy nie tylko do kraju który był mu kolebką, ale i do całej ludzkości. Kto bogate plony swej pracy przekazał w spuściznę potomnym; kto ciepłem tchnieniem swego ducha, ogrzewał serca młodzieży i rzucał w nie z miłością bogaty zasiew prawdy, ten zasłużył, aby potomność poznała ścieżki jego życia, temu należy wdzięczność i błogosławieństwo tak swoich, jak i obcych, słowem, tych wszystkich, którzy karmić mają myśl i serce, drogim owocem mozolnych jego trudów.

Do liczby ludzi, którzy w obecnej epoce chłodu, zwątpienia i obojętności, najwyżej wzrośli duchem i najdzielniej przyczynili się do rozbudzenia w sercach starej wiary ojców, należy Fryderyk Ozanam, zmarły profesor literatury średnich wieków w Paryzkim, uniwersytecie (*Sorbonnie*), liczne dzieła pozostałe po nim, wyjaśniające dokładnie ducha tychże wieków, tak dotąd mało znanych, stały się dziś nieocenionym nabytkiem dla

wszystkich narodów oświeconej Europy. Literacka sława Ozanama gaśnie jednak w obec sławy stokroć zaszczytniejszej, którą pozyskał jako prawdziwy chrześcijanin, jako człowiek czynu.

Przodkowie Ozanama od wieków osiedli we Francyi. Naddziad jego Jakób Ozanam, znany był w XVII-ym wieku jako słynny matematyk i chrześcijanin prawy. Ojciec zaś Fryderyka, w ciągu niedługiego życia, rozliczne zaznał przygody, ale im więcej doświadczał zmian losu, tym bardziej hartował się w cnocie, tem silniej wspierał się na kotwicy Chrystusowej wiary. Pojąwszy w Lyonie godną siebie małżonkę, udał się do Włoch w początku obecnego wieku, osiadł w Medyolanie i tam pozyskał sławę biegłego lekarza, prawdziwego przyjaciela nieszczęśliwych. Gdy Austrya po upadku Napoleona opanowała napowrót Włochy, ojciec Ozanama powrócił znów do Francyi i stale zamieszkał w Lyonie.

Fryderyk urodził się na obcej ziemi, 23-go Sierpnia 1813 roku. Nauki pobierał w Lyonie, przybywszy dzieckiem z rodzicami do kraju. Mistrze młodziana, wcześnie przeczuli jego przyszłość; jeden z nich zachował na pamiątkę wiersz łaciński młodego ucznia. Inny znów profesor, ksiądz Norot, lubił przechadzać się z nim po pięknych okolicach Lyonu, i prowadzić nauczające rozmowy. Bujnie też i wcześnie rozkwitła ta piękna dusza, przeznaczona na krótką wędrówkę po ziemi. W szesnastym roku życia Fryderyk Ozanam pisywał już artykuły do „Pszczoły północnej,“ wychodzącej w Lyonie, a przyszłość jego coraz to świetniejsze uwieńczały nadzieje.

Gdy skończył szkoły, rodzice postanowili zatrzymać go przy sobie i sposobić pomału na patrona. Zniósł to Fryderyk z prawdziwie synowskiem posłuszeństwem, jak-

kolwiek poetyczna skłonność wiodła myśl jego wyłącznie na pole historyi. Mozolną naukę prawa, o ile mógł, przeplatał nauką poezyi i języków starożytnych: Hebrajskiego i Sanskrytu.

W ostatnich miesiącach 1830 roku młody Ozanam przybył do Paryża, bogaty w pamiątki młodości, nie mały zasób nauki i w ośmnastoletni zapał. Skromny młodzian z wielką nieśmiałością przystępował do znakomitych ludzi, których poznać pragnął gorąco, miał on list księdza Bonnevie, zasłużonego kapłana, polecający go Chateaubriandowi. Ale Ozanam przez kilka miesięcy zachował list przy sobie, nie śmiejąc przestąpić progów wielkiego poety. Nakoniec w sam dzień Nowego roku 1832, namyślił się i w samo południe, drżącą od wzruszenia ręką zadzwonił w jego progi. Poeta powrócił właśnie z kościoła, przyjął młodego ucznia uprzejmie i po ojcowsku, a zbadawszy dokładnie jego przyszłe zamiary i widoki uścisnął go tkliwie i przyrzekł mu opiekę i pomoc.

Nigdy Ozanam nie zapomniał tak miłego przyjęcia w domu słynnego poety. To też przez wspomnienie tej pełnej uroku chwili, gdy sam później znakomite zajął w uczonym świecie stanowisko, gdy był otoczony powszechną czcią i poszanowaniem, garnął do siebie ze współczuciem polecaną mu młodzież, pięć razy w tygodniu, od ósmej do dziesiątej z rana, drzwi jego pokoju wszystkim otwarte były bez wyjątku; każdego przyjmował grzecznie, z każdym rozmawiał długo, a lubo czuł całą wartość czasu, nikomu nigdy nie dał poznać żalu i niecierpliwości. Pojmował bowiem, że względem owych dusz młodych, piastuje dostojeństwo kapłana i jako Paweł święty, czuł się dłużnikiem wszystkich. To też młodzież kochała go z zapałem, a blask sławy nie odosobnił go od drugich, jak się

to zbyt często wydarza, ale przeciwnie pociągał ku niemu wszystkie serca.

Przybywszy do Paryża, Ozanam zamieszkał szczęśliwem zdarzeniem u starego profesora Ampera, pełnego nauki, sławy i religji. Ampere był we Francyi patryarchą matematyków, co więcej, był gorliwym chrześcijaninem. Nie raz widywano czcigodnego starca, jak klęczał na kamiennych płytach w kościele świętego Stefana i gorące modlitwy zasyłał ku Bogu. Pobożny profesor ukochał szczerze młodego ucznia, zesłanego mu wolą Opatrzności; często prowadził z nim uczone rozprawy, wykładał mu filozoficzny cel nauk i kazał mu pracować pod swojem okiem. Często, podczas tych samotnych rozpraw, uczony mąż wskazując młodzianowi niezliczone cuda przyrody, zwracał myśl ukorzoną do Stwórcy wszechświata, nie raz obejmując dłońmi szerokie czoło, wołał nagłym uniesiony zapałem: O! jakże Bóg wielki Ozanamie! o jakże Bóg potężny!

Dwa lata przeżył Ozanam pod dachem Ampera, były to dwa pierwsze lata pobytu jego w Paryżu. Tam miał sposobność poznać wielu najznakomitszych ludzi owego czasu. W roku 1834 zbliżył się do ojca Lacordeira, słynnego teologa i mówcy, który przeważny wpływ wywarł na religijny rozrost jego ducha. Związek ich coraz silniejszym się stawał i przetrwał aż do końca dni Ozanama. Pan Lacordeire jakkolwiek o wiele starszy, przeżył ucznia i przyjaciela, a w skreślonym przez siebie życiorysie, wierny obraz jego przechował dla przyszłości. Posłuchajmy co mówi czcigodny kapłan o pierwszem wrażeniu, jakie sprawił na nim młody Ozanam:

„Nic zrazu nie uderzyło mnie w jego osobie. Nie był piękny, pięknością młodego wieku; blady jak Lyoń-

czyk, wzrostu średniego i bez szczególnego wdzięku, odznaczał się tylko przenikliwym wyrazem twarzy. Oczy jego rzucały błyskawice, mimo to spokój i słodycz jaśniały na obliczu, włos ciemny bujnie spływał z nad szlachetnego czoła, co mu nadawało cokolwiek dziką postać. I czegóż chciał odemnie? Przyszedł oto, bo był chrześcijaninem, a ja przedstawicielem, kapłanem jego wiary. Przyszedł wiedziony mimowolnym pociągiem ducha, a to współczucie wiązało się w jego umyśle z tem, co miał najdroższego, z jego wiarą, ojczyzną, ogólnem dobrem, z przyszłością chrześcijaństwa i przyszłością prawdy.“

Młodzian osiadłszy w Paryżu, czynił to, czego rodzina wymagała po nim. Jako syn powolny słuchał wykładu prawa, mimo, że skłonność wrodzona w inną pociągała go stronę, na szerokie pole poezyi, historyi i erudycyi, literatury i filozofji. Czytał starożytnych i nowożytnych pisarzy, a w wolnych chwilach uczył się języków: hiszpańskiego, angielskiego, włoskiego i niemieckiego. A jednak mimo nieustannej pracy, mimo tkliwych związków z przyjaciółmi, dręczył go tajemny smutek. Trwożył się przyszłością, nie własną, ale braci ludzi, czuł bowiem z goryczą, iż wiek obecny fałszywą obrał drogę, że zaparł się dawnej prostoty w wierze, a wystudzony samolubstwem, oddalił się od pojęcia Boga i prawdy. Długo niepokój udręczał duszę młodego Ozanama, aż. Bóg nareszcie wskazał mu właściwą drogę, natchnął mu myśl świętą a zbawienną i dozwolił wykonać wielki zamiar, który słusznie nazwać można chlubą i zaszczytem obecnego czasu. Połączywszy się z kilku młodymi przyjaciółmi, zawiązał wraz z nimi towarzystwo Ś-go Wincentego à Paulo. Było to w roku 1833. Podczas gdy we Francyi pisano na wyścigi uczone teorye, jakimby sposobem zmienić oblicze świata

i zaradzić powszechnej niedoli, owi młodzi ludzie, których ośmiu było zaledwie, natchnieni łaską Bożą, skromni, a przejęci chrześcijańską miłością bliźniego, poczęli odwiedzać poddasza, nieść czynną pomoc nieszczęśliwym i jak Aniołowie Stróże rozsiewać w około światło i pociechę. Młody Ozanam był duszą tego pobożnego stowarzyszenia.

Ziarno rzucone w danej chwili, rozkrzewiło się bujnie. Bóg pozwolił Ozanamowi ujrzeć dojrzałe owoce swej pracy, to też gdy stanął nad grobem, we dwadzieścia lat po założeniu towarzystwa, te pamiętne wyrzekł słowa w obec zebranych braci: „Zamiast ośmiu, jest nas dziś w Paryżu dwa tysiące, a zwiedzamy pięć tysięcy rodzin, to jest około dwudziestu tysięcy jednostek, czyli czwartą część paryzkiego ubóstwa. Sama Francya liczy do pięciuset stowarzyszeń; oprócz tego mamy je w Anglji, Hiszpanji, Belgji, Ameryce, a nawet i w Jerozolimie. Tak więc zacząwszy skromnie i z pokorą, można dojść do wielkich rzeczy, jak Chrystus, który od ubogiego żłobka wzniósł się do chwały Taboru.“

Dalekie drogi obrała Opatrzność, aby przygotować dzieło, które tak cudownie miało zakwitnąć w przyszłości. Ozanam, w przykładzie rodziców zaczerpnął pierwszy zaród miłosierdzia. Oboje bowiem słynęli niezwykłą dobroczynnością i najszczęśliwsi byli, niosąc wsparcie ubóstwu. W takiej wyćwiczony szkole, młody Fryderyk nie odłączał wiary od uczynków i przywykł zawczasu łączyć miłość bliźniego z miłością Bożą; potrzebował widzieć Chrystusa w ubogim, aby być pewnym, że go posiada w sercu.

Jakim był początek pobożnego stowarzyszenia, takim było pierwsze działanie Ozanama, a miał wtedy zaledwie lat dwadzieścia! Imię Ś-go Wincentego à Paulo, drogie światu i kościołowi, stało się hasłem tego świątobliwego

przedsięwzięcia, którego nawet burze polityczne podkopać nie zdołały.

Obok tych czynów prawdziwie chrześcijańskich, młody Ozanam, poświęcał się z zapałem nauce. Uczęszczał na najsłynniejsze wówczas kursa i z wielką korzyścią słuchał rozmaitych wykładów. Szczery miłośnik prawdy, ubolewał gorzko, widząc, że sami profesorowie rozsiewali błędne mniemania między łatwowierną młodzieżą. Jeden z profesorów Sorbonny, Jouffroy, raz odebrał list z podpisem: *Ozanam uczeń.* Wyczytał w nim, że młodzież słuchająca jego wykładu, była po większej części chrześcijańską, a więc cierpiała, widząc, że człowiek jak on, wymowny, szlachetny i szczery, pozwalał sobie wymierzać pociski przeciwko prawdzie; na co żaden z uczniów odezwać się nie ośmielił, przez poszanowanie dla osoby profesora.“ Jouffroy na następnej prelekcyi oznajmił rzecz całą słuchaczom, pochwalił autora listu za przyzwoite zachowanie się i znajomość rzeczy, a potem z prawością godną wspomnienia, odwołał wszystko co powiedział przeciw prawdzie.

W owym to czasie, Arcybiskup paryzki de Quelen, ustanowił *konferencye*, czyli uczone rozprawy o wierze, w katedrze N. Maryi Panny (Notre-Dame), przeznaczone dla pożytku szkolnej młodzieży. Miewał je słynny mówca ksiądz Lacordaire. Nie mały wpływ wywarł Ozanam na to postanowienie, wspólnie bowiem z przyjaciółmi, podał odezwę do Arcybiskupa, błagając go o promień religijnego światła, imieniem młodej chrześcijańskiej Francyi.

Ukończywszy naukę prawa, młody Ozanam ubiegał się o stopień doktorski i ten otrzymał 1836 roku. Wkrótce potem stanął w innych szrankach i tegoż samego zaszczytu począł dobijać się w wydziale nauk pięknych. Napisał w tym celu dwie rozprawy, łacińską i francuzką, pierwszą

o *Zstępowaniu do piekieł, w utworach poetów starożytnych*, drugą o *Dancie i Boskiej komedyi*. Odczytał obie te rozprawy w obec świetnego zgromadzenia uczonych 1839 roku. Chwila ta objawiła młodzianowi jego zawód. Cousin, słynny profesor, jeden z sędziów konkursu, słuchając go, zawołał z zapałem: O panie Ozanam, jakaż moc twojej wymowy! Głośne oklaski tłumów przywtórzyły słowom profesora. Uwieńczono jednomyślnie rozprawy.

Wtedy miasto Lyon, wezwało dwudziestoletniego Ozanama na profesora prawa handlowego w swym uniwersytecie. Młodzieniec z radością w sercu poniósł zdobyte wieńce pod dach rodzicielski i objął Lyońską katedrę.

Opatrzność jednak szersze zdolnościom jego otwierała pole. W rok potem przybył do Paryża, gdzie po odbytych próbach oddano mu katedrę zagranicznej literatury, w zastępstwie Fauriela, sławnego filologa francuzkiego. Sam Fauriel zachęcał go do tak zaszczytnego współudziału w pracy. Ozanam przyjął to chlubne miejsce w 1840 roku.

Piękna to chwila dla człowieka, gdy dobiegłszy połowy dni swoich, ujrzy odchyloną zasłonę przyszłego zawodu, gdy z czołem pogodnem a rozradowanem sercem widzi spełnione wyroki boże nad sobą i tam nakoniec rozbija swój namiot, gdzie mu żyć przeznaczono. Ozanam wielkiej doznał pociechy, ujrzawszy się na właściwem stanowisku, tem większej, że wszystko winien był Bogu i własnej wytrwałości, w ciągu dziewięcio-letniej pracy. Cześć powszechna hojnie mu nagrodziła poniesione mozoły. Ampère, syn sławnego uczonego, sam pełen nauki i zasług, okazywał mu szczere współczucie. Montalembert przyjmował go przyjacielsko, słowem, ilu tylko było

znakomitych ludzi we francuzkiem chrześcijaństwie, wszyscy uważali w nim godnego współzawodnika lub następcę. Ale przedwczesne powodzenie, nie nadęło pychą serca Ozanama, nie uczyniło go samolubem. Pozostał jak dawniej szczerym, otwartym, serdecznym i pracowitym, a w miarę jak światło prawdziwej nauki spływało w jego umysł, wiara wyganiała pychę z tajników serca. Gdy szedł na prelekcyę do Sorbonny, kto go nie znał, mógł go wziąć za prostego ucznia, tak łagodną i skromną miał postać. Lacordaire świadczy: „że przez dwadzieścia lat znajomości nie widział go nigdy w gniewie ani w oburzeniu, nie odkrył w nim cienia przesady ani wyniosłości, co dowodzi, że dusza jego większa nad wszelkie zmiany losu, żyła bezustannie w obec Boga.“

Zabezpieczywszy sobie pewne stanowisko na przyszłość, Ozanam pojął w małżeństwo córkę rektora akademji Lyońskiej. Wkrótce potem wyjechał z żoną do Włoch. Kraj ten uroczy (który przed kilkoma laty raz już odwiedził z matką), niezatarte piętno wycisnął na poetycznym jego umyśle. W Rzymie przed freskami Rafaela, we Florencyi, w obec wspaniałych grobów Świętokrzyskiego kościoła, gdzie spoczywa nieśmiertelny Dante, pojął wielką postać tego olbrzyma włoskiej poezyi. Z niewypowiedzianą rozkoszą, deptał tę klasyczną ziemię i oglądał tę poetyczne okolice, pełne wspomnienia wielkich ludzi i wielkich wypadków. Z upodobaniem wskazywał młodej małżonce, odwieczne świątynie, pałace, wodociągi i groby starożytnych Rzymian, relikwie męczenników, kosztowne marmury i spiże, jedne w zwaliskach, drugie tchnące jeszcze pełnem życiem sztuki. Zwiedził także piękną Sycylią, postawioną niby na straży włoskich cudów.

Za powrotem z owej przejażdżki, Ozanam zjawił się

znowu na katedrze, gdzie miał coraz większe jednać sobie powodzenie i chwałę. Pojmował on całą godność powołania jakie piastował. Nie ufając sam sobie, przygotowywał się religijnem skupieniem ducha, do każdej prelekcyi. Blady od wzruszenia i pomieszany, wstępował zwykle na katedrę. Zrazu, mowa jego niczem się nie odznaczała, szukał słów widocznie, wzrok miał niepewny, ruchy przymusowe. Ale stopniowo, pociągniony siłą własnego słowa, czując jakie wrażenie sprawia na słuchaczach, wpadał w zapał, i czarodziejskim potokiem wymowy, wszystkie serca poruszał do głębi. Szczere poklaski odpowiadały zazwyczaj natchnionem jego słowom, a on drżąc cały od wzruszenia, zstępował z katedry i wracał do domu, na nowe prace i trudy.

Posiadał Ozanam dwie odrębne władze, rzadko idące z sobą w parze: był zarazem świetnym mówcą i głębokim badaczem. Miał też szerokie pole do rozwinięcia tych podwójnych zdolności, wykładał bowiem z katedry, przedmiot wymagający wiele pracy i wzniosłego podniesienia ducha. Badając literaturę w średnich wiekach, śledząc rozwijanie się myśli chrześciańskiej, w pierwszych zawiązkach nowoczesnych społeczeństw, musiał poznać gruntownie wszystkie niemal nowoczesne języki, a co więcej, musiał wnikać głęboko w myśl chrześciaństwa, które było duszą, siłą i węgielnym kamieniem owych czasów.

Czując się w właściwym sobie żywiole, śmiało Ozanam podjął chorągiew wiary, a rozwijając piękności literatury średnich wieków, rozwijał niemal i prawdy ewangeliczne. Bóg pobłogosławił jego usiłowaniom, słowo jego przemówiło do serc i umysłów i w ciągu profesorskiego zawodu, zjednał sobie szczególną miłość i zaufanie mło-

dzieży. Tylko siłą niezłomnego przekonania, można zapanować nad umysłem drugich, tylko miłością można znaleźć drogę do serca. Ozanam posiadał obadwa te warunki, wierzył, a więc obudził wiarę w sobie, kochał szczerze młodzież, a więc pozyskał jej współczucie.

W pierwszych dwóch latach, Ozanam wykładał na kursach, pierwiastkowe rozwijanie się chrześcijańskiego jenjuszu w Niemczech, w Anglii i we Włoszech. Rozprawy te, w liczbie dwudziestu i jednej, stanowią obszerne dzieło p. n. „o Cywilizacyi w piątym wieku.“ Ten pomnik literacki, daje nam dokładne wyobrażenie o wymowie i głębokiej uczoności autora, oraz przeświadcza, o ile tą wymową i gruntowną nauką, działał na wzrost chrześcijaństwa i wpływał na podniesienie ducha, słuchającej go młodzieży.

Po czteroletniem powodzeniu, Ozanam dotąd zastępca, ze śmiercią uczonego Fauriel'a objął w roku 1844, katedrę po nim w Akademii Paryzkiej, za jednomyślnem przyzwoleniem wszystkich członków. Miał podówczas lat trzydzieści dwa. Ale nikt bezkarnie wyprzedzać czasu nie może, czas bowiem mści się na tych, którzy go prześcigają.

Od roku 1846 czuł Ozanam, że siły opuszczają go zwolna. Mimo to pracował bez przerwy. Oprócz akademickich prelekcyj, które same przez się tyle wymagały mozolnych przygotowań, miewał publiczne mowy, na zgromadzeniach towarzystwa Ś-go Wincentego a Paulo pisywał artykuły do *Korespondenta*, (pisma od lat wielu znanego z prawych zasad). Te szlachetne a pożyteczne współubiegania, nie pozostawiły Ozanamowi ani chwili spoczynku. Trawił zwykle większą część nocy na mozolnych pracach, nagradzając o ile można krótkość czasu, często

nawet sztucznemi środkami (jak użyciem kawy lub herbaty), utrzymywał umysł w rozbudzeniu. Ręce poczęły mu drżeć gorączkowo w ostatnich latach życia. Szedł do kresu niebacznie i zbyt spiesznie, a duszą ogarniając wieczność, nie dbał o względy czasu.

W roku 1847, chcąc poratować zwątlowe siły, wyjechał znów do Włoch. Było to wkrótce po wstąpieniu na stolicę apostolską ojca świętego Piusa IX. Powrócił Ozanam z pokrzepionem zdrowiem, wielce na duchu zasilony.

Nastąpiły wkrótce potem zmiany polityczne we Francyi, następnie wewnętrze zawichrzenia czerwcowe (1850) Podczas tych smutnych dni, gdy wojna domowa do największej doszła zaciętości, Ozanam mniemał, że religja może się stać hasłem zjednoczenia, że powinna przedsięwziąść krok stanowczy, w sprawie powszechnego pokoju, dla utrzymania własnej powagi. Udał się więc do arcybiskupa, wraz z dwoma równie gorliwemi towarzyszami i wynurzył mu myśl swoją. Arcybiskup d'Affre, wysłuchawszy przybyłych, rzekł spokojnie: „Myśl ta ściga mnie od wczora, ale jak ją urzeczywistnić? jak się przedrzeć do tłumów? Zachęcony przez nich, ubrał się, włożył złoty krzyż na piersi, i poszedł do pałacu Jenerała Cavaignac, w towarzystwie kilku duchownych, Ozanama i dwóch jego przyjaciół przybranych w mundur gwardyi narodowej. Następnie arcybiskup pożegnał ich pod pozorem, że nie chciał ukazywać się z eskortą wojskową. Tym sposobem Ozanam ocalał, podczas gdy świętobliwy pasterz, na wzór Chrystusowych męczenników, krwią przypłacił słowa miłości pokoju.“

Gdy ucichła burza wewnętrzna, Ozanam rozpoczął dalsze kursa. Prowadził je aż do 1852 r., przeplatając tru-

dy professorskiego zawodu, znakomitszemi jeszcze niż poprzednio próbami. W przeciągu tych kilku lat ogłosił studya Germańskie (*Etudes Germaniques*) dzieło po dwakroć uwieńczone przez akademiją francuzką, za które otrzymał znaczne premijum, ogłosił także zajmujące badania o poetach franciszkańskich we Włoszech, w ciągu XIII wieku. Im bardziej zbliżał się do końca, tym był czynniejszy, jakby chciał gonić ulatające życie. W Wielki Piątek 1851 roku, ujął pióro i nakreślił tę przedmowę do dzieła, w którem pragnął zebrać na chwałę Bogu i Chrystusowi, wszystkie prace swego żywota „Postanawiam napisać historyą literatury średnich wieków, od piątego wieku aż do końca trzynastego. Zatrzymam się na Dantem, jako na postaci, najgodniej uosobiającej tę wielką epokę. Ale w historyi nauk, badam przedewszystkiem cywilizacyą, której kwiatem jest literatura; a w cywilizacyi spostrzegam głównie dzieło chrześcianizmu. Biorę sobie za cel wykazać, jak chrześcijaństwo umiało wygrzebać ze zwalisk starej Romy i z łona plemion rozsiadłych na tych zwaliskach, zawiązek nowego społeczeństwa, którego było zadaniem; posiąść prawdę, spełnić dobro i wynaleźć piękno. W obec tak wielkiego zamysłu, nie taję przed sobą własnej nieudolności! Gdy źródła tak są niezliczone, życie tak krótkie, czasy pełne burzliwych kolei, trzeba wielkiego zarozumienia, aby rozpoznać dzieło, i żądać oklasków w nagrodę pracy. Ale ja nie uganiam się za chwałą, bo ta jeniuszom tylko przynależy; spełniam tylko obowiązek sumienia. W pośród wieku niewiary i chłodu, Bóg łaską swoją pozwolił mi urodzić się w wierze. Dziecięciem jeszcze, podjął mnie z łona chrześcijanina, i matki świętobliwej niewiasty, za pierwszą mistrzynię dał mi siostrę wyższem obdarzoną pojęciem, pobożną jak aniołowie, do których grona poszła

przedwcześnie. Później wrzawa świata pełnego niewiary, dobiegła uszu moich. Poznałem całą okropność tego zwątpienia, co napełnia serce przez dzień gorzkim jadem a nocą potokiem łez oblewa wezgłowie. Niepewność o wiekuiste moje przeznaczenie, nie dała mi chwili spoczynku. Wtedy to ocaliła mnie nauka kapłana filozofa, on wprowadził w myśl moję ład i światło, wierzyłem odtąd wiarą niezachwianą, a tknięty tak niepospolitem dobrodziejstwem przyrzekłem Bogu, iż poświęcę dni moje na posługę prawdy, która dała mi pełny spokój.“

„Odtąd upłynęło lat dwadzieścia. W miarę, jak żyłem dłużej, wiara była mi coraz droższą; przekonywałem się co raz silniej, jak przeważne daje oparcie w powszechnej niedoli w powszechnem niebezpieczeństwie i coraz szczerzej żałowałem tych, którzy jej w sercu nie mieli. Opatrzność tymczasem, drogami nieprzewidzianemi, a dziwnie mądremi, oderwała mnie od wszelkich ziemskich zabiegów, a przywiązała wyłącznie do umysłowej pracy Zbieg okoliczności popchnął mnie mianowicie do gruntownej nauki religii, prawa i literatury, tych trzech przedmiotów, najlepiej odpowiednich moim obecnym zamiarom. Zwiedziłem miejsca w których mogłem zaczerpnąć nie mało nauki, zacząwszy od katakumb Rzymskich, kędy ujrzałem krwią oblaną kolebkę cywilizacyi, aż do tych wspaniałych bazylik, któremi chrześcijaństwo wyraziło myśl swoję, na płaszczyznach Normandyi, Flandryi i na wybrzeżach Renu. Byłem tak szczęśliwy, iż spotkałem na drodze życia wielkich mężów chrześciańskich, jednoczących wiarę z nauką. Życie upływa, trzeba chwytać ostatni promień ubiegającej młodości. Czas pisać, aby dotrzymać Bogu ośmnastoletnich przyrzeczeń.

„Zostając w świeckim stanie nie czuję się powoła-

nym do roztrząsania punktów teologicznych; Bóg wreszcie chce, aby mu służyli ludzie wymowni, tłomacząc mądrze Jego święte dogmata, takich ludzi, nie brak w naszych czasach. Ale kiedy katolicy zajęli się z jednej strony obroną nauki Chrystosowej; niewierni tymczasem, opanowali wyłącznie szerokie pole dziejów. Położyli rękę na średnich wiekach, sądzili kościół niekiedy nieprzychylnie, nie zawsze z należnem mu poszanowaniem, częstokroć nawet z lekkomyślnością, jakiej sobie w innych przedmiotach nie pozwalali. Trzeba nam koniecznie odbić tę dziedzinę, naszą jest ona własnością, albowiem wykarczowały ją pracowite ręce naszych mnichów Benedyktynów. Ci ludzie pobożni czuli, że nie trwonią napróżno dni żywota, blednąc w celach, nad spisywaniem starych ustaw i legend. Później, inni pisarze jawili się od czasu do czasu, i otrząsali z prochu, sponiewierane postacie wielkich papieżów, doktorów i świętych. Co do mnie, nie tak głęboką, ale rozleglejszą przedsiębiorę pracę, chcę wykazać dobroczynne owoce chrześcianizmu, w tych właśnie czasach, które z tak fałszywego świat pojmuje stanowiska.“

„Znam dokładnie zamęt obecnego wieku, wiem że mogę zatonąć w powodzi, a zemną i dzieło moje. Nie śmiem mu wróżyć długo trwałego bytu. Piszę jednak, albowiem Bóg nie dał siły do prowadzenia pługa, a jednak czuję, że powinienem ulegać prawu powszechnej pracy, i jak wierny najemnik dotrwać do zachodu na pańskim zagonie. Piszę tak jak, pracowali owi robotnicy pierwszych wieków, którzy ulewali naczynia ze szkła, albo zlepiali je z gliny, i po prostu a nie uczenie, wyobrażali na nich dobrego pasterza, Boga-rodzicę i świętych. Ci biedni prostaczkowie, nie myśleli o przyszłości, wszelako odłamki ich naczyń odkryte po cmentarzach, dziś w piętnaście

wieków, przyszły na świadectwo prawdzie i dały dowód starożytności dogmatu.

„Wszyscy jesteśmy niedołężnemi sługami, ale służymy mądremu i oszczędnemu Panu; który nic nigdy nie uroni napróżno, tak kropli potu z czoła naszego, jak i kropli niebieskiej rosy. Nie wiem jaki los czeka tę księgę, nie wiem czyli ją dopełnię, nie wiem nawet czy skończę rozpoczętą stronnicę; ale wiem, żem powinien bądź co bądź, przelać w nią ostatek dni moich. Tym sposobem uczynię zadosyć nauczycielskim moim obowiązkom i rozszerzę zakres mego działania na tych gorliwych uczniów, którzy słuchali mnie chwilę, a potem opuściwszy szkolne ławy, zachowali mnie w pamięci. Ta praca streści i udokładni moje dawne prelekcye, oraz wszystko com kiedykolwiek napisał.

Rozpoczynam ją w uroczystej chwili, tudzież pod wpływem świętej wróżby. Za czasu wielkiego Jubileuszu 1300 roku, w Wielki Piątek, Dant (jak mówi sam w Boskiej komedyi) przybywszy do połowy drogi żywota, rozczarowany z błędów i namiętności, rozpoczął pielgrzymkę do piekieł, czysca i raju. W progu wielkiego zawodu, zabrakło mu serca na chwilę, ale trzy błogosławione niewiasty czuwały nad nim na niebieskim dworze. Najświętsza Marya Panna, Święta Łucya i Beatrix. Wirgiliusz wiódł jego kroki, a pod opieką takiego przewodnika, poeta puścił się odważnie w ponurą drogę wieczności. O! brak mi jego wielkiej duszy, ale za to mam jego wiarę! I ja także chcę odbyć wędrówkę po trzech światach, chcę naprzód zamknąć się w tym okresie najazdów i gwałtów, ciemnym i krwawym jak piekło. Wyszedłszy ztamtąd zwiedzę czasy, ciągnące się od Karola Wielkiego do Krucyat, podobne do przestrzeni czyscowej, kędy wnika już niekiedy, słaby

promyk nadziei. Znajdę nakoniec mój raj, w blasku religijnym XIII wieku. Ale podczas gdy Wirgili opuszcza ucznia swego przed końcem wędrówki, bo mu niewolno przestąpić progu niebieskich podwoi, mnie przeciwnie, Dant będzie przewodniczył, aż do ostatecznych wyżyn średnich wieków, w których na wieki zajął stanowisko. Trzy błogosławione niewiasty, towarzyszyć mi także będą: Boga-rodzica, matka moja i siostra!“

Bóg nie chciał aby to wielkie dzieło przygotowane dwudziesto-letniem badaniem i nauką, uświęcone miłością, wyszło z pod ręki Ozanama, w zupełnem wykończeniu. Śmierć miała mu wytrącić pióro przedwcześnie, to jednak co pozostało uświetnia zasłużonego pisarza, a czego niedostaje pracy, znajdzie się zapisane w księdze w której zapisano są ofiary dzieci Bożych! [1])

Przeszła Wielkanoc 1852 roku. Ozanam leżał złożony gorączką. Dowiaduje się, że uczniowie czekają go w Sorbonie i że ta burzliwa młodzież, nie wchodząc w powody nieobecności ukochanego professora, z głośnemi okrzykami domaga się jego przybycia. Ozanam bez chwili zwłoki, nie bacząc na prośby przyjaciół, na łzy żony i na zakaz doktora, zrywa się z łóżka i bieży na katedrę. Gdy wszedł na salę, blady, wycieńczony, podobniejszy do trupa niźli do żywego człowieka, młodzież uczuła gorzki wyrzut i obsypała go licznemi oklaskami. Te oznaki uwielbienia odnowiły się kilkakrotnie w ciągu prelekcyi, nieznany też zapał obudziły w chorym i natchnęły mu ostatnie a tak piękne słowa: „Panowie! — zawołał Ozanam — wymawiają wiekowi naszemu, że jest wiekiem samolubstwa, mó-

[1]) Słowa Lacordaira.

wią, że i profesorowie ulegli tej powszechnej chorobie. My jednak tu, na tem stanowisku, zużywamy zdrowie nasze targamy nasze siły; nie skarżę się na to, życie nasze do was należy, winniśmy je wam do ostatniego tchnienia i dajemy je chętnie. Co do mnie, panowie, jeżeli umrę, umrę służąc wam do końca.“

Takie były słowa pożegnania Ozanama, wyrzeczone do uczniów, którzy przez lat dwanaście, kochali go i przyklaskiwali mu z zapałem. Odtąd już się ani razu nie pojawił w Sorbonie, czasami tylko widywano go, jak blady, wycieńczony chorobą, gasnący widocznie, przechadzał się po ulicach Luksemburgskiego ogrodu; jeszcze na jego ustach igrał uśmiech łagodny, którym tak zniewalał sobie serca, ale był to już zaledwie słaby cień Ozanama. Pojechał nareście do wód (Bones Eaux) wraz z żoną i córką. Opatrzność powiodła za nim jakby na pociechę, jednego z młodych uczniów, którego kochał szczególnie. Obadwaj słabi, przechadzali się pod cieniem gór wspaniałych i rozmawiali o Bogu, o przyrodzie, o latach minionych i błogosławionej wieczności. Śmierć rychło przewidywana, nadawała tym rozprawom uroczyste piętno: „Gdy niebo było pogodne — opowiada pozostały — wychodziliśmy zawczasu na przechadzkę. Zdala od gwaru używaliśmy wieczornej ciszy, dopóki zachodzący promień, nie zrumienił wierzchołków Gersu, a wiatr chłodny nie zawiał od doliny. Gdy za powrotem dostrzegaliśmy dachy w Eaux Bonnes, mrok już zapadał szary. Góry odznaczyły się ostro i ciemno na jaśniejszem tle nieba. Księżyc z po za jodeł sterczących w parowach, wypływał milcząco, a powiew letni, jak tchnienie śpiącego dziecięcia, zwolna kołysał drzewa. W tak uroczystej chwili, pod wpływem tak czarownego miejsca, duch nasz ulatał swobodnie ku Bogu. Była to

chwila modlitwy, głębokiej modlitwy bez słów. O. Boże! i ty mistrzu mój, dzięki wam, żeście mi dali poznać takie chwile!“

Dwa miesiące upłynęło w ten sposób w Eaux Bonnes, a następnie w Biaritz, koło zatoki Gaskońskiej. Tam rozłączyli się nakoniec; młodego ucznia bowiem powołano do Paryża. Tak on opowiada, smutną chwilę pożegnania.

Pan Ozanam towarzyszył mi do Bajonny. Z Biaritz do Bajonny tylko godzina drogi; była to ostatnia godzina którą spędziłem z nim na ziemi. Bóg dał mu wtedy przeczucie przyszłości; przez drogę mówił o rzecach wielce poważnych, dotyczących ogółu; mówił o obecnym stanie kościoła, objawiał nadzieje na przyszłość. Mówił z powagą, jak się zwykło mówić ostatnie słowa. Ja słuchałem go z religijnem przejęciem.

Gdyśmy wyjechali na gościniec hiszpański, gdy dostrzegliśmy zdaleka wieże bajońskiej katedry, zmienił nagle przedmiot rozmowy i wyznał, że się czuje chorym śmiertelnie i że nigdy zapewne widzieć się już nie będziemy. Mówił o śmierci z takiem przeświadczeniem, że zniweczył ostatni promyk mej nadziei. Gdy się powóz zatrzymał, ujął mą rękę i długo jej nie puszczał. Uścisnął mnie nakoniec silnie i rzekł: „Henryku, pożegnaj mnie!“ Czułem, że mi się serce rozdziera. Już go też odtąd nie widziałem.“

Ozanam uwolniony z miłych obowiązków przyjaźni, pojechał natychmiast do Hiszpanii, której nigdy nie widział. Postanowił udać się do Ś-go Jakóba z Kompostelli, ale chłód jesienny zatrzymał go w Burgos. Powrócił z podróży wzbogacony nowemi wspomnieniami. Pomimo wzmagającego się osłabienia, zdążył jeszcze zebrać,

je w jednę całość i nowemu dziełku dał tytuł: „Pielgrzymka do krainy Cyda“. Nie widać w niem najmniejszego upadku ducha, przeciwnie nawet styl tu rozmaitszy jest i żywotniejszy niż zwykle.

Ostatnia jeszcze wycieczka, czekała go do Włoch. Wskazano mu Pizę, jako miejsce najwłaściwsze w obecnym stanie zdrowia. Zima 1853 roku, chłodna i dżdżysta zawiodła nadzieję przyjaciół jego i rodziny. Chory cierpiał coraz dotkliwiej, mimo to zajął się gorliwie zawiązaniem we Włoszech kilku stowarzyszeń Ś-go Wincentego a Paulo; co mu się też powiodło naprzód we Florencyi, następnie zaś w Liworno, Pizie i Siennie.

Gdyby Ozanam mógł jeszcze uganiać się za ziemskim blaskiem, byłby miał podczas pobytu w Toskanii, wiele powodów zadowolenia. Okazywano mu cześć i współczucie, jakich cudzoziemiec nie zawsze dostępuje u obcych. Mianowano go nawet członkiem akademii de la Crusca. Ale Ozanam w obec śmierci wyższym był nad wszelkie ziemskie ułudy, duch jego wzrosł potężnie. Bolał wprawdzie, widząc ulatające życie, bolał na myśl, że nie dokona dzieła rozpoczętego w Bogu, ku pomnożeniu Jego chwały, ale widząc w tem wyższą wolę, ukorzył się przed nią, jak prawdziwy chrześcijanin.

Dnia 23 kwietnia 1853 roku, przybywszy do Pizy, skreślił Ozanam te cudnie piękne słowa, w których odkrył tajniki swej wysoko uświęconej duszy:

„I rzekłem w połowicy dni moich, wnijdę w podwoje śmierci.“

„I szukałem końca moich dni, i rzekłem: nie będę więcej oglądać Pana Boga mego na ziemi żyjących.“

„Żywot mój uniesion jest z dala odemnie, jak zwinion bywa namiot pastuszy.“

Nić którą snułem jeszcze, przecięta jest, jakoby nożycami tkacza, pomiędzy porankiem a wieczorem poprowadziłeś mnie do końca.“

„Oczy moje strudziły się, albowiem ukazywały niebiosa.“

„Panie! cierpię srodze, odpowiedz mi! ale cóż ja rzekę i co mi odpowie ten, który sprawił boleść moją?“

„Przebiegnę przed obliczem Twojem, wszystkie lata moje, w goryczy serca mego.“

„Oto początek pienia Ezechiasza, nie wiem czy Bóg pozwoli, abym zastosował do siebie ostatnie słowa Jego. Wiem, że kończę dziś czterdziesty rok życia, więcej niż zwykłą połowę ziemskiej drogi. Wiem, że mam małżonkę ukochaną, śliczną dziecinę, miłych braci, wielu przyjaciół, poważne stanowisko, prace doprowadzone właśnie do punktu, w którym służyćby mogły za podstawę długo obmyślanego dzieła. A jednak zmogła mnie ciężka choroba, uporczywa, tym niebezpieczniejsza, że sprowadza zupełne sił wyczerpanie. Mamże więc opuścić te wszystkie dobra, które posiadłem z twej ręki o Boże? Nie chcesz że Panie przestać na połowie ofiary? Niedośćże, abym ci poświęcił skłonności moje i upodobania? Czyliż nie przyjmiesz całopalenia z mojej miłości własnej? z mojej dumy? z zamiarów dalszej nauki? Gdybym sprzedał księgi, a oddał pieniądze ubogim, gdybym zrzekł się sławy, a uczył tylko biednych wyrobników, odwiedzał i ratował nieszczęśliwych, nie byłożby to dosyć? Czybyś mi pozwolił doczekać błogich lat starości, obok małżonki i wychować miłe dziecię moje? Ale może Ty nie chcesz tego o Boże! może nie przyjmiesz tej samowolnej ofiary! bo Ty żądasz mnie samego w ofierze! Napisano jest na początku księgi, że mam spełnić Twą wolę. Idę więc o Panie!

„Idę skoro mnie wołasz i nie mam prawa rozpościerać skarg i żalów, Dałeś oto czterdzieści lat stworzeniu, które przyszło na świat wątłe, chorowite, przeznaczone na śmierć przedwczesną, wypielęgnowane ledwie staraniem tkliwej matki i światłego ojca. Niechże ukochani moi nie zgorszą się, jeżeli mnie dziś jeszcze Panie, cudem uleczyć nie zechcesz. Lata moje dziecinne szczęśliwie zbiegły wśród tylu niebezpieczeństw, nie był to cud pierwszy? W siódmym roku życia, gdy gorączka doprowadziła mnie do ostatniego prawie kresu, wszakże łaska Ś-go Franciszka ocaliła mnie tylko na usilne błagania matki mojej? Gdy nakoniec przed kilku laty upadłem na siłach, podźwignąłeś mnie Panie, wysłuchałeś modłów, które drodzy moi zasyłali do Ciebie. Czyż dzisiejsze ich prożby mają być bezskuteczne? Ale może być Panie, że je w inny wysłuchasz sposób! Dasz mi odwagę, spokój duszy i tę niewysłowioną pociechę, towarzyszącą zawsze obecności Twojej. Dozwolisz mi cierpieniem czerpnąć w zdroju łaski i błogosławieństwa i to błogosławieństwo przeniesiesz na żonę i dzieci i wszystkich moich; kto wie, może prace moje, mniejby przyniosły im korzyści, niżeli wytrwane przezemnie cierpienia.“

Skreśliwszy te słowa Ozanam napisał testament i odtąd zbliżał się wolno a spokojnie do grobu.

Ostatniego Sierpnia w towarzystwie żony, córki i dwóch braci, pożegnał dom, gdzie zamieszkiwał czas jakiś w małej wiosce Antignano nad morzem. Wychodząc odkrył głowę, podniósł ręce ku niebu i te wyrzekł słowa: „Boże mój! dzięki ci składam za cierpienia i boleści, które zesłałeś na mnie pod tym dachem. Przyjmij je, jako zadosyćuczynienie za popełnione grzechy.“ A potem zwracając się do żony, rzekł: „Pragnę, abyś i ty błogosławiła

Pana za cierpienia moje.“ To mówiąc, uścisnął ją i dodał: „Błogosławię go także za pociechy, jakich mi nie poskąpił.“

Wsiadł potem na okręt i popłynął z rodziną do Francyi. Bóg zesłał mu pogodę w tej ostatniej żegludze. Leżąc na pomoście, zachwycał się pięknością nieba, wody, powietrza i rozkosznych wybrzeży włoskich, tej ziemi wykarmionej pamięcią tylu wielkich mężów. Gdy ujrzał brzegi Prowancyi, czuł radość niewymowną, rad był, że złoży kości na ojczystej ziemi. Okręt zawinął do portu w Marsylji, gdzie czekała go rodzina żony. „Teraz — rzekł — gdym złożył Amelję w ręce wasze, niech Bóg czyni ze mną według woli.“

Pragnął jeszcze widzieć Paryż, gdzie tyle czekało go pamiątek, gdzie taka chwała otaczała jego imię. Ale to życzenie już nie miało się spełnić. Odtąd, jak wstąpił na ziemię ojców, przestał jednak cierpieć, spokój opanował go zupełny. W takim stanie przyjął ostatnie Sakramenta. Gdy kapłan rzekł mu, aby miał ufność w Bogu: „Mamże się lękać? — odpowiedział — wszakże ja go tak kocham!“

Gdy dopełnił tego obowiązku, dziękował rodzinie za tkliwe starania, błogosławił, wyciągał rękę, niekiedy otarł łzę lub uśmiechnął się słodko. W dzień Narodzenia N. Maryi Panny spoczął nareszcie w Bogu.

Lugdun pragnął zachować jego zwłoki, ale przysądzono je Paryżowi. Ozanam spoczywa pod okiem tej młodzieży, której apostołował za życia i do której przemawia jeszcze z grobu.

Oprócz wielkich cnót, posiadał on i te ciche zalety, które zdobią ścieżki codziennego życia.

Serce miał tkliwe i kochające, do zwyczajów domowych wielką przywiązywał wagę. Nie cierpiał zbytku,

mało dbał o ubiór i o wykwintne sprzęty, w kwiatach tylko szczególne miał upodobanie. Lubił mieć je zawsze koło siebie, zwłaszcza na stole przy którym pisywał. Lubił także książki, ryciny i obrazy. Z upodobaniem odwiedzał miejsca naznaczone historyczną pamiątką i dziwny pociąg wiódł go nad jeziora, na pola i doliny lub pamiętne zwaliska. Był poetą w całem znaczeniu tego słowa.

W dniu 23-im każdego miesiąca, na pamiątkę ślubu przynosił żonie kwiaty. Na kilka dni nawet przed śmiercią, będąc jeszcze w Antignano, ofiarował jej w dniu tym gałązkę kwitnącej mirty, którą spostrzegł nad morzem.

Miał głęboką cześć dla matki, dopóki żyła. Po jej śmierci cierpiał niesłychanie. Odtąd nastąpiła w nim zupełna przemiana, przypisywał ją *przekonaniu o rzeczywistej i ciągłej obecności ducha matki przy sobie.* Wierzył, iż go nie odstępowała, że mu dawała natchnienia, że go nagradzała jak niegdyś tajemną pieszczotą, ilekroć na to zasłużył.

Pobożność jego szczera była i głęboka. Każdego poranka czytał kilka kart Pisma Świętego. Poświęcał na to codzień pierwsze pół godziny. Gdy miał iść na prelekcye, modlił się na kolanach, aby Bóg uświęcił jego słowo, iżby nie mówił dla czczych poklasków, jedno dla miłości prawdy. W sporach religijnych nie obrażał nigdy nikogo, jakkolwiek prostował błędne rozumowania. Mniemał, że skoro kto mówił chętnie o Bogu, już tem samem był na drodze ku Niemu, a jedno słówko zbyt żywe lub pyszne, mogło go zranić boleśnie. Ale ta słodycz nie przywiodła go nigdy do zaparcia się własnych myśli. Wyznawał wiarę z pokorną odwagą chrześcijanina; jeżeli szacunek dla drugich budził w nim umiarkowanie, to szacunek względem samego siebie, podnosił go wyżej nad

wszelkie względy ziemskie. Dał tego dowód, gdy raz zwiedzając w Londynie kościół Westminsterski, w tłumie cudzoziemców doszedł do chóru i stanął naprzeciw grobu S-go Edwarda. Widok tego pomnika znieważonego przez protestantów, przejął go boleścią. Wtedy padając na kolana w obec relikwii świętego króla, modlił się gorąco, w imię tego całego ludu, który nie uznawał już swoich świętych i nie składał im należnej czci.

Przyjaciele Ozanama chcieli pomnikiem uwiecznić jego pamięć. Na ów pomnik nie użyli bronzu ani marmuru, ale zebrali rozpierzchłe, a liczne pisma zmarłego. I wierną ręką, z głębokiem poszanowaniem, zgromadzili wszystko, co w ciągu życia nakreślił, poodrywane ustępy przyprowadzili do jedności, nie naruszyli w niczem wiejącego z nich ducha, w tym wiecznotrwałym pomniku żyje całkowicie Ozanam, jako uczony badacz, jako świetny mówca i gorliwy chrześcijanin, a słowo jego przez wieki będzie budować w duchu i oświecać potomnych.

Dzieła pośmiertne Ozanama składają się z ośmiu wielkich tomów: pierwsze dwa zawierają Obraz cywilizacyi w piątym wieku, tom trzeci i czwarty Studya Germańskie, czyli Badania o Germanach przedchrześcijańskich i o cywilizacyi chrześcijańskiej u Franków. Tom piąty obejmuje uwagi nad poetami Franciszkanami, tudzież badania o poetycznych źródłach Boskiej komedyi. Tom szósty jest komentarzem Danta i przedstawia obraz filozofji katolickiej XIII-go wieku. Siódmy i ósmy obejmują różne pisma ulotne, a między innemi: *Pielgrzymkę do krainy Cyda.*

Nad kołyską dzieweczki.

Gdy wyrośniesz o dziecię!
Niech twa dusza uplecie
Wianek cichych cnót;
Niech miłości twej władza,
Bratnie serce sprowadza
W harmonijny splot.

Komu gwiazdy zagasną.
Ty nadzieją tchnij własną
W jego życia noc,
Czysta wiara w twym łonie
Jak kaganiec niech płonie,
I twą skrzepia moc.

Niech jak skrzydło anioła.
Kwiat rozsiewa do koła
Twoja cicha dłoń,
Świat wciąż cierpi i boli,
Ty ku wielkiej niedoli
Chętnie ucho skłoń.

Pieśń, modlitwa i praca,
Niech ślad znaczą twej drogi.
Przy nich zorza uzłaca,
Zakres życia ubogi.

A gdy gwiazdę natchnienia,
Bóg ci ześle z swej łaski.
Niech pokora ocienia,
Jej promienne odblaski.

Rozgłos, działem mąż bierze,
Niech mu w chwale dni płyną,
Nam w miłości i wierze
Iść zieloną doliną.

Niech nas wiedzie w pomroczy,
Powinności nić żywa,
Czyste wody zdrój toczy,
Póki w cieniu przepływa!

DZIESIĘCIU ROBOTNIKÓW MATKI VERT D'EAU,

PRZEZ

E. SOUVESTRE'A.

(przekład z francuzkiego).

Wieczory zimowe rozpoczęły się właśnie. Po całodziennej pracy rodzina Wilhelma zasiadała w około ogniska, sąsiedzi schodzili się do chaty; w samotnych bowiem dolinach Wogezów, mało jest wiejskich osad, przeto i sąsiedzi przypuszczani bywają do rodzinnego kółka.

Tam w koło komina na którym płonie bezustanku ogień z sosnowych szyszek, związki ścisłym kojarzą się węzłem. Ciepło ogniska, wesele wewnętrzne, czarodziejski urok słowa, budzą ufność wzajemną. Serca otwierają się mimo woli, umysły jednoczą, a każdy bierze chętnie udział w przygodach sąsiada i przyjaciela.

Niekiedy brat Prudenty przychodzi na wieczornicę pomimo oddalenia; a wtedy radość zupełna panuje w cha-

cie; on bowiem najlepiej w całej okolicy umie rozpowiadać stare dzieje, nie tylko co zasłyszał od ojców, ale i to nawet co wyczytał w książkach. Zna na palcach początki wszystkich podgórskich osad i dzieje każdej z osobna rodziny; pamięta nazwiska wielkich głazów mchem porosłych, które sterczą wysoko jakby kolumny lub ołtarze, słowem, możnaby go nazwać uosobionem podaniem okolicy. Jest on nie mniej uosobioną jej mądrością. Nauczył się bowiem czytać w sercach i prawie zawsze umie odgadnąć przyczynę dręczącego je smutku. Inni znają środki przeciw niemocy ciała, stary wieśniak umie leczyć sroższe choroby duszy, stąd to głos powszechny nadał mu szanowne imię ojca Prudentego.

Pierwszy raz od Nowego roku, ukazał się na wieczornicy, wszyscy też radzi mu byli serdecznie. Wskazano mu najlepsze miejsce u ogniska, otoczono go kołem. Wilhelm z fajką w ustach zasiadł naprzeciw niego na ławie.

Ojciec Prudenty nasamprzód rozpytywał ciekawie o wszystko. Chciał wiedzieć, jak się powiodły siewy, jak się chowa dobytek, jak idzie domowa gospodarka. Młoda gospodyni z roztargnieniem odpowiadała na pytania, jakby myślała o czem innem, bo też piękna Marta myśli często o wielkiej włości, kędy się rodziła! Żal jej pląsów wiejskich pod wiązami. dalekich przechadzek po kwiecistych miedzach w gronie wesołych dzieweczek, żal jej miłych pogadanek wieczornych u studni lub też przy ognisku. Marta siedzi nie raz z opuszczonemi rękoma i głową na piersi schyloną; podczas gdy myśl jej swobodnie błąka się po przeszłości.

Tego wieczora także, gdy inne niewiasty pracowały skrzętnie, młoda gospodyni siedziała przed kołowrotkiem,

ale nie obracała go nogą. Deremnie kądziel owinięta lnem bieluchnym, wzywała ją do pracy, ona myślała o czem innem, kręcąc z roztargnieniem zerwaną nitkę.

Ojciec Prudenty patrzy na wszystko z ukosa, ale nie mówi ani słowa; bo on wie, że trzeba dawać ludziom rady, jak gorzkie lekarstwo zwykło się dawać dzieciom; aby je przyjęli, potrzeba obrać właściwy sposób i stosowną chwilę.

Rodzina tymczasem i sąsiedzi otaczają go w około.

— Ojcze Prudenty — mówią — opowiedz nam dawne dzieje, bardzo o to prosiemy.

Wieśniak uśmiechnął się, rzucił okiem na zamyśloną Martę.

— Rozumiem — odparł — chcecie żebym wam zapłacił za gościnne miejsce u ogniska; dobrze więc, uczynię zadość waszej woli, moi kochani ludzie.

Ostatniego razu opowiadałem wam o dawnych czasach, kiedy to wojska pogańskie pustoszyły nasze góry. Dziś będę mówił do niewiast i drobnej dziatwy, każdemu coś należy. Zajmowaliśmy się przeszłością, przejdźmy teraz do starej wróżki, matki Vert d'Eau.

Wszyscy rozśmieli się na głos, każdy zasiadł na swojem miejscu. Wilhelm zapalił fajkę, a ojciec Prudenty począł mówić w te słowa:

„Ta powiastka, moi kochani ludzie, nie należy wcale do tych bajek, co to niemi niańki bawią niemowlęta. Drukowano ją w kalendarzu, pomiędzy poważnemi rzeczami; albowiem ta przygoda zdarzyła się naszej babce Karolinie, którą Wilhelm dobrze pamięta. Oj! byłaż to dziwnie czynna i zabiegła niewiasta.

Babka Karolina była także młodą w swoim czasie; czemu nie każdy jej wierzył, kto widział siwe jej włosy

i nos prawie stykający się z brodą; ale współcześni jej ludzie mówili, że nie było nad nią weselszej ani urodziwszej dzieweczki na całą okolicę.

„Nieszczęściem dla niej, Karolina została sama ze starym ojcem na gospodarstwie, gdzie było więcej długów niż dochodu; robota szła za robotą, a biedna dziewczyna, nie zwyczajna takich trudów, wpadała często w zniechęcenie i nic nie robiła, nie mogąc dać rady wszystkiemu.“

„Dnia jednego, gdy siedziała na przyźbie przed chatą, położywszy ręce pod fartuch jakby jaka pani, poczęła mówić sama do siebie:

„Panie odpuść, praca moja nad siły; wielka to bieda w moim wieku znosić tyle kłopotów na głowie. Choćbym raniej wstawała od jasnego słonka, choćbym szybciej biegała od krynicznej wody, choćby mi się robota paliła w ręku jak płomień na kominie i tak nie podołam tylu kłopotom i trudom. A! i czemuż dobra wróżka Vert d'Eau nie chodzi już po świecie? czemuż jej nie zaproszono na moje chrzciny? Gdyby mnie chciała wysłuchać, gdyby mi mogła dopomódz, kto wie, możebym poradziła pracy, a biedny ojciec nie znosiłby takiego niedostatku.

— Pociesz-że się moje dziewczę, otóż jestem — odezwał się głos nieznany.

Karolina patrzy i widzi przed sobą matkę Vert d'Eau, wspartą o kij sękaty.

W pierwszej chwili dziewczyna zlękła się straszliwie, bo wróżka dziwnie była ubrana, miała na sobie skórę z wielkiej żaby, której głowa służyła jej za kapturek; a tak była szpetna, tak zgrzybiała i poorana zmarszczkami, że choćby miała miljon posagu, nikt by jej nie wziął za żonę.

Karolino jednak wnet przyszła do siebie z pomięszania i zapytała starej wróżki drżącym głosem ale grzecznie, w czem jej służyć może.

— Ja to przyszłam ci służyć moje dziecko — odpowie stara—usłyszałam twoje skargi i przynoszę ci pomoc.

— Czy prawdę mówicie dobra matko? — zawoła Karolina — chcecie mi użyczyć waszej czarodziejskiej różczki i ułatwić mi pracę.

— Więcej jeszcze uczynię dla ciebie — odpowie matka Vert d'Eau — przynoszę ci oto dziesięciu robotników, którzy wykonają za ciebie wszystko, cokolwiek im rozkażesz.

— A gdzież oni są? — zagadnęła dziewczyna.

— Zaraz ich zobaczysz.

To mówiąc wróżka rozsunęła płaszcz i dobyła z płachty dziesięciu karzełków nie jednakowej wielkości.

Dwaj pierwsi byli mali wzrostem, ale za to silni i barczyści.

— Ci dwaj rzekła najwytrwalsi są w pracy; a czego nie dostaje w zręczności, wynagrodzą to siłą.

Dwaj następni, wyżsi są wzrostem i o wiele zgrabniejsi; umieją doić krowy, wyciągać len z kądzieli, słowem, dadzą sobie radę w całym zarządzie domowym. Ich bracia wyżsi jeszcze, umieją władać igłą, czego dowodem czapeczka z naparstka mosiężnego, którą włożyłam im na głowę. Dwaj następni mniej uczeni od tamtych, opasani w złote pierścionki, gotowi są pomagać braciom według siły, równie jak dwaj ostatni, których dobrą wolę cenić koniecznie należy. Wszyscy dziesięciu, pewna jestem nie wielką z pozoru wydają się tobie pomocą: zobacz tylko ich w pracy, a wnet osądzisz ich sama.

Rzekłszy to, stara wróżka dała znak, a dziesięciu karzełków poskoczyło co żywo. Karolina ze zdumieniem widziała jak wykonywali najcięższe prace, jak umieli wszystkiemu wystarczyć, każdej rzeczy dać radę, przejęta radością, wyciągnęła do wróżki obie ręce.

— Matko — zawołała — pożycz mi twoich dziesięsięciu karzełków, nic więcej na świecie żądać już nie będę.

— Dobrze moje dziecko, nie tylko ci ich pożyczę, ale nawet daruję, tylko żeby cię nie posądzono o czary, rozkażę im niech się staną maleńcy i przedzierzgną się w twoich dziesięć palców.

I stało się jak rzekła.

— Wiesz teraz jaki skarb posiadasz — dodała stara wróżka — wszystko zależy na tem, abyś umiała z niego korzystać. Jeżeli nie potrafisz zarządzać maleńką twoją czeladką, jeżeli dasz jej zalężeć pole w próżnowaniu, nie wyciągniesz z niej najmniejszej pomocy; ale nadaj jej tylko dobry kierunek, czuwaj aby nie spała, nie trzymaj nigdy rąk bezczynnie, a praca, której się tak lękałaś, spełni się sama, jakby czarami.

Wróżka mówiła prawdę. a babka nasza idąc za jej radą, nie tylko, że przywiodła do porządku domowe sprawy, ale co więcej, zapracowała sobie nie zły posag. Potem poszła za mąż szczęśliwie i wychowała ośmioro dziatwy po Bogu. Wiemy z podania, że przekazała spuścizną dziesięciu karzełków starej wróżki niewiastom ze swego rodu, a karzełki służą im dotąd wiernie i wielce są im pomocni. To też jest między nami przysłowie, że: na dziesięciu palcach gospodyni spoczywa pomyślność, dobry byt i wesele całego domu.

Wymawiając te ostatnie słowa, ojciec Prudenty obrócił się ku Marcie. Młoda niewiasta zakraśniała jak malina, spuściła oczy i rękę przyłożyła do kądzieli. Wilhelm spojrzał ukradkiem na krewniaka. Cała rodzina długo dumała nad powieścią, każdy chciał wniknąć w ukryte jej znaczenie i sam ją do siebie stosował. Marta zrozumiała o co rzecz idzie, uśmiech bowiem zajaśniał znowu na jej licu; kołowrotek obracał się warkocząc, za szybkiem poruszeniem jej stopy a len znikał czarodziejsko na wrzecionie.

PRZYSŁOWIA.

Pierwej Sobkowi, potem Tobkowi.

Pierwsza miłość od siebie.

Coś bliźniemu dał, sobieś dał.

Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzają.

Sobek co myślał tylko o sobie.
Gromił raz Tobka, że w każdej dobie,

Gdy się zdarzyła możność ku temu,
Niósł najskwapliwiej pomoc bliźniemu,
O własne swoje dobro niedbały.
„Czy ci się klepki — rzekł — pomięszały.
Tak się dla drugich krzątać i nużyć,
Zbierać by rozdać, żyć a nie użyć?
Ktobądź do ciebie rękę wyciągnie,
Natychmiast hojny skutek osiągnie.
A jak tam wpadniesz w biedę, ciekawym,
Kto się okaże równie łaskawym.
Prima charitas bracie *ab ego*,
Sakramentalne to jest przysłowie."
„Wolna każdemu droga kolego,"
Skromnie poczciwy Tobek odpowie;
„Ja dawać, waszmość używać lubisz,
Jeśli się przeto z rozumem chlubisz,
To ja nad rozum przekładam głupstwo,
Bo wolę głupstwo, jak samolubstwo.

Niedługo potem: któżby uwierzył?
Piorun o jednym czasie uderzył
W domostwo Tobka i dworzec Sobka.
Natychmiast Tobek niepomny siebie,
Biegnie sąsiada wspomódz w potrzebie.
Ale przy dworcu ani parobka,
Sam nie poradzi, tak i w godzinę
Piękny ów dworzec poszedł w perzynę.
A cóż się stało z Tobka zagrodą?
Kiedy poczciwie, nie pomny siebie.
Sąsiada w smutnej wspiera potrzebie,
Zewsząd sąsiedzi sikawki wiodą

Pod jego domu gościnne ściany.
I wnet zostaje pożar zalany.
Tak ten co myślał tylko o sobie,
Wszystko utracił w chwilach niedługich,
A ten co myślał tylko o drugich,
Do śmierci został przy swej chudobie.

J. Paszkowski.

TREŚĆ

Tomu II-go.

Powieści i opowiadania

Góry sieroce, przez J. K. G. . . . . 92.
Pamiętnik rodzinny . . . . . 144.
Szlachetne ubóstwo (z prawdziwego zdarzenia). . . . . 76.
Ustęp jeden z życia poety, przez Sabinę G. . . . . 8.
Wdzięki i ospa (zdarzenie prawdziwe). . . . . 87.
Wieczór u okna, obrazek przez A. M. . . . . 4.

Poezye

Do moich dziewczynek . . . . . 272.
Do zimy, przez Deotymę . . . . . 1.
Krzyż i wojak, ballada przez Deotymę . . . . . 206.
Rozmowa z kmieciem o królu Sobku . . . . . 73.
Nad kołyską dzieweczki 302

Życiorysy.

Ozanam Fryderyk . . . . . 277.

Zarysy literatury zagranicznej.

Bremer Fryderyka. Życie domowe w Ameryce (ciąg dalszy). 214

Rozmaitości.

Dziesięciu robotników matki Vert d'Eau. . . . . 304.
Przysłowia . . . . . 311.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
15997

Biblioteka WSP Kielce
0154059